

Andre Norton - Brama Kota

1

Z niewielkich krzaków późny zmierzch wydobył rozlewiska cieni. Kelsie zadrżała, chociaż było jej dostatecznie ciepło w pikowanym płaszczu, obszernych grubych spodniach i długich butach do połowy łydki, które zdawały się zapadać coraz głębiej przy każdym kroku, kiedy szła przez połąć rozmięklej torfiastej ziemi ku pasmu pagórków o zamglonych szczytach. Pejzaż wydawał się nierzeczywisty, nawet groźny, mimo to nie zamierzała wracać. Zaciśnęła zęby i ujęła mocniej pałąk koszyka. Być może dzisiejszego wieczoru odniesie sukces; wzbraniała się zarówno przed uznaniem, jak i zaakceptowaniem tutejszych opowieści.

W otaczającej okolicy nie dostrzegała niczego pięknego czy też okazałego, niczego znanego z tych barwnych folderów, na podstawie których wyobraziła sobie owo szkockie pogórze daleko na północy. Zdawało się jej natomiast, że wędruje przez wyludniony kraj, w którym czyha na nią jakieś niewidzialne niebezpieczeństwo. Nietrudno było przecież uwierzyć w grasujące gdzieś tutaj Czarne Psy czy Szalone Kucyki z piekła rodem. Bóg jeden wie, ile takich opowieści Kelsie wysłuchiwała chciwie przy kominku; ale tym razem brakowało jej skrytego pod dachem, bezpiecznego, oświetlonego pomieszczenia.

Dziewczyzna wsłuchiwała się bojaźliwie w odgłosy nocy. Doszedł jej uszu szczek lisicy, na który jakiś wiejski pies odpowiedział wyciem. Broniąc się przed zupełną samotnością, którą owo ujadanie jedynie podkreślało, Kelsie nuciła półgłosem. Wznoszące się i opadające, pozbawione słów tony miała zwyczaj wyśpiewywać, gdy stawała oko w oko ze zranionymi czy też wystraszonymi zwierzętami. Powtórnie uczuła targnięcie rozpalającej do żywego wściekłości, która wypełniła ją dwa dni temu, kiedy ujrzała okrutne wnyki, a w nich poszarpane, umazane krwią dwie poduszeczki kociej łapy, odgryzione w celu zdobycia wolności. Za żadną cenę nie warto oznajmiały - dać się złapać przed kolejnym sezonem rozmnażania się owiec. Ten Neil McAdams jest zbyt pewny siebie.

Tylko Kelsie widziała drapieżnika. To była samica tuż przed okoceniem się. Tamtego dnia wytropiła ją w nieco lepszym świetle na pustynnym zboczu niewielkiego wzniesienia. Głuszce były grube i ciężkie, lecz za jej sprawą całe stadko poderwało się wbrew dziwnym prawom tego miejsca...

Kelsie zaciskała usta z uporem, ponieważ pamiętała, bynajmniej się nimi nie rozkoszując, całe partie snutej przy kominku rozmowy. Wytropienie samca z pięcioma odnogami na tykach wieńca... odstrzelenie (tak się to określa, lecz czemu nie nazywać rzeczy po imieniu - rzeź niewiniątek) stada jeleni w zeszłym roku... Na polowaniu wypuszcza się ptaki w powietrze tylko po to, by do nich strzelać dla sportu. Dla sportu!

Przynajmniej w porę uznała, że nigdy nie dopasuje się do tego miejsca. Wystawi dom na sprzedaż i...

Nieco powyżej, z przodu, długi cień oderwał się od kępy zarośli i ruszył w tym samym kierunku co Kelsie. Nie było żadnych wątpliwości - mężczyzna ze strzelbą. A to, na co tutaj polował, było...

Kelsie zaczęła biec naprzód. Ta ziemia należała jeszcze do niej i przysługiwał jej zarówno przywilej osądzania tego, kto się na nią zapaścił, jak i prawo niedowierzania motywom postępowania jakiegoś łobuza.

Dziewczyna dostrzegła przed sobą krąg głazów. Powia dano, że wszystkie, z wyjątkiem trzech, zostały w dawnych czasach powalone przez władze kościelne. Najpierw miała to być nauka dla wszystkich, którzy zanadto przywiązali się do starych czasów i obyczajów, później zaś przestroga dla tych, którzy zechcieliby się wtrącać do spraw zakazanych. Trzy pozostałe tworzyły coś w rodzaju łuku; jeden potężny, prymitywnie ciosany głaz opierał się na dwóch swoich towarzyszach. Tam właśnie zmierzał intruz.

Kelsie znalazła się z nim teraz niemal ramię w ramię. Oczywiście był to Neil. Dziewczyna w jakiś sposób wiedziała to od razu. Wnyki zaciągnęły się, a więc mężczyzna zapewne dopadnie zaraz rannego zwierzęcia i użyje strzelby... Na mojej ziemi, nigdy!

Opodal rozległo się zawrodo. Oprócz dzikiej nienawiści zawierał się w nim i ból, i zdecydowanie odzyskania wolności. Mężczyzna uniósł strzelbę, a Kelsie skoczyła naprzód i potknęła się. Jednakże jej wyrzucona gwałtownie do góry ręka zawadziła o myśliwego, który chybił oddając strzał.

- Co robisz? - W jego głosie pojawił się nie ukrywany gniew, ale uwaga Kelsie skierowana była gdzie indziej na przycupnięty, skurczony kształt, tkwiący w samym środku łukowatego przejścia. Dzikie kot - pewnie zbyt ranny, by biec, zwrócony w ich kierunku, pełen nienawiści, gotowy walczyć na śmierć i życie.

- Przestań! - Kelsie brakowało tchu, kiedy stanęła na równych nogach. - Zostaw biedne stworzenie w spokoju! Czyż nie udręczyłeś go już wystarczająco?!

- Uspokój się, dziewczyno! - warknął gniewnie mężczyzna. - Ta bestia jest szkodliwa. Wiosną napadnie na jagnięta.

Myśliwy uniósł ponownie strzelbę w tym momencie, w którym księżyc, przedostawszy się przez jedną z mrocznych chmur, rozblęsnął nad łukowatą bramą, a kot sprężył się do skoku. Kelsie stała już pewnie na nogach. Rzuciła koszyk i schwyciła strzelbę obiema rękami. Mężczyzna odepchnął dziewczynę, która stopą zawadziła o jakiś wbity głęboko w darń kamień. A kiedy pięścią trafił ją w skroń, okręciła się z krzykiem protestu i złości, po czym wpadła pod łukowate przejście, z którego sekundę wcześniej wyskoczył zraniony kot. Uderzywszy głową o kamień, przeturlała się do przodu przez otwór i spoczęła pod obalonymi głazami.

Najpierw do świadomości Kelsie dotarło uczucie ciepła. Nie otwierając oczu przekręciła się nieco i poczuła na twarzy jakiś żar. Ten drobny ruch wyzwolił ból, który przeszył jej głowę na wskroś, i dziewczyna krzyknęła. Coś się poruszyło obok jej ramienia i jakaś szorstka powierzchnia prześliznęła się po jej policzku. Wreszcie Kelsie otworzyła oczy i zamrugła szybko, albowiem słońce mocno świeciło.

Nie pamiętała upadku ani tego, co nastąpiło później. Z pewnością jednak nie było już nocy nad szkockim pogórzem - był dzień. Czyżby zraniono ją i po prostu pozostawiono? A Neil?! Kelsie podparła się na łokciu i rozejrzała wokół.

Co to? W jaki sposób się tu znalazła? Kamienne głazy, pomiędzy które wpadła, od wieków na pół zagrzebane w ziemi, stały teraz prosto niczym strażnicy. Ciepło rozchodziło się promieniście od najbliższego z nich, tego, naprzeciwko którego leżała. Trawa wewnątrz kręgu nie tworzyła jednolitej, grubej warstwy, którą Kelsie tak dobrze знаła; miejsce to przypominało raczej zwykłą ziemię upstrzoną czymś, co kojarzyło się z mchem. A wyżej dzieło wiosny mieniło się kremowobiałymi kwiatami, stulonymi na wzór tulipanów, choć w niczym nie przypominającymi tych, które Kelsie zdarzyło się kiedykolwiek widzieć. Wśród nich trzepotały jasnymi skrzydłami owady.

- Rrrrruuuu...

Kelsie ponownie obróciła głowę, a ból wydarł z niej niespodziewanie drugi krzyk. Dzięki kot przycupnął skulony,

liżąc poszarpaną łapę i popatrując raz po raz w jej kierunku, jakby doskonale rozumiał, że dziewczyna może mu pomóc. Koszyk leżał jakąś stopę dalej i Kelsie wyciągnęła dłoń, by go chwycić. Każdy ruch budził w jej głowie ów obrzydliwy ból. Jedną ręką zbadała ostrożnie skórę i włosy z tej strony głowy, która dokuczwała jej najbardziej, i poczuła wilgoć; kiedy Kelsie zabrała rękę, palce jej pokrywała jasnoczerwona krew. Dziewczyna mogła przeprowadzić badanie jedynie za pomocą leciutkich dotknięć, przypuszczała jednak, że skaleczenie było raczej niewielkie, coś w rodzaju zadrapania czy stłuczenia, a nie dużej rany, jakiej się początkowo spodziewała.

Pogrzebawszy w koszyku, wyciągnęła z niego maść z antybiotykiem i bawełniane waciki, które zwykła nosić przy sobie w misji miłosierdzia. Te ostatnie podzieliła równo między siebie i kota, który tylko pomrukiwał ostrzegawczo, kiedy badając jego łapę, smarowała ją tą samą ochronną galaretką, którą rozprowadziła już na swej lewej skroni.

Jeszcze trudno było się jej poruszać. Jakakolwiek nagła zmiana położenia głowy nie tylko powodowała przytyły ból, ale również przyprawiała o mdłości. Kiedy więc Kelsie uporała się z obowiązkami chirurga na polu walki, oparła się plecami o jeden z tych stojących głazów, które wychynęły z ziemi w jakiś niewiarygodny sposób, i zaczęła rozglądać się w większym skupieniu. Kot ponownie skulił się, liżąc poranioną łapę i nie objawiając najmniejszej ochoty do wycofania się gdzieś dalej.

Teraz, kiedy Kelsie miała czas na obserwację, na myślenie o czymś więcej niż tarapaty, w które popadła, badała to, co znajdowało się przed nią, zmrużywszy oczy przed oślepiającym blaskiem słońca. Z powodu nienaturalnego gorąca zrzuciła już płaszcz i zapragnęła jeszcze wyśliznąć się z ciężkiego wełnianego golfa.

Z pewnością nie był to ten sam blask, z jakim zdążyła zapoznać się w nieodległej przeszłości na Ben Blairze. I kwiaty, uginające swe główki pod pieścącymi muśnięciami lekkiej bryzy, nie były takie, jakie wcześniej widywała. No i kamienie... Jak to się stało, że są osadzone prosto?

Oczywiście wszystko to mogło być złudzeniem, a ona leżała jeszcze w wieczornym półmroku z obolałą głową opartą o kamień, z którym brutalnie zetknęła się podczas upadku. Ale wszystko wydawało się takie realne!

Dziki kot zaprzestał lizania i wydobył krótki pomruk z głębi gardzieli. Następnie powłócząc łapą podczołgał się w kierunku płaszcza, który Kelsie porzuciła, i zaczął ugniatać go zdecydowanie, jak gdyby przygotowując rozścieloną materię w sobie tylko wiadomym celu.

Kelsie nie próbowała nawet zwalczyć ogromnego zmęczenia, które ją opanowało, kiedy skończyła ostatnie zabiegi pielęgnacyjne. Zamknęła oczy, po czym dwukrotnie otworzyła je nagle, tak jakby usiłowała przyłapać w trakcie jakiejś zmiany pejzaż, który miała przed sobą. Jednakże widok pozostawał ciągle ten sam - osadzone pionowo błękitnawe glazy, kępy kwiatów, nienaturalne gorąco. Kelsie poczęła odczuwać pragnienie.

Jeśli rzeczywiście znajdowała się w tej chwili na zboczu Ben Blaira, kilka kroków od kamiennego kręgu winno tryskać źródło. Właśnie myśl o wodzie bijącej z ziemi sprawiła, iż Kelsie oblizła językiem spieczone wargi. Woda...

Nie usiłowała się podnieść, gdyż nawet pełzanie na czworakach przyprawiało ją o mdłości. Mimo to sforsowała niemal jedną czwartą kręgu w kierunku źródła.

Tyle że nie było żadnego źródła, przynajmniej tam, gdzie go szukała. Kelsie znów się pośliznęła, padając jak długa na samym środku kępy dzikich kwiatów, których mocny zapach pogłębiał jej złe samopoczucie.

Woda... Z każdą chwilą łaknęła jej coraz bardziej. W pewnym momencie wydawało się jej nawet, że rzeczywiście słyszy szum. Być może skierowała się w niewłaściwą stronę. Jeszcze raz, na pół otępiąła, uniosła się jakoś na czworakach i obróciła na południe. Kilka chwil później naprawdę wpatrywała się w wodę - gdzieś w dole.

W miejscu, w którym się zatrzymała, rozpoczynało się urwisko. Piętrzyło się ponad sadzawką, co matkowała sączącemu się pośród omszałych skał strumyczkowi.

Pomimo opadającego ją ponownie bólu Kelsie dotarła na skraj sadzawki i złożyła ręce, by napić się wody tak zimnej, jak gdyby stanęła właśnie lodem. Chłód ulżył jej nieco. Kelsie zwilżała twarz omijając brzeg rany. Czyniła tak, dopóki znów nie poczuła się całkowicie sobą, po raz pierwszy od chwili, kiedy oprzytomniała.

Na Ben Blairze nie było żadnej sadzawki, tak jak i tych stojących glazów. Gdzież się znalazła? Czy wciąż wędruje w otchłani halucynacji wywołanej uderzeniem w głowę? Nie wolno jej ulec panice, która rodzi się z takich właśnie myśli i pytań bez odpowiedzi. Przez moment wydawało się jej, że jest sobą, nawet jeśli reszta świata się zmieniła.

Zdjęła koszulę, którą miała pod swetrem, i umoczyła w zimnej wodzie. Zanim jednak owiązała ją dokoła głowy, wyżeła tak mocno, jak tylko mogła. Z drugiej strony sadzawki po raz pierwszy dotarł do jej świadomości ptasi świergot i trzepotanie. Rósł tam krzak uginający się pod brzemieniem ciemnoczerwonych jagód, wśród których ucztowały ptaki nie okazując najmniejszego zainteresowania jej osobą.

Nie były to ani gluszcze, ani żadne inne ptaki, jakie Kelsie kiedykolwiek przedtem widziała. Buszowały tam takie ze złotą piersią i bladoróżowymi skrzydłami i inne, o jaskrawym zielononiebieskim upierzeniu, jakie Kelsie widywała tylko na szyjach paw.

Jagody... pożywienie...

Jak przedtem rosła w niej potrzeba ugaszenia pragnienia, tak teraz pojawiła się chęć zaspokojenia głodu. Kelsie z wolna obesła sadzawkę. Ptaki odfrunęły nieco dalej, ale

nie wzbily się w górę, jak tego oczekiwała. Sięgnęła ręką w dół po rozkołysaną gałąź i zebrała pełną garść jagód. Owoce były słodkie, na swój sposób cierpkie, co dodawało im smaku. Rozkoszując się nimi, Kelsie natychmiast zabrała się do zbierania i pakowania do ust tego wszystkiego, czego mogła dosięgnąć i zerwać z gałęzi, na których kilka jeszcze ptaków dzielnie się pożywiało.

Dwa czy trzy spośród tych z metalicznoniebieskimi piórami wycofały się nieco i obserwowały Kelsie - jednak nie tak, jakby się lękały jakiegoś ruchu czy ataku, ale raczej, jakby dziewczyna przedstawiała sobą zagadkę, którą musiały rozwikłać. W końcu któryś odleciał wznosząc się wysoko, a słońce zamieniło jego skrzydła w kosztowne cudenka.

Kot... Kelsie spojrzała na ptaki, które pożywiały się nieustraszenie ledwie na wyciągnięcie ręki. Zaniepokoiła się, czy aby stworzenie nie odniosło większych ran, niż myślała początkowo, i skierowała się z powrotem do owego tajemniczego kręgu kamiennych kolumn. Pochyły stok pokonała ostrożnie, tym razem normalnie, na nogach, czując, jak ziemia się pod nią kołysze. Wreszcie dotarła na szczyt wzniesienia, spojrzała przed siebie. Dostrzegła żółtawoczną plamę porzuconego wcześniej płaszcza. Zmierzając w jego kierunku potykała się, całą uwagę bowiem skupiła na odzieży, a nie na tym, co się znajdowało pod stopami.

Dolatywały do niej stamtąd cichutkie miaukliwe popiskiwanie i błyskawiczne pomruki odpowiedzi. Wreszcie Kelsie dostrzegła kocięta - dwa malutkie ślepe stworzonka. Kocica właśnie kończyła je myć.

Dziewczyna nie była taka niemądra, by podchodzić zbyt blisko. Mruczenie w matczynej gardzieli obniżyłoby się bowiem o kilka tonów, no i Kelsie powątpiewała, czy kocica zezwoliłaby na mieszanie się w sprawy swojej rodziny. Przemawiała łagodnie, tymi samymi słowami, jakich wielokrotnie używała pomagając doktorowi Atllessowi w klinice dla zwierząt.

- Dobra dziewczyna, mądra dziewczyna... - Kelsie przykucnęła, zwróciwszy się plecami do jednego z kamieni, by zlustrować niewielką rodzinę. - Masz ładne kocięta... dobra dziewczyna...

W chwilę później Kelsie wystraszył krzyk, którego z pewnością nie wydała kocica ani też żaden z członków jej nowej rodziny. Mogło to być wycie dręczonego psa, tyle że doświadczenie podpowiadało jej, iż to coś innego. Dźwięk powtórzył się. Uszy kocicy przylgnęły do czaszki, oczy zamieniły się w czujne szparki. Kelsie zadrżała, choć słoneczne promienie mocno grzały. Nie ruszając się z kręgu, zwróciła się twarzą w kierunku pobliskich wzgórz. Krzyk rozległ się po raz trzeci, bliżej i ostrzej, jak gdyby pies myśliwski zwęszył świeży trop. Dziewczyna rozejrzała się w poszukiwaniu broni, czegoś do obrony. W końcu szarpnęła za płaszcz, na którym rozłożyła się kocica, i poluźniwszy nieco pasek, wyciągnęła go. Z braku kija czy kamienia miała tylko taki wybór.

Wycie rozległo się po raz czwarty i jakieś stworzenie pojawiło się w oddali, cicho wybiegłszy z kępy zarośli. Z początku była to tylko czarna plamka. Ale kiedy to coś znalazło się bliżej, Kelsie z trudnością stłumiła krzyk. Pies?!

Nie, to nie był ogar, o jakim kiedykolwiek słyszała czy też jakiego gdziekolwiek widziała! Był to niemalże sam szkielet, pasma żeber wyraźnie rysowały się pod wylenią skórą. Pysk, co wydawał się stanowić dwie trzecie czaszki, opadł otwarty i zwisał z niego szkarłatny jęzor, z którego ściekały ślina i biaława piana. Kiedy stworzenie biegło cicho naprzód, bez pośpiechu, miarowo, jakby zwęszyło już ofiarę i nie miało zamiaru jej porzucić, jego długie nogi przypominały kości ciasno obciążone skórą.

Kelsie wysunęła się do przodu, opierając się ramieniem o kolumnę. Jeden koniec paska mocno owijał jej dłoń, tak by nie rozluźnić uchwytu, drugi, obarczony klamrą, majtał się swobodnie. Usłyszała mruknięcie i zerknęła na kocicę. Kocięta na wpół skryły się pod jej ciałem, na którym sierść zjeżyła się w wyzwaniu. Kocica cały swój ciężar oparła na nie zranionej łapie. Było zrozumiałe, że szykuje się do walki.

Ogar nie skoczył do przodu, jak Kelsie tego oczekiwała. Zatrzymał się kilka kroków przed kręgiem kamiennych kolumn. Odrzucając do tyłu wąski łeb zwierzę jeszcze raz dało upust mrozącemu krew w żyłach ujadaniu, jak gdyby przyzywało jakichś towarzyszy polowania. Choć zarówno Kelsie, jak i kocica były bardzo słabe, dziewczyna z gwałtownie bijącym sercem pomyślała o tym, by dać prawdziwy, a nie symboliczny odpór.

Na to ostatnie ujadanie nadeszła odpowiedź, krzyk, który w niczym nie przypominał wycia, raczej zawołanie złożone ze słów, których Kelsie nie mogła zrozumieć. Po czym z tej samej kępy zarośli, która wcześniej skrywała psa, wyłonił się jeździec na koniu. Wystraszona dziewczyna drżąc zaczerpnęła tchu.

Koń, czy cokolwiek to było, okazał się takim samym ruchomym szkieletem jak pies. Oczy w jego czaszce zdawały się dołami wirującego zielonkawożółtego płomienia. Ponieważ jeździec spowity był w pelerynę, zakutany we własne okrycie, trudno było stwierdzić, do jakiego rodzaju stworzeń rzeczywiście należał. Nie ulegało wątpliwości, że nowo przybyły wpatruje się w Kelsie z zainteresowaniem. Jedna urękawiczona dłoń wzniosła pręt i obróciła go w kierunku dziewczyny z taką samą pewnością, z jaką McAdams mierzył do kota.

Kelsie nie miała nawet czasu skryć się za głaz przed wygiętym łukowato płomieniem, który wyskoczył z pręta. Ale ów płomień jej nie dosięgnął. Ku niebotycznemu zdziwieniu dziewczyny wszystko odbyło się tak, jakby ten wymierzony w nią błysk ognia uderzył w jakąś nieprzeniknioną ścianę tuż przed kamienną kolumną, rozprysnął się w czerwonym wybuchu i przepadł, pozostawiając smugę smolistego dymu wznoszącego się coraz wyżej w czystym powietrzu.

Ogar zawył i ruszył przed siebie, ale nie prosto ku dziewczynie, krążył bowiem wokół kamiennego kręgu, jak gdyby szukał jakiegoś wejścia czy też otworu, poprzez który mógłby dopaść niedoszłe ofiary. Na chwilę, może dwie, jeździec znieruchomiał. Wreszcie zebrał wodze, obrócił łeb wierzchowca w lewo, po czym dołączył do psa krążącego wokół czegoś, co mogło okazać się fortem nie do zdobycia.

Kelsie złapała się mocno jedną ręką kamiennej kolumny, obracając jednocześnie głowę, a potem resztę ciała, by

śledzić kolejne okrażenia. Nie miała żadnych kłopotów z opuszczeniem kręgu ani też z powrotem do niego, ale ci dwaj, którzy się właśnie pojawili, wydawali się całkowicie odgradzeni jakimś murem.

W jej umyśle zakłopotanie szybko przerodziło się w panikę, i strach. Gdzież się znajdowała? Nie mogła być nigdzie indziej, jak tylko w jakimś szpitalu, dręczona strasznymi zwidami po uderzeniu w głowę. Ale to wszystko było takie prawdziwe!...

Ogar ujadał ustawicznie, niemal zrzędliwie, jakby nie mógł pojąć, co trzymało go z dala od tych dwojga wewnątrz kręgu. Jeździec trwał w jednym miejscu, trzymając stanowczo w ryzach wierzchowca, który od czasu do czasu bił nerwowo kopytami w ziemię. Pręt dzierżył niedbale końcem ku ziemi. Mogłoby się wydawać, że Kelsie i kocica są obłożone, być może celowo unieruchomione przed nadejściem jakiegoś większego nawet zagrożenia. A kiedy rozpoczęło się następne uderzenie, nie Kelsie, lecz pomrukująca złowrogo kotka gotowa była stawić czoło niebezpieczeństwu.

Wewnątrz kamiennego kręgu mech pokrywał łatami ziemię, dźwigającą się ku górze i rozkruszoną na grudy, jak gdyby w wyniku jakiejś podziemnej eksplozji. Na opadającym zboczach poruszyło się coś, co wyglądało jak ptasi dziób, niezdrowej żółtoszarej barwy, i dzika kocica ruszyła do akcji.

Skoczyła do przodu tak, iż znalazła się za owym zagadkowym dziobem, i mimo rany wymierzyła cios obiema przednimi łapami stworzeniu, które usiłowało wygramolić się z nory.

Utworzył się kłęb z ciała pokrytego futrem i czegoś ogromnie długiego, podobnego do ziemnego homara. Po chwili kocie kły ugrzęzły z chrzęstem w czymś, co znajdowało się przy końcu owego dzioba, i chociaż to wielonożne stworzenie przewróciło się na grzbiet z głuchym kłapinięciem, walka najwyraźniej się skończyła. Kocica stanęła nad homarem i zaczęła tarosić rozchwiane kleszczowate odnóża, szarpiąc zębami podbrzusze dopóty, dopóki nie dostała się poprzez chitynowy pancerz do

wnętrza. Zżarła je tak, jak gdyby była bardzo wygłodzona. A Kelsie, ostrzeżona pojawieniem się tego stworzenia, zatoczyła koło wewnątrz kręgu, badając ziemię z wielką uwagą, na wypadek gdyby jeszcze jakieś inne podejrzane zwierzę zechciało wygramolić się spod powierzchni.

Na następnego homara natknęła się niemalże po drugiej stronie kręgu, z dala od wciąż uczującej kotki, i przygotowała swój pasek. Ów dziób czy też nos wysuwał się spośród kępy kwiatów, badając świat naziemny za pomocą cieniutkiego wyrostka, i Kelsie smagnęła w to coś paskiem. Za sprawą szczęścia raczej niż zręczności oczko klamry zaczepiło o ów wyrostek i Kelsie szarpnęła pasek, wkładając w tę czynność całą siłę ramienia.

Jak ryba, która połknęła haczyk, stworzenie owo wyskoczyło z ziemi, przewracając się z głuchym łoskotem na grzbiet i szybko wymachując w powietrzu kleszczowatymi odnóżami. Wypuściło też długi ogon zakończony czymś, co zapewne było żądłem. Wysuwał się on i cofał ze złością, podczas gdy stworzenie, trzepocząc z boku na bok głową, uwolniło się z klamry i obróciwszy się w powietrzu, ponownie stanęło na nogach. Wahalo się tylko przez chwilę, po czym rzuciło się do przodu z kępy zgniecionych kwiatów, przeskakując co najmniej trzy stopy i mierząc prosto w Kelsie.

Dziewczyna zamachnęła się po raz drugi, chcąc uderzyć ponownie, by zapobiec atakowi. Lecz kiedy się cofała, oparła się z rozpędu o jedną z niebieskich kolumn i przez jej ciało przeszło ostre mrowienie, jakie można odczuć tylko podczas niewielkiego wstrząsu elektrycznego.

Lewą ręką chwyciła się kamienia. Wbrew oczekiwaniom nie był on zimny. Trzymał ciepło i jego temperatura wydawała się wzrastać. Kelsie tak długo drapała paznokciami wystający kawałek skały, aż ten w końcu znalazł się w jej ręce.

Pozostała jeszcze jedna szansa. Kelsie nie potrafiła powiedzieć, skąd się wziął ten zbawienny pomysł. Podciągnęła pasek i umieściła w klamrze odłamek skalny, klinując go z całych sił. Przez ten czas, kiedy jej palce pracowały na wycucie, nie spuszczała z oka wielonożnego mieszkańca ziemi.

To właśnie kocica podarowała jej kilka cennych sekund na zrealizowanie owego pomysłu. Skończywszy ze ścierwem pierwszego przeciwnika, podkradała się do następnego. Kelsie w końcu uderzyła, tym razem dokładnie celując i uważnie się zamierzając.

Ciężka klamra trafiła stworzenie w powietrze, ponieważ podskoczyło ono ponownie, właśnie gdy Kelsie się zamachnęła. Pojawił się oślepiający błysk światła i kłęb dymu, a obrzydliwy smród przyprawił dziewczynę o mdłości. Stworzenie uderzyło o zwęgloną, czarną ziemię. Coś takiego mogło zdarzyć się w wyniku rażenia ogniem. Kelsie bardzo podniósł na duchu sukces tego podjętego w rozpaczliwej desperacji przedsięwzięcia, obróciła się więc ponownie, by szarpać kamienną kolumnę, starając się oderwać więcej tak użytecznych kawałków skały. Ale wyglądało na to, że wspomogło ją szczęście czy też przypadek, kiedy obluzowywała tamten odłamek.

Pomrukując kocica odwróciła się od zwęglonego, skręconego ciała i skoczyła na płaszcz Kelsie. Rozłożyła się na nim, przysuwając w pobliże własnego ciała zamasztywym ruchem przedniej łapy dwoje popiskujących kociąt.

Ani ogar, ani jeździec nie uczynili podczas tej osobliwej walki żadnego ruchu. Nie okazali też trwogi, kiedy pojedynek się zakończył - jak gdyby podziemni mieszkańcy nie byli w ogóle ich sprzymierzeńcami. Wydawało się, że postanowili poczekać - albo na ofiarę, która sama wpadnie im w ręce niczym orzech wytrząśnięty z pękniętej skorupki, albo na jakieś znaczące posiłki.

Czas, jak pomyślała Kelsie, nie sprzyjał ani jej, ani kocicy. Albo nastąpi kolejny atak - albo winna obudzić się z tego snu, który jest tak rzeczywisty, iż strach przed ową rzeczywistością niemalże ją paraliżował, kiedy tylko pozwalała sobie nad tym wszystkim się zastanowić.

Bez przerwy drapała w roztargnieniu jedną ręką wzdłuż szorstkiej powierzchni kamiennej kolumny, przenosząc spojrzenie to z ogara na jeźdźcę, to z jeźdźcę na ogara czekając na coś, co za chwilę nastąpi.

Skądś z wysoka doszedł do niej dźwięczny zew. Ogar zerwał się skomlać i podskakując raz po raz. Kelsie spostrzegła szybującego tam i z powrotem nad zwierzęciem niebieskiego ptaka, jednego z tych, które przyglądały się jej, kiedy zrywała jagody z krzaka.

Gdzieś z lewa nadbiegł zgrzytliwy, drażniący dźwięk, który Kelsie nie wydawał się podobny do ludzkiej mowy. Jeździec zawrócił wychudzonego wierzchowca, uniósł pręt i spróbował ustrzelić śmigającego ptaka, ale płomień wystrzału ani razu go nie dosięgły w chyżych zwrotach, śpiesznym opadaniu i wznoszeniu się.

2

Kocica uniosła łeb i patrzyła szeroko rozwartymi ślepiami na południe, w stronę innego pasma wzgórz. Jeździec, który był tak okutany kapturem, iż Kelsie ani razu nie dojrzała jego twarzy, wykręcił się na siodle w półobrocie, by spojrzeć w tym samym kierunku. Ptaki, wydając ostre, przenikliwe tony, rozpoczęły swoisty lot wokół kamiennych kolumn. Gwałtownym ruchem jeździec zebrał wodze, a jego wierzchowiec runął do przodu, by stratować dziewczynę. Jednak napastnik nie dopełnił swojego zamiaru. Koń stanął bowiem dęba i przez chwilę zdawało się, że wola jeźdźca toczy walkę z wolą konia. Ogar przypadł do ziemi i niemalże ciągnąc po niej brzuchem wycofywał się tą samą drogą, którą nadbiegł. Chociaż Kelsie patrzyła uważnie, nie dostrzegła niczego oprócz krążących ptaków.

Jeździec nie walczył już dłużej ze swym koniem (jeżeli stworzenie tego rodzaju można by nazwać koniem). Pozwolił mu zawrócić w tę stronę, z której nadjechał. Choć zdawał się nie popędzać dosiadanego zwierzęcia, przeszło ono najpierw w kłus, a potem, kiedy zniknęło w zagłębieniu pomiędzy dwoma wzgórzami, w galop. Ogar zaś biegł obok nich.

Kelsie czekała. Ptaki przestały krążyć i odfrunęły na wschód. Została sama z kocicą w kamiennym kręgu, który okazał się świątynią. Opadła na ziemię, siadając ze skrzyżowanymi nogami w pobliżu płaszcza, na którym tuliły się do siebie syte kocięta. Kocica złagodniała na tyle, iż pozwoliła im zbliżyć się do Kelsie.

Po raz pierwszy od czasu, kiedy się ocknęła, Kelsie miała sposobność pomyśleć trzeźwo, rozejrzeć się nieśpiesznie wokół siebie, rozważyć jedną dziwną sprawę po drugiej. Zmagala się z Neilem McAdamsem, kiedy nad szkockim pogórzem zapadał letni półmrok. Nie opuszczało jej jednak przeświadczenie, że miejsce, w którym znajdowała się teraz, nie miało nic wspólnego z tamtym. Uniosła rękę i opuszkami palców pogładziła wilgotną koszulę, którą owinęła zranioną głowę. Wszystko było takie rzeczywiste...

Z wolna znów się podniosła i ruszyła po obwodzie kamiennego kręgu, szukając na zewnątrz jakiegoś punktu odniesienia, który upewniłby ją, iż wciąż znajduje się w świecie, który znała lub przynajmniej trochę rozpoznawała. Nie miała w sobie ani kropli tutejszej krwi - chociaż nosiła stosowne do tego miejsca nazwisko, a także otrzymała spadek po starej ciotce Ellenie, nigdy przedtem tu jednak nie była. Duszą pozostawała w Ewart, niewielkim miasteczku w stanie Indiana, gotowa rozpocząć pracę w klinice dla zwierząt, śniąc swój prywatny sen o tym, jakim by tu sposobem pomnożyć pieniądze na dalszą naukę i zostać weterynarzem. Tamten świat całkowicie rozumiała. Tego nie. Wywijała paskiem obciążonym kamieniem i usiłowała ułożyć myśli w jakiś logiczny ciąg. Przez minutę zmagala się z Neilem, by powstrzymać go przed oddaniem strzału do i tak już rannego dzikiego kota, a potem ocknęła się tutaj...

Zapragnęła biec, wykrzyzczyć swój sprzeciw, otrząsnąć się z tego koszmaru. A on trwał i trwał, i był taki prawdziwy. Nie mogła sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek w jakimś śnie jadła czy piła, mimo to jagodowe plamy wciąż znajdowały się na jej rękach. Mogła też zakosztować słodczy tych owoców, kiedy przeciągnęła językiem po zębach. Spojrzała na leżącą kotkę, która tuliła dół siebie dwoje kociąt. Zwierzę było wiarygodne. Lecz ogar, jeździec i to, co wydarzyło się od momentu, kiedy ją tu napadnięto, wszystko to było rodem z jakiegoś fantastycznego marzenia.

Żadna z odległych, opasanych welonem mgły gór nie wyglądała swojsko. No a kto prostopadle osadził powalone kolumny, by odbudować tę fortecę, którą niegdyś musiały tworzyć, ów obronny krąg?

Kocica podniosła się, strząsnęła uczezione do siebie potomstwo i podeszła do Kelsie przypatrując się dziewczynie otwarcie, jak gdyby nigdy przedtem nie oglądała jej swoimi zwierzęcymi ślepiami. Wyglądało to tak, jakby jakaś inteligencja, równa ludzkiej albo co najmniej do niej zbliżona, wyczierała z tych ślepiów i jakby pragnienie porozumienia się wyгнаło kocicę z miejsca, na którym do tej pory leżała.

Kelsie przyklękła i wyciągnęła rękę.

- Gdzie jesteśmy, stara? - zapytała i zaraz pożałowała, bo słowa rozbrzmiały jakoś dziwnie, jak gdyby trafiły w którąś z kolumn i odbijały się echem od każdej następnej, by wrócić do niej z powrotem w postaci niezbyt wyraźnego, chrapliwego szeptu.

Kot wyciągnął koniuszek języka i dotknął nim kciuka dziewczyny. Kelsie święciła triumf. A więc dzikiego kota nie da się oswoić - no i to by było tyle w kwestii tego, co jej oznajmiono, kiedy wczorajszego wieczoru wychwalała zwierzę. Kelsie potrząsnęła głową i znów pożałowała, bo ból przeszył ją na wskroś.

Raptem poczuła się zmęczona. Najchętniej położyłaby się tutaj na mchu i choć trochę odpoczęła. Gdyby tak zdołała usnąć, może obudziłaby się wreszcie we własnym miejscu i czasie.

Tyle że nic z tego nie wyszło. Dziki kot zawył niespodziewanie, a Kelsie zastanawiała się zatkawszy rękoma uszy, czy zwierzę odczuwa teraz instynktownie tego samego rodzaju przemieszczenie co ona. Ból temu towarzyszący różnił się od tego, który dręczył ją od momentu przebudzenia. Było to coś na kształt wołania o pomoc, coś gorącego, niemal rozkazującego, toteż dziewczyna zerwała się na równe nogi i potykając się ruszyła w kierunku bramy, by zobaczyć, co się stało.

Przedostała się przez bramę, ale nie powróciła do poprzedniej rzeczywistości. Krajobraz wokół niej pozostał

bowiem ten sam. Jej niepewny chód natomiast zamienił się w bieg, jak gdyby dokądś zdążyła. Miała świadomość, iż pokryte futrem stworzenie biegło jej śladem, być może również przyciągane przez owo rozkazujące wołanie, które, jak Kelsie już wiedziała, choć nie mogła tego zrozumieć, dzwoniło jej w głowie, a nie gdzieś poza nią.

Razem okrążyły stos kamieni porośniętych mchem, stanowiących zapewne resztki bardzo starych ruin, z którymi czas nie obszedł się tak dobrze jak z kolumnami. Dziewczyna ześliznęła się w dolinę, pasek kołysał się jej w ręku, przygotowany do użycia. To, na co się natknęła, świadczyło o tragedii. Trzy postaci leżały w kałuży krwi broczącej z ramion, w których tkwiły pionowo drzewca opatrzone piórami. To były strzały!

Wstrząs, jaki przeżyła Kelsie, minął natychmiast, kiedy dostrzegła czwartego uczestnika tego niewielkiego zgromadzenia. Kobieta, której zarówno szara suknia, jak i ciało poniżej rany upaprane były sączącą się krwią, leżała na wpół oparta o kamień. Przysiadł przed nią czarny ogar, który nie tak dawno temu zagrażał dziewczynie i kocicy, a może jakiś jego sobowtór. W pianie wokół jego szczęk widniały krwawe plamy. Prężył się do skoku. Kobieta trzymała w drżącej, słabnącej z każdą chwilą rękę coś, z czego zwisał błyszczący łańcuch. Pomimo ogromnego wysiłku nie mogła tego czegoś utrzymać pewnie w dłoni.

Zapomniawszy na moment o własnym obrzydzeniu, Kelsie ruszyła ku bestii jak burza, wymachując paskiem. Starannie wymierzona kłamra, obciążona kamieniem, trafiła głucho w kościsty bok ogara. Zwierzę skoczyło, tyle że nie na kobietę, ale do tyłu, wydając przeraźliwy skowyt. Kelsie zamachnęła się jeszcze raz. Ostry odłamek skały trafił tym razem ogara w bok przedniej łapy. Ponownie rozległ się skowyt i bestia czmychnęła. Nie zniknęła jednak z pola widzenia dziewczyny, kręciła się w pobliżu tam i z powrotem, jak gdyby czekając na posiłki.

Kelsie zwróciła się w kierunku kobiety. . „Siostró...”

Kiedy to słowo zadźwięczało w jej umyśle, dziewczyna odważyła się na chwilę spuścić wzrok z ogara i spojrzeć na pozostałą jeszcze przy życiu, tonącą we krwi członkinię rozgromionej grupy. Ręka kobiety zsunęła się na pierś, ale jej wciąż otwarte oczy wpatrywały się w Kelsie z takim uporem, iż ta opadła obok niej na kolana. Kiedy to uczyniła, dziki kot zbliżył się i pochylił łeb tak, iż niemal dotknął nim bezsilnej ręki kobiety. Ku zdumieniu Kelsie przez usta tej białej, porażonej bólem twarzy przebiegł cień uśmiechu.

„Siostró... okryta futrem... również...” Słowa te pojawiły się w umyśle Kelsie. Dziewczyna rzuciła spojrzenie na warczącego ogara, ale ten nie usiłował zbliżyć się ponownie.

„Ja... Ostatnia Brama...” Nieznajoma po każdym wypowiedzianym słowie robiła przerwę. Nie wypuszczając paska z dłoni, Kelsie usiłowała dosięgnąć ciała leżącej. Ten równomierny upływ krwi - m u s i coś z nim zrobić. A kiedy z kolei odezwała się głośno, zauważyła, iż głowa kobiety poruszyła się nieznacznie na bok.

„Ostatnia... Brama”. Do umysłu Kelsie dobiegły słowa, które wypłynęły, co musiała przyjąć, z owego bezsilnego ciała. „Klejnot...” Wyglądało to tak, jakby kobieta po raz ostatni odzyskała siły. „Nie pozwól... im... go zabrać...!” Z ogromnym wysiłkiem ponownie uniosła dłoń.

Kocica targnęła łbem do przodu poprzez pętlę zwieszającego się łańcucha. Kobieta natychmiast rozluźniła uścisk, wypuszczając z ręki to, co w niej trzymała, tak że błyszczący owalny przedmiot opadł swobodnie i zawisł na cętkowanym futrze kota.

- Musimy otrzymać pomoc... - Kelsie rozglądała się wokół z wściekłością, jak gdyby mogła tylko za pomocą własnej woli sprowadzić nie istniejącą pomoc medyczną.

Uśmiech nie zniknął z twarzy rannej kobiety.

„Siostró... jestem... Roylane”. Kelsie odniosła takie wrażenie, jakby te słowa miały oznaczać coś doniosłego. W chwilę później chudym ciałem wstrząsnęły dreszcze i

uśmiech zagasnął. „Brama...” Ta, której zadano śmiertelne rany, patrzyła ponad Kelsie na coś, czego dziewczyna, szybko się obróciwszy, nie zdołała dostrzec. Raptem kobieta westchnęła i głowa opadła jej na ramię. Chociaż Kelsie zetknęła się ze śmiercią zaledwie raz, i to dawno temu - wiedziała, że ta dziwna kobieta, która nie musiała wymawiać słów, by się porozumieć, odeszła.

Trzymając pasek zębami, Kelsie usiłowała doprowadzić do porządku drobne ciało. Wzdrygała się przy tym, czując krew na rękach. Następnie przyjrzała się pozostałym zwłokom. Ogar biegał tam i z powrotem pomiędzy dwoma z nich, trzecie leżały bliżej, a ich odrzucone ramie mierzyło prosto w nią, nadal ściskając w dłoni miecz. Mając wciąż na oku psa, dziewczyna ruszyła szybko ku ciału najkrótszą drogą i wyjęła broń z bezsilnych palców. Stwierdziła, że jest o wiele cięższa od floretu, z którym miała do czynienia, tak że mało brakowało, aby jej nie upuściła. Choć nie mogła wyglądać bardziej niezdarnie, za sprawą mocy brzeszczota nabrała odwagi - była to znacznie lepsza broń niż pasek obciążony kamieniem.

Gdzieś w pobliżu rozległ się rechot. Ogar nabrał otuchy, odrzucił łeb do tyłu i jeszcze raz zawył straszliwie. Na ten dźwięk kocica ruszyła z powrotem wielkimi susami i przepadła między zapewniającymi bezpieczeństwo kolumnami. Kelsie zawahała się przy ciele kobiety. Ale nie mogła już nic dla niej uczynić, a posiłki, których pies oczekiwał, najwidoczniej przybywały. Ruszyła więc w ślad za kotem. Wycofywała się stopniowo, wymachując ostrzegawczo paskiem, a w drugim ręku dźwigając miecz, tak żeby tamto diabelskie stworzenie nie mogło się na nią rzucić.

Ogar nie zrobił żadnego ruchu, by wydłużyć krok, kiedy tak biegał tam i z powrotem, i zbliżyć się do dziewczyny. Wył tylko, a wycie to szarpało Kelsie do żywego. W końcu przemogła się i ruszyła biegiem.

„Brama...” - rzekła kobieta przed śmiercią. Czy ona i jej towarzysze zmierzali ku tej jedynej bramie, którą Kelsie знаła, tej pośrodku kręgu? Brama ta mogłaby zapewnić im bezpieczeństwo, ale w jakiś nieodgadniony sposób Kelsie wiedziała, że tej „ostatniej” bramy nie wzniesiono z surowego kamienia i że nie stała ona tutaj, czekając na kogokolwiek. Nie, ale wewnątrz kręgu znajdowało się coś, czego żadne rozumne stworzenie nie było sobie w stanie wyobrazić.

Kelsie spostrzegła, iż klejnot, który kocica niosła tak niezgrabnie na szyi, rzucał blaski podobne do iskerek najprawdziwszego ognia. Zwierzę dołączyło już do swojej rodziny na płaszczu. Kelsie przyśpieszyła w dwójnasób, by dotrzeć do celu jak najszybciej. Kiedy rzucała się na darń, miecz wyśliznął się jej z ręki. Łapiąc oddech, spojrzała na drogę, którą właśnie pokonała. W zasięgu jej wzroku nie pojawił się ani wychudzony czarny ogar, ani jeździec na szkieletowatym wierzchowcu.

Kelsie nie opuszczało głębokie przekonanie, iż kraina ta była nawiedzana przez niebezpieczeństwo. Po raz drugi podniosła ciężki miecz i przyjrzała mu się. Brzeszczot zwęzał się od rękojeści, jednak nie z takim finezyjnym wdziękiem, jak rapier. Rękojeść była prosta, pozbawiona ozdób. Wokół niej wiły się pręty chroniącego dłoń jelca. Kelsie z wolna powstała i spróbowała zadać cios, a potem odparować, nie miała jednak w ręku białej broni, raczej, jak rozstrzygnęła, narzędzie przeznaczone do zadawania ciosu

ostrzem, a o tego rodzaju walce nie miała zupełnie pojęcia. Cóż mogła zresztą wiedzieć o jakiegokolwiek walce?

Po raz wtóry obróciła się powoli, jakby na osi, lustrując to wszystko, co znajdowało się poza kręgiem. Czy ci pomordowani ludzie, tam, poza kamiennymi kolumnami, w dole zbrocza, próbowali dotrzeć do tego miejsca, kiedy ich napadnięto? A gdzie znajduje się owo t u t a j? Co się jej p x z y d a r z y ł o? Jakoś nie mogła dłużej wierzyć w tę historię bez ładu i składu, którą sobie ubzdurała na początku, jakoby to wszystko stanowiło rezultat halucynacji. „Ostatnia Brama”... Czy „ostatnia” miało znaczyć, iż znajdowały się tu jakieś inne bramy, o których istnieniu wiedziała umierająca kobieta? Kelsie stała zwrócona twarzą do bramy - dwa nie ociosane, wbite pionowo bloki kamienne znacznie od niej wyższe i trzeci umieszczony na nich. To była brama - tak, a tamto, po drugiej stronie Ben Blaira, na stoku - czy tamto również było bramą?

Kelsie zadrżała. Na szkockim pogórzu snuto dość opowieści - o ludziach, którzy gdzieś przepadali, a potem pojawiali się znowu; pozornie, według własnego poczucia czasu, znikali zaledwie na jedną noc, w rzeczywistości jednak na całe lata!

Opowieści... Dziewczyna podniosła się i ruszyła w kierunku bramy. Poza nią nie było nic z wyjątkiem omszałych płaszczyzn skalnych, łańców białych dzwoneczków i wzniesienia z głazów, które odgradzało ją od pomordowanych. A gdyby tak spróbowała, może zdołałaby przejść p r z e z n i ą ponownie?

Kelsie zamknęła oczy i usiłowała skupić myśli na powalonych kamieniach, które widziała przez bardzo krótką chwilę, zanim się tu znalazła. Tonęły w późnym letnim zmierzchu, albowiem księżyc ledwie świecił. Jeden z nich leżał; pamięć jej chyba nie myli, bo kot przeskoczył go właśnie w tym momencie, w którym podbiła Neilowi strzelbę. A leżał tam - starała się utrzymać w szybko zacierającej się pamięci tamten obraz - dwa kroki od niej. Otworzyła oczy. Tak, odważyła się wyjść z cienia tej bramy, lecz wciąż pozostawała w nieznanym. Z tyłu rozległ się ostrzegawczy pomruk kota i Kelsie spostrzegła pośród skał węzowaty kształt chudego ogara. Skoczywszy do tyłu schroniła się w tym miejscu, które zaczęła uważać za jedyne bezpieczne w owej krainie trwogi i śmierci.

Kocica ryknęła. W jakiś sposób zdołała uwolnić szyję z drogocennego łańcucha. Stała znów przy swoich kociakach, jedną łapę umieściwszy płasko na gorejącym ciepłem kamieniu. Od momentu, w którym ukazał się ogar, Kelsie bacznie czekała na pojawienie się jeźdźcy. Pies należał bowiem do jego asysty.

Zamiast niego dostrzegła czołgającego się mężczyznę, który usiłował zbliżyć się do niej na czworakach, chwiejąc się przy tym na wszystkie strony. W pierwszym odruchu Kelsie chciała wybiec mu na pomoc. Podejrzewała bowiem, iż ogar rzuci się i rozszarpie czołgającego się człowieka, kiedy ten będzie go mijał. Ale bestia nie uczyniła nic podobnego. I to właśnie zatrzymało Kelsie w miejscu.

- Ahhheeee...

Z pewnością krzyk ten wydobył się z gardła mężczyzny. Po nim rozległ się następny. Jeżeli ów człowiek wymawiał jakieś słowa, nie było wśród nich takiego, które Kelsie rozumiałaby. Odruchowo przyklękła obok kota i sięgnęła po łańcuch, ale w tym

momencie zwierzę prychnęło i zamierzyło się na nią zranioną łapą, jak gdyby chciało zedrzeć jej skórę z palców.

- Aaaaahaaaa...

Kelsie nie miała teraz wątpliwości, że ranny, czołgający się w kierunku kamiennego kręgu, odchylił głowę do tyłu i wył.

Ogar zaszedł go od tyłu i niby popędzał w stronę tego właśnie schronienia, którego mężczyzna szukał. Być może stworzenie zamierzało sforsować tym sposobem barierę, która przeszkodziła jego kompanowi, towarzyszącemu zamaskowanemu jeźdźcowi. Gdyby tak miało być, Kelsie nie chciała tego oglądać.

Ruszyła w kierunku bramy, a w jej głowie pojawiła się jakaś niewyraźna myśl dotycząca obrony. Wepchnąwszy koniec miecza w sam środek kępy mchu, tak aby pozostawał w zasięgu ręki, stała wymachując dla większej skuteczności już raz wypróbowanym ciężkim paskiem.

Czołgający się mężczyzna wyrzucał teraz z siebie dźwięki na kształt oszalałych słów - jednak nic one Kelsie nie mówiły. W pewnej chwili przypadł do ziemi, opierając się ciężko na jednej ręce, a drugą wyciągnął błagalnie w kierunku dziewczyny. Kelsie zauważyła, że ogar go nie nękał. Pragnął się dostać do środka i nie zrobił nic, co mogłoby mu przeszkodzić w osiągnięciu celu.

Mężczyzna znajdował się niemalże przy ziemi i przesuwiał się do przodu z ogromnym bólem, chwytając rękoma za darń. Pomiędzy jego ramionami raz po raz poruszała się brzechwa strzały. Pies wciąż trzymał się z tyłu, cofnął się nawet o krok.

Rozległ się przejmujący krzyk. Kelsie uskoczyła na bok, kiedy omiótł ją jakiś cień. Spojrzała w górę i dostrzegła ogromnego czarnego ptaka, którego jedno skrzydło w kształt

cie wielkiego łuku rozpościerało się na szerokość ponad pięciu stóp. Uskoczyła na bok myśląc, iż ptak chce ją skrzywdzić. Ale on wzniósł się tak szybko, jak przedtem opadł. Dziewczyna zdążyła jednak spostrzec, że jego przeogromne oczy stanowiły, podobnie jak oczy wierzchowca, przepastne głębiny, w których wirowały żółtozielone płomienie.

Ptak ponownie zawisł nad Kelsie. Dziewczyna machnęła z wściekłością paskiem i sięgnęła po miecz, ale znajdował się on już poza zasięgiem ręki. Dobięły do niej pojękiwania czołgającego się mężczyzny i wrzask kocicy, która skuliła się nad bezradnymi kociećtami.

Czy ów ptak, nie ptak, mógłby kiedykolwiek ziścić swój cel i wyrwać ją z kręgu, Kelsie nie dane było się dowiedzieć. Powietrze przeszył bowiem błysk niebieskiego światła, a w ślad za nim rozległ się trzask bicza.

Dziewczyna, oparłszy się mocno plecami o kamienny blok, podtrzymujący z jednej strony sklepienie bramy, spojrzała w kierunku stoku, który wcześniej pokonała szukając wody.

Dojrzała dwie postaci, dwóch jeźdźców. Ale żaden z nich w niczym nie przypominał tego w czarnym kapturze, który wcześniej usiłował jej dopaść. Wierzchowce nie były końmi; były to zwierzęta pokryte błyszczącym, czerwonekremowym włosiem, każde z rogami na czole. A jeźdźcy... Kelsie zamrugała. Czyżby miała kurka na oczach?

Kiedy po raz pierwszy znaleźli się w zasięgu jej wzroku, z pewnością mieli ciemne włosy i niemal śniadą skórę. Ale teraz, gdy wjechali pod złotą ulewę słońca, ich włosy zamieniły się w najprawdziwsze złoto, skóra stała się kremowa, a jej jasność podkreślały jeszcze jaskrawozielone stroje. W rękach nie trzymali wodzy, prawdopodobnie pozwolili swoim imponującym wierzchowcom iść swobodnie. Każdy z jeźdźców dzierżył natomiast coś, co wyglądało jak trzon bicia. Kelsie, wpatrując się, rozpoznała wśród nich kobietę, która cofnąwszy rękę trzasnęła czymś, co wydawało się linią żywego ognia - nie tak wyraźną jednak, jak sznur prawdziwego bata - w kierunku unoszącego się nad nimi ptaka.

Napastnik zaskrzeczał ochryple i wzbił się w górę, dobrze ponad ów błysk ognia, ogar zaś ni to zawył, ni to zaskomlał. Mężczyzna, który jeszcze kilka chwil temu czuł się, leżał teraz na wznak bez ruchu. Wzdłuż kamiennego kręgu ociężałe pósuwali się nowo przybyli. Kobieta pochyliła się i przyjrzała przesytemu strzałą ciału, ale ani nie zsiadła z wierzchowca, ani też nie usiłowała udzielić leżącemu jakiegokolwiek pomocy.

Jej towarzysz zatoczył koło w kierunku psa. Ten nie miał tyle szczęścia podczas ucieczki, co tamto latające stworzenie. Trzaskający koniuszek płonącego bicia trafił go w bok i w chwilę później pojawił się kłęb smolistego dymu. Równocześnie powietrze rozdarł krzyk i pies znikł, pozostawiając po sobie jedynie czarny osad na kamieniach, pośród których wcześniej próbował się skryć.

Kobieta osadziła wierzchowca przed bramą i zawołała głośno, kierując niezrozumiałe, wyraźnie wymawiane słowa do Kelsie, która uczyniła bezradny gest wolną ręką, podczas gdy w drugiej ścisnęła mocno pasek z kamieniem.

- Nie rozumiem! - odkrzyknęła.

Z przybyszów nie promieniowały miazmaty zła, które stanowiły istotę wszystkich innych stworzeń i czarnego jeźdźca. To, że nie chcieli zrobić jej krzywdy, wcale jej jeszcze nie uspokoiło. Bez wątplenia ludzie ci należeli do tego świata, który zmieniał się jakoś zbyt często - czyżby rzeczywiście byli godni zaufania?

Kobieta przez pewien czas patrzyła na nią szeroko rozwartymi oczami, wreszcie dołączył do niej drugi jeździec. Kiedy jego wierzchowiec się zatrzymał, Kelsie ponownie stała się świadkiem owej dziwacznej przemiany. Ich włosy zrobiły się rude, a na garbatym nosie kobiety pojawiły się złote refleksy piegów. Kelsie odniosła wrażenie, jak gdyby stała naprzeciwko nie dwojga, lecz wielkiej liczby jeźdźców, którzy zlewali się w... jedną osobę. Kobieta zamilkła. Wpatrywała się teraz szeroko otwartymi oczami w oczy Kelsie spojrzeniem, które świadczyło o zdecydowaniu i uwadze.

„Kim...” - Słowo to dotarło do Kelsie bardzo niewyraźnie i jeżeli cokolwiek jeszcze dorzucano do owego muśnięcia świadomości, dziewczyna tego nie odebrała. Nie wątpiła jednak, że zadano jej pytanie.

- Jestem Kelsie McBlair - mówiła wolno, pewna, że jeźdźcy nie mogą jej zrozumieć. A potem z ogromnym wysiłkiem spróbowała jeszcze czegoś innego. Były to obrazki z pamięci - powalone kamienne kolumny, szarpanina z McAdamsem i przebudzenie tutaj. Kelsie zdawała sobie sprawę z wrzasku, który dochodził z tyłu, i wiedziała, że to dziki kot we właściwy sobie sposób odpowiada na pytanie.

„...brama!” Kelsie znowu była pewna, że z całej frazy, która mogła mieć dla niej wielkie znaczenie, nie zrozumiała niczego z wyjątkiem jednego słowa.

Skinęła głową ryzykując, iż to słowo oznacza sklepienie, pod którym właśnie stoi. Kobieta oparła trzonek świetlnego bicza o bok konia i obiema rękami wykonała w powietrzu serię ruchów. Tam, gdzie wędrowały jej palce, pozostawały ślady niebieskawego światła - podobnego do tego emitowanego przez bicze - układające się w skomplikowany wzór. Czynność ta zdawała się uspokajać prądniczkę owych symboli. Kobieta skinęła głową i powiedziała coś do swego towarzysza.

Jeździec cofnął wierzchowca, a potem ruszył wzdłuż strugi krwi, którą pozostawił za sobą czołgający się mężczyzna, teraz leżący cicho i spokojnie. Po chwili zniknął pomiędzy skałami w pobliżu tego miejsca śmierci, na które Kelsie natknęła się wcześniej. A kobieta, której włosy znowu ściemniały niemalże do czerni, gdyż chmura przesłoniła słońce, ześliznęła się z grzbietu nie osiodłanego wierzchowca i zbliżyła do stojącej w bramie dziewczyny. Kelsie mocno trzymała pasek. Nie dopatrzyła się w przybyłej niczego przerażającego, ale cóż wiedziała o tym dziwnym i strasznym miejscu!

Kelsie poczuła na nogach muśnięcie futra. Dziki kot opuścił legowisko i jakby szykował się do obrony. W jego pysku migotał klejnot, który zabrał umierającej, łańcuch zaś ciągnął się po ziemi, zaczepiając tu i ówdzie o liście kwiatów.

Kocica wyszła na zewnątrz kamiennego kręgu, by to, co niosła, upuścić u stóp kobiety, która przyklękła pieszcząc nieustraszenie zwierzę palcami, nim sięgnęła po łańcuch i uniosła klejnot. Nie dotknęła go, ścisnęła w dłoni jedynie łańcuch. Ale na jej twarzy pojawiło się zdumienie, a potem błysk niepokoju. Niemal w tym samym momencie spojrzała ponownie na Kelsie.

„Kim...?” Tym razem to pytanie zadane w myśli było wyraźniejsze, mimo to i tak do Kelsie dotarło tylko pojedyncze słowo.

- Roylane - odpowiedziała głośno, odgadując znowu, jak, być może, brzmiało ono w całości. I w tej samej chwili spostrzegła, że oczy kobiety rozszerzają się, że na twarzy o zmiennych rysach wykwitają oznaki przeżytego wstrząsu.

„Kim...?” To samo słowo, niczym muśnięcie świadomości, pojawiło się znowu, a ręka trzymająca łańcuch drgnęła i szlachetny kamień zaśnił w słońcu.

- Kelsie - rzekła dziewczyna.

- Kel-Say. - Tym razem kobieta nadała kształt słowu ustami, nie myślą. - Kel-Say.

„...razem z...”

Kobieta znowu dawała jakieś znaki, teraz dla odmiany przywołujące. Wierzchowiec zbliżył się i stanął obok. Oczy, które utkwił w Kelsie, nie był kołami zabarwionego złem płomienia, takimi, jakie widziała u ogarów czy też u tamtego podobnego do szkieletu rumaka pod czarnym jeźdźcem. Miały raczej ciepły brązowy odcień i z pewnością odznaczały się inteligencją.

Kelsie jeszcze raz odgadła, czego sobie życzyli - żeby im towarzyszyła. Wiedziała, że krąg stanowił schronienie przed tym, z czym zetknęła się już w tej krainie. Ale czy odważy się nie usłuchać tego zaproszenia - a może był to rozkaz? Nie dałaby rady przeciwstawić się płonącym biczom tych dwojga, gdyby chcieli ją uwięzić. By zyskać na czasie, wskazała ciało na ziemi.

- A co z nim? - zapytała, wymawiając słowa starannie i próbując jednocześnie umieścić to pytanie w myśli. Odpowiedź, która nadeszła, była ostra i jasna.

„Trup!” Kelsie usłyszała miauczenie kocicy i popatrzyła w dół. Szczęki zwierzęcia zacisnęły się już na karku jednego ze zwiniętych w kłębek kociąt. Matka, uniósłszy swoje maleństwo wysoko, ruszyła ku bramie, najoczywiście gotowa iść z tą obcą kobietą, nawet gdyby Kelsie się ociągała. To skłoniło dziewczynę do podjęcia decyzji.

Cofnęła się, wzięła

swój płaszcz razem z miauczącym maleństwem w środku, po czym wróciła i nachyliwszy się podsunęła zawiniątko kocicy. Matka złożyła swój ciężar obok drugiego dziecka i kiedy Kelsie wreszcie przeszła przez bramę, kręciła się wokół jej nóg.

Na zboczu pojawił się drugi jeździec. Trzymając przed sobą ciało Roylane, wwiózł je do środka kręgu. Nic mu się nie przeciwstawiło, nie powstrzymało go, ale kiedy znalazł się wewnątrz, prosto osadzone niebieskie kolumny rozbłysły niczym świece, a zawieszona w powietrzu mgiełka rozpełzła się pomiędzy nimi. Mężczyzna zsiadł z konia, zdjął ciało, które w jego ramionach wydawało się drobne i wątłe. Potem ułożył je na ziemi, wybierając, Kelsie nie miała co do tego wątpliwości, nieprzypadkowo posłanie z białych kwiatów. Następnie oderwał od pasa dwa olśniewająco niebieskie pióra. Migotały one jak ogony ptaków, które Kelsie widziała wcześniej. Jedno upuścił na ziemię koło głowy, drugie przy nogach nieżyjącej już kobiety, nieruchomiejąc, by w końcu unieść obie ręce do czoła w geście, który wydawał się oddaniem honorów. Tymczasem z ust jego towarzyski wydobywał się strumień monotonicznie wyspiwywanych dźwięków, które były zapewne pożegnaniem, a może wezwaniem do modlitwy.

Kiedy odwrócił się, by odejść, pomiędzy kamiennych kolumn do środka kręgu popłynęły smugi mgły. Osiadały wokół tego niewielkiego zmaltretowanego ciała, aż żywi stali się ledwie widoczną falującą substancją.

„...chodź...” Kelsie wezwano znowu, a przecież wybór miała niewielki. Dosiadła niezręcznie wierzchowca kobiety, trzymając w ramionach płaszcz z wiercącymi się kociętami. Kobieta chwyciła z kolei kocicę i wsunęła ją do zawiniątka, które trzymała Kelsie. Następnie, ku zdumieniu dziewczyny, włożyła tam również klejnot. Kocica

popchnęła go łapą pod siebie, kiedy mościła się razem ze swoją rodziną, popatrując przy tym na Kelsie i pomrukując, jak gdyby wzywała ją do przejęcia opieki.

Jechali skrajem parowu, w którym płynął strumień.

Zwierzę dosiadane przez Kelsie przyspieszyło biegu, jego towarzysz zaś natychmiast do niego dołączył.

W trakcie jazdy coraz oczywistsze stawało się dla Kelsie to, iż gdziekolwiek by się znajdowała, był to kraj, którego nigdy nie widziała ani o którym nigdy nie słyszała. Wokół pojawiła się dziwna roślinność, a w wysokiej trawie na otwartych przestrzeniach żerowały jakieś stworzenia, które nie wykazywały żadnego pokrewieństwa ze znanymi jej zwierzętami.

Gdy tak jechali, Kelsie spostrzegła, że mężczyzna trzymał się z tyłu, a jego wierzchowiec niekiedy zwalniał biegu jeździec stanowił zapewne tylną straż. Już więcej nie usłyszeli skowytu ogarów ani żadnych innych dźwięków z wyjątkiem śpiewu ptaków z jasno upierzonymi skrzydłami, krążących nad nimi podczas tej jazdy.

Przemierzali otwarty kraj. Niekiedy wierzchowce szły klusa rozległymi, zarośniętymi polami, strzeżonymi przez porzucane kamienie, które tworzyły niegdyś graniczne murki. Kraj ten przedstawiał sobą obraz wielkiego spustoszenia.

W końcu dotarli do drogi, wytyczonej wgłębieniami kopyt i śladami stóp. Bez wątplenia była to droga, jeśli ów piaszczysty szlak dałoby się tak nazwać. Teren zaczął się wznosić po obu stronach i Kelsie spostrzegła, iż wjeżdżają w gardziel wąwozu, leżącego pomiędzy dwoma wzniesieniami, które nieco dalej osiągały wysokość najprawdziwszych gór.

Na skalnych ścianach, które mijali, wyrzeźbiono ciągi znaków, które mogły być nawet słowami nieznanego języka. Kobieta, z którą Kelsie dzieliła wierzchowca, witała swym płomienistym biczem każdą z mijanych skał pokrytych rzeźbionymi symbolami.

Pośpiesznie objechali ogromną skałę, na której szczycie przycupnęła postać tak dziwaczna, jak ogar czy potworna bestia dosiadana przez czarnego jeźdźcę. Niższy od normalnego mężczyzny wartownik, bo Kelsie wzięła ową postać za niego z powodu włócznie uniesionej w powitalnym geście w kierunku jeźdźców, okazał się olbrzymią jaszczurką

pokrytą złocistozielonymi łuskami. Miała ona okrągłą głowę o niemal ludzkich kształtach, chociaż pozbawione warg usta, zajmujące trzecią część czaszki, i czerwony język, drgający w powietrzu (jak gdyby badał, czy wieje bryza, której w tym momencie akurat nie było), stanowiły groteskowe kopie ludzkich cech. Kobieta odwzajemniła pozdrowienie uniesioną ręką.

Kelsie była pewna, że w drodze musieli mijać innych strażników, ale ten był jedynym, którego widziała. W końcu dotarli do wylotu wąwozu leżącego na granicy krainy, w której dziewczyna mogła odetchnąć spokojniej.

Od momentu przebudzenia się tutaj - gdziekolwiek owo t u t a j mogłoby się znajdować - oglądała jedynie dziwactwa i okropności. W tej zaś chwili przypatrywała się prawdziwemu pięknu. Rozpościerająca się przed nią kraina zieleniła się olśniewająco soczystą roślinnością, usianą tu i ówdzie gwiazdkami kwiatnych klejnotów o promiennych barwach. Z boku dojrzała pasące się spokojnie stadko zwierząt podobnych

do tego, które właśnie dosiadała. Tuż przed nimi, a także nieco dalej, kręcili się ludzie, ale nikt nie okazał najmniejszego zainteresowania pojawieniem się gromadki ziomeków.

W miarę jak zjeżdżali w dół droga zacierała się, a zbocza pagórków pokrywały się aksamitną trawą. W jakiś czas później Kelsie spostrzegła pierwsze domy - zdradziła je jaskrawość dachów, ściany bowiem stanowiły płatąninę winorośli. Czyżby niezliczonym stadom ptaków, takich jak te, co im towarzyszyły, wyrwano pióra, by wpleść w strzechy, które dzięki temu tak wyglądały?

Po raz pierwszy mieszkańcy doliny unieśli wzrok. Niektórzy zbili się w niewielkie powitalne grupy. Kilkoro miało szczególne cechy dwójga jeźdźców - ich skórę i włosy zmieniające barwę przy każdym ruchu. Inni zaś bardziej przypominali kobietę, którą Kelsie znalazła umierającą; byli wysocy i smukli, włosy mieli bardzo ciemne, skórę zaś słońce opaliło im już na jasny brąz.

Wśród oczekujących było czterech mężczyzn odzianych w kolczugi przedniej roboty, które, kiedy się poruszali, wydawały się giętkie jak ubranie. Znajdowały się tam również dwie kobiety. Jedna z nich miała na sobie zielony strój, niczym nie różniący się od tego, w który przyodziana była kobieta dzieląca razem z Kelsie wierzchowca. Druga natomiast miała na sobie długą, prostą szarą suknię, sięgającą obrębkami trawy, i okrągły pas ze zmatowiałego srebra ujmujący kibić. Włosy jej, surowo ściągnięte do tyłu, oplatała srebrna siateczka, a blada twarz przywodziła na myśl zmarłą pokąsaną przez ogara.

Właśnie ta kobieta w szarej sukni wysunęła się przed wszystkich, kiedy jezdni się zatrzymali. Całą swą uwagę skupiła jednak na drogocennym kamieniu na pół ukrytym pod jedną z kocich łap. Wargi jej poruszyły się, przełamując posagowy spokój twarzy, a szeroko rozwarłe oczy spojrzały najpierw na kobietę w zieleni, a potem na Kelsie.

Tej ostatniej wydało się, iż w tym długim, otwartym wejrzeniu czai się zarówno podejrzliwość, jak i groźba. Dziewczyna ześliznęła się z grzbietu gładkowłosego wierzchowca, wciąż trzymając w ramionach płaszcz z kociętami. Kóćca zeskoczyła lekko na ziemię już w tym momencie, kiedy jeźdźcy wstrzymali wierzchowce, i teraz wyginała się na swój koci sposób, muskając długą szarą suknię. W pysku ścisnęła łańcuch z klejnotem.

Kobieta w szarym odzieniu przystanęła wodząc palcami po puchatym łebku, a w chwilę później spojrzała ponownie na Kelsie, odzywając się w melodyjnym języku. Dziewczyna potrząsnęła głową z ubolewaniem.

- Nic nie rozumiem...

Kilkoro z oczekujących wyglądało na zaskoczonych, a kobieta w szarej sukni zmarszczyła brwi. W chwilę potem Kelsie w swej zbolątej głowie jeszcze raz rozpoznała tamto niepokojące uczucie.

„...kto... co...”

Po raz drugi ujrzała oczami wyobraźni scenę na Ben Blairze, próbując przy tym uzmysłwić sobie każdy najdrobniejszy szczegół. Skoro ci ludzie potrafią czytać w myślach, z pewnością będą w stanie wyłowić odpowiedź z tego, co właśnie przed nimi roztaczała. Tymczasem mars na twarzy kobiety tylko się zaostrzył, a wśród słuchaczy przebiegły szmery szeptów.

„...brama...” Słowo to wyszło od kobiety, która ją odnalazła. Dotknęła zaraz ramienia Kelsie., by przyciągnąć całą jej uwagę, i wskazała na siebie.

- Dahaun - wymówiła to imię z przesadnym ruchem warg, a Kelsie jeszcze raz odpowiedziała:

- Kelsie.

- Kel-Say... - Dahaun skinęła głową. Po czym wskazała kobietę w szarej sukni i wypowiedziała słowo, które Kelsie znowu dokładnie powtórzyła. Tym samym sposobem zostali jej przedstawieni pozostali.

Po dwóch próbach dziewczyna zdołała sobie poradzić. Crytha, Yonan (wyglądał na najmłodszego spośród mężczyzn), Kemoc, Kyllan. A ten, który górował nad resztą - Urik.

Kocica wspięła się na tylne łapy i drapnęła Kelsie z pretensją. Kiedy dziewczyna ułożyła na ziemi płaszcz z kociętami, matka od razu się nimi zajęła, jak gdyby nie dowierzała, że nic się im nie przydarzyło podczas jazdy.

Kelsie poprowadzono śpiesznie do najbliższego z tych dziwnych domów. Wewnątrz za zasłonami kipiała w płytkich zbiornikach woda. Dahaun uczyniła kilka ruchów proponując Kelsie, by zrzuciła ubranie i wzięła odświeżającą kąpiel. Następnie zaczęła wskazywać to tu, to tam i wymawiać słowa, które dziewczyna powtarzała za nią, starając się je właściwie akcentować.

Nim skończyła kąpiel i wytarła się do sucha kawałkiem kwadratowej materii, poznała około dwudziestu pięciu słów, które powtarzała bez przerwy, by je sobie przyswoić.

W chwilę później posilała się z tacy wypełnionej owocami, orzechami i małymi ciasteczkami. Czuła się nadzwyczaj swobodnie w szatach, które przyniosła jej Dahaun. Składały się na nie bladozielona luźna koszulka i spodnie raczej w typie obcisłych dżinsów, a także kaftan z długimi rękawami, sznurowany z przodu wiązadełkami ze srebra, z paskiem, którego wykute z tego samego metalu sprzączki wygrawerowano w zawile wzory. Na nogach Kelsie miała miękkie buty do połowy łydki, dość dobrze dopasowane. Wręczono jej również grzebień, by doprowadziła do porządku swoje krótko obcięte, układające się w pukle włosy. Przez cały czas uczono ją języka.

Na zewnątrz powstało jakieś zamieszanie, którego nie zagłuszył słaby, jednostajny szelest liści tworzących ściany. Na wezwanie Dahaun wszedł ciężko do środka postawny mężczyzna w kolczudze. Hełm wsparł na biodrze, odkrywając głowę i twarz. Była to jedna z tych twarzy, które budzą zainteresowanie. Mężczyzna miał skórę jasnobrażową, jak gdyby często przebywał na powietrzu, a bardzo ciemne włosy rozjaśniały na skroniach srebrne pasma. Spoglądał na Kelsie szarymi oczami z taką intensywnością, iż zdawało się, że gdyby tylko mógł, otworzyłby jej głowę i wygarnął z niej odpowiedzi na pytania, których istnienia Kelsie nawet nie podejrzewała.

- Przeszłaś przez bramę...

Rozwarłszy usta patrzyła na niego z przestraszeniem. Mężczyzna zwrócił się do niej w jej własnym języku!

- Przez bramę? - wyjąkała. - Tam nie było żadnej bramy, jedynie kamienne głazy. Neil przewrócił mnie, kiedy próbowałam powstrzymać go przed oddaniem strzału do dzikiego kota. Miałam świętą rację... - Niemalże zapomniany przyływ złości znów zalał ją falą

gorąca. Doglądałam swej ziemi - aż po powalone kamienie i dalej... Gdzie... gdzie jestem?

Zrobiła nieznaczny ruch, by wskazać to, co znajdowało się wokół, dom, nieznajomych ludzi - tę krainę...

- Jesteś w Zielonej Dolinie - powiedział mężczyzna. - W Escore. A dostałaś się tu przez jedną z bram... Może Pani okaże ci łaskę...

- Kim jesteś - zapytała wprost - i co to za bramy? - Po pierwsze, jestem Simon Tregarth, po drugie, należałoby sprowadzić kogoś z wtajemniczonych, kto by ci to wyjaśnił... jeżeli tylko on czy też ona potrafiliby to uczynić.

- Jak wrócę z powrotem? - Kelsie zadała najistotniejsze pytanie.

Mężczyzna potrząsnął przecząco głową.

- Nie wrócisz. W tej chwili mamy tylko jednego wtajemniczonego, a twoja brama doń nie należy... Nawet Hilarion nie może odesłać cię z powrotem.

Przy wejściu pojawiła się kobieta w szarej sukni. Przepchnęła się do przodu, zachowując jednak pewną odległość między sobą a rozmawiającymi, jak gdyby odczuwała jakąś niechęć do mężczyzny. Zwróciła się doń obcesowo, a on, nim ponownie obrócił się ku Kelsie, wzruszył ramionami. Było oczywiste, że tych dwoje niewiele łączyło.

- Ta, którą zwą Wittle, chciałaby wiedzieć, jak weszłaś w posiadanie klejnotu. Z pewnością nie przyniosłaś go ze sobą.

- Miała go ona... kobieta, która umarła... Roylane. Zapadła kompletna cisza. Wszyscy wpatrywali się w nią, jakby wyrzuciła z siebie jakieś złowieszcze słowo czy może słowa.

- Zdradziła ci swoje imię? - spytał natychmiast mężczyzna, nazywający siebie Tregarthem.

Kelsie uniosła podbródek, wyczuła w tym pytaniu niedowierzanie.

- Umierając - rzuciła krótko.

Tregarth odwrócił się do kobiety w szarej sukni i mówił coś szybko. Chociaż ta zdawała się go słuchać, ani na chwilę nawet nie spuściła oka z Kelsie. Coś w tym uporczywym spojrzeniu było takiego, że dziewczyna czuła się coraz bardziej niespokojna, jak gdyby każdym ruchem powieki oskarżano ją o śmierć tamtej podróżującej kobiety i jej towarzyszy.

Ale Tregarth jeszcze raz skierował całą swą uwagę ku dziewczynie.

- Sama wzięłaś klejnot czy za jej pozwoleniem?

Kelsie zdecydowanie pokręciła głową. Zaprzeczenie to skierowane było bardziej do kobiety w szarej sukni niż do mężczyzny.

- Kot go wziął - powiedziała nie dbając, czy uwierzą w to, co właśnie oznajmiła. Po czym wzbogaciła swoją wypowiedź opisem, w jaki sposób zwierzę zabrało drogocenny kamień właścicielce. Raptem do jej świadomości dotarło muśnięcie gęstego futra, więc spojrzała w dół i zobaczyła dzikiego kota, który zatrzymawszy się usadowił tuż przed nią, końcem ogona okrywając zarówno zdrową łapę, jak i tę skaleczoną. Jednocześnie jak gdyby dawał znać, iż również nie przystaje do tego świata.

Kobieta w szarej sukni była prawdziwie zaskoczona pojawieniem się kota. Klejnot wciąż zdobił szyję zwierzęcia. W pewnym momencie kot pochylił łeb, by złapać zębami drogocenny kamień.

Chociaż kobieta zrobiła krok do przodu i wydała taki dźwięk, jakby odmawiała kotu owego trofeum, zatrzymała się najszczerzej zdumiona zachowaniem zwierzęcia.

- Czy to tak odbyło się wcześniej? - zapytał Tregarth. - Tak. To kot go wziął... - Kelsie pomyślała, że zrobiła roztropnie, czyniąc tę uwagę tak szybko, jak to było możliwe. Nie życzyła sobie, by myślano o niej jako o tej, która obrabowała umarłą. Chociaż nie wiedziała, czemu miałyby odebrać jej taką błahostkę.

- Kot wszedł do bramy przed tobą albo razem z tobą. Mężczyzna nie uczynił z tej wypowiedzi pytania, Kelsie jednak uważała za stosowne odpowiedzieć:

- Tak.

Tym razem potokiem słów wybuchnęła Dahaun. Kelsie dosłyszała kilkakrotnie zarówno swoje imię, jak i słowo „brama”. Najpierw skinął głową Tregarth, a potem Wittle, ta ostatnia niechętnie; Kelsie nie miała co do tego żadnych wątpliwości. W chwilę później dziewczyna przyglądała się, jak kobieta w szarej sukni wyjęła z ukrytej kieszeni niewielki woreczek i póty wyciągała z niego troczki, aż rozłożyła go płasko na macie okrywającej podłogę. Przyklękawszy rozprostowała ów kawałek materiału jeszcze bardziej, po czym obróciła się w stronę kota. Zetknawszy się z nim oko w oko, nie wydała jednak żadnego dźwięku.

Jeśli prosiła stworzenie, by zrezygnowało z pieczy nad klejnotem, to nie odniosła sukcesu. Kot cofał się bowiem, wciąż ku niej zwrócony, aż zatrzymał się w sporej odległości. Między oczami kobiety, które pod ciemnymi brwiami wydawały się niemal białe, pojawiła się pionowa zmarszczka. W tej chwili Wittle coś mówiła, coś, co miało swoisty rytm i mogło stanowić część jakiegoś obrzędu. Ale kot nawet się nie poruszył. W końcu kobieta podniosła woreczek i znów rzuciła na Kelsie ostre i groźne spojrzenie, mówiąc coś z godnością.

Tregarth wysłuchał jej, po czym przetłumaczył dziewczynie.

- Rozkazuje ci się, byś sprawiła, aby twoja przyjaciółka zezwoliła oddalić się mocy...

- Rozkazuje się? - warknęła Kelsie. - Nie mam żadnej władzy nad kotem. Przyjaciółka... - resztki jakiejś dawnej wiedzy wychynęły na powierzchnię jej umysłu w ten sposób zwykło się mówić o czarownicach, które wysługują się zwierzętami. No więc nie wiem, gdzie się znajduje ta wasza Zielona Dolina ani Escore, ani to wszystko, co w niej jest! Nie jestem czarownicą - coś takiego nie istnieje.

Na wargach mężczyzny pojawił się po raz pierwszy cień uśmiechu.

- Och, ale tutaj one są, Kelsie McBlair. Tu jest ich kolebka, tu jest źródło tego, co mogłabyś nazwać czarostwem.

Kelsie roześmiała się niepewnie.

- To jest jakiś sen - rzekła raczej do siebie niż do mężczyzny.

- Żaden sen.

Głos mężczyzny był całkowicie poważny i Kelsie pomyślała, że przygląda się jej z odrobiną litości.

- Brama pozostała za tobą, nie możesz wrócić... Uniosła ręce.

- Co to za bajanie o tych wszystkich bramach? zapytała. - Prawdopodobnie znów znalazłam się w jakimś szpitalu, te wszystkie rojenia zaś są rezultatem uderzenia w głowę...

Ale nawet jeśli próbowała podnieść się na duchu po tym wszystkim, wiedziała, że to, co myślała i mówiła, nie było prawdą. Nie mogła udzielić wiarygodnej odpowiedzi.

Kobieta w szarej sukni zrobiła następny krok, wyciągając jednocześnie rękę dłonią ku górze w kierunku Kelsie, a mars na jej czole jeszcze się pogłębił. Wreszcie wybuchnęła potokiem słów, które wysokością tonu zbliżyły się do wojskowych komend.

- Ona jest czarownicą! - Kelsie przeprowadziła kontratak.

- Tak - odparł Tregarth ze spokojem i z taką jakąś pewnością, że to, co mówił, wydawało się prawdą. - Czy masz jakąkolwiek władzę nad kotem?

Kelsie potrząsnęła głową energicznie.

- Mówiłam już, że kocica zabrała tę rzecz owej kobiecie... Roylane, kiedy ta umierała, i kobieta na to przystała. Nie wręczono tej rzeczy mnie. Niech ta... ta c z a r o w n i c a wyblaga ją od kocicy.

Tregarth już wcześniej przyjrzał się dokładnie zwierzęciu, teraz zaś obrócił się ku tej, która przywiozła Kelsie do Doliny. Zadał jej pytanie w owym języku, który brzmiał bez mała jak świergot podekscytowanych ptaków. Teraz przyszła kolej na Dahaun, by obrócić się twarzą ku zwierzęciu i własną ręką wziąć od samozwańczej czarownicy kamień, o który toczył się spór.

Jakiś czas wszyscy stali wyczekująco, a Kelsie nękała myśl, iż kocica zrozumiała, co zaszło, i była zadowolona z tego, że może im trochę podokuczać. Wreszcie zwierzę opuściło łeb, by wypluć klejnot prosto w środek mieniącego się kawałka materiału, który wyjęła Dahaun. Czarownica podała się do przodu, ale kobieta w zielonym stroju machnęła ku mej ręką, by się nie ruszała. Sama zaś wyciągnęła troczki i zrobiła zawiniątko.

- To, aby go schronić w świątyni - objaśnił Tregarth Kelsie. - Jego moc zmarła razem z tą, do której należał. W końcu Dahaun powstała, zostawiając zawiniątko na ziemi, a kot uniósł je za troczki. Następnie zwróciła się do czarownicy, której blada twarz nabrała lekkich rumieńców, a usta ścięły się w prostą linię. Obróciła się szybko, jej szara suknia z impetem okręciła się wokół, kiedy ruszyła. Wszyscy zebrani rozstapili się przed nią.

Tregarth przyglądał się jej, po czym sam zmarszczył brwi. Jeszcze raz zwrócił się do Kelsie.

- Nie może się z tym pogodzić. Trzymaj się od niej z dala, dopóki nie oswoi się z faktem, iż jej siostra wedle Mocy rzeczywiście tak postąpiła, jak ty i Szybkostopa powiadacie. - Wskazał kocicę. - One, te z Estcarpu, rządzą zbyt długo, by znosić przeciwności nawet w drobnych sprawach. A Wittle bardzo liczyła na przybycie swojej siostry wedle Mocy. Ta zaś zmarła... jak?

Pytanie to rozbrzmiało niczym trzask bicza. Kelsie opowiedziała o strzałach, które widziała, a które powaliły strażników, i o ogarze atakującym kobietę.

- Niewiele było do oglądania, aczkolwiek... - dodała, a on szybko podchwycił.

- Jeździec?

Kelsie opowiedziała o tym, który napastował ją w kręgu. Ręka Tregartha powędrowała do boku ku rękojeści miecza, a usta wykrzywiły się w grymasie nie mającym nic wspólnego z uśmiechem.

- Sarnowie! Sarnieńscy Jeźdźcy... i im podobni.

Słowa te zamieniły się następnie w świergotliwą mowę ludzi z Doliny i Kelsie wylawiała spośród nich co pewien czas takie, które rozumiała - na przykład „blisko”, „kameień” i „brama”.

Dahaun ujęła niespodziewanie ręce Kelsie, zanim ta zdążyła się poruszyć czy cofnąć. Następnie skinęła szorstko głową jednemu ze swoich ludzi, by wyjął sztylet. Na jego rękojeści tkwił kawałek połyskującego niebiesko metalu, zbliżonego odcieniem do barwy kamiennych słupów, pomiędzy którymi schroniła się dziewczyna. Mężczyzna przeciągnął nim po uniesionych i odwróconych do góry dłoniach dziewczyny, nie dotykając skóry, wystarczająco jednak blisko, by poczuła ciepło, jak gdyby metal ów buchnął na chwilę płomieniem. Następnie Dahaun utkwiała oczy w Kelsie, a jej twarz stężała w skupieniu.

Coś na kształt znanego już bólu przeszło głowę dziewczyny. Tyle że to coś przypominało raczej nie tyle słowa, ile myśli - nie jej własne myśli.

„Jesteś... jedną z przywołanych... Przepowiedziano...” Kelsie nie pojęła całego przesłania, ale te kilka słów przyprawiło ją o nerwowy tik. Przywołana... Przywieziono ją tutaj, tak, ale jej nie wezwano... chyba że to pośpieszne opuszczenie kręgu można by tak określić. Przepowiedziano... Znowu te czarodziejskie sztuczki, no właśnie. Zwróciła się do Tregartha:

- Nie przywołano mnie... niby jak...?

W tym momencie Kelsie była pewna, iż w jego głosie, kiedy jej odpowiadał, pojawiła się nuta sympatii.

- Bramy otwierają Moce, których my nie rozumiemy. To, że przeszłaś przez jedną, której nie używano od pokoleń, wystarczająco podkreśla wagę twojej osoby. To jest kraj rozdarty przez wojnę - Światłość przeciwko Ciemności. Nam, którzy wielokrotnie stawialiśmy czoło temu, co znajduje się poza zwykłym doświadczeniem, łatwo jest uwierzyć i stwierdzić, że zostałaś przywołana. A podczas ostatniej wróżby ze szklanej kuli przepowiedziano, że ktoś nadejdzie...

- Nie wiem, co masz na myśli! Wszystko mi jedno! Jeśli jest tu jakaś brama, pozwólcie mi odejść! - wykrzyczała wreszcie Kelsie.

Simon Tregarth potrząsnął głową.

- Bramy otwierają się raz, z wyjątkiem tych, na które ktoś z wtajemniczonych nałożył geas. Nie ma odwrotu. Kelsie patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami. Wewnątrz, w samym środku, czuła rozchodzący się we wszystkie strony chłód własnego jestestwa.

Minęły dwie noce i nastał dzień trzeci. Kelsie, wspinając się, wydostała się z zielonej misy Doliny w pobliże wzniesień strażniczych i przysiadła na stosie kamieni pomiędzy dwiema skałami, zwracając się ku nie znanym sobie przestrzeniom. Zmuszała się, by uznać to, co powiedział jej Simon Tregarth, że zarówno ona, jak i dzika kotka przeszły przez jakąś tajemniczą bramę czasu i przestrzeni do innego świata, z którego, jak twierdził, nie było odwrotu. Dziewczyna nie czuła się przygotowana do tego, by uznać i resztę - że przywołano ją tutaj czy też porwano i przeprowadzono przez bramę, by spełniła jakieś posługi. Daleko łatwiej było jej przyjąć, że los sprzyścił się przeciw niej.

Skoro nie ma stąd odwrotu, byłoby lepiej, gdyby przygotowała się do życia w tej krainie. Nie bez trudu przyswajała sobie śpiewny język mieszkańców Zielonych Przystaw, ucząc się nawet słów od ludzi innej rasy, także zamieszkujących tę przystań bezpieczeństwa, jaką była - według zapewnień Tregartha - Dolina. A wszystko przez to, że zdołała, kiedy ją tutaj przywieziono, przejść obok pewnych symboli. Uznano więc, że zasługuje na schronienie. Mimo to wypytano ją dokładnie kilkanaście razy zarówno o czarnego jeźdźcę, jak i o umierającą czarownicę.

Ta druga zaś czarownica... ten zimny, szary słup, wystraszyła ją bardziej niż ktokolwiek inny, kogo przedtem spotkała - bardziej nawet niż jeździec i jego ogar. Głównie dlatego, myślała Kelsie, iż kobieta ta, obcując tu na co dzień z innymi, mogła wykorzystać przeciw niej ich umysły, gdyby tylko tak postanowiła. Prawdopodobnie zdecydowałaby się na takie ryzyko przy pierwszej oznace słabości Dahaun i jej ludzi. Kelsie unikała Wittle zdecydowanie, choć sądziła, iż czarownica co najmniej dwukrotnie podejmowała wysiłki, by się do niej zbliżyć.

Myśli - a może były to groźby pod postacią myśli? roily się jej w głowie i Kelsie walczyła z nimi zawzięcie. Najpierw odkryła, iż poprzez skupienie całej uwagi na jakimś temacie wydaje się niweczyć owo rojenie, to podstępne najście na swój umysł. Dwukrotnie już zmuszono ją do wewnętrznej bitwy we własnej obronie. Za każdym razem działo się to wtedy, kiedy nie było ani Dahaun, ani Tregartha, ani nawet kobiety w szarej sukni, o ile oczywiście Kelsie mogła być tego pewna. Zarówno za pierwszym razem, jak i za drugim zdołała zapobiec owemu gwałtowi na sobie, myśląc o umierającej czarownicy i wypowiadając jej imię w charakterze opiekuńczego talizmanu.

Za każdym razem, gdy odkrywała w swym umyśle owo napięcie, czuła, że bezsilny gniew czarownicy stawał się coraz zimniejszy i bardziej groźny. W końcu nie odzyskała ona klejnotu, który zdawał się jej wielkim pragnieniem. Dzika kotka zabrała go bowiem do swego niewielkiego legowiska, które Dahaun kazała zrobić dla niej i dla jej kociąt, i nie wyniosła już nigdy naienne światło.

Kelsie zaczęła znów śmiało rozważać i badać fakty, które poznała. Nie wszystko w tym bezpiecznym miejscu miało ludzki wymiar - a jednak ci wszyscy ludzie zdawali się złączyć myślą i wspólnym celem.

Byli tacy, którzy chodzili uzbrojeni, jak Tregarth i jemu podobni, i to zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Byli również ludzie podobni do Dahaun, których zmienne barwy

zdawały się pochodzić od noszonych przez nich pasów i opasek. A te wykonano z niebieskozielonych kamieni szlachetnych, żyjących własnym życiem... jedynym w swoim rodzaju.

Był lud jaszczurczy, którego członkowie, wyróżniający się złocistozieloną barwą, grzebieniastymi głowami i oczami tak twardymi jak drogocenne kamienie, przemykali się to tu, to tam pośród reszty albo siedzieli nieskrępowani, grając w jakieś gry małymi połyskującymi kolorowo kamykami.

Przestawały z nimi Renthany - te niestrudzone zwierzęta, z których jednego Kelsie już dosiadała. I były jeszcze dziwniejsze stworzenia unoszące się w powietrzu.

Te, jak dowiedziała się Kelsie, zwały się Flannanami drobne człekokształtne ciała podtrzymywane przez opalizujące oślepiającym blaskiem skrzydła. Ich powietrzne tańce zadziwiały bardziej niż wiele innych cudów. Były jeszcze olbrzymie ptaki czy też ptakopodobne stworzenia, które cięły powietrze w regularnych lotach, jak gdyby odstraszać niebezpieczeństwo zagrażające ze szczytów. Bo mimo całego bezpieczeństwa Dolina i ci, którzy nią władali, znajdowali się w oblężeniu.

Raz i drugi Kelsie widziała oddziały wartowników odjeżdżające w góry; pewnego razu wśród powracających znalazł się ranny mężczyzna. Każdej nocy rozpalano wielki ogień na otwartej przestrzeni nad rzeką, która wiała się niczym srebrna wstęga. Do ognia ludzie Dahaun wrzucali w uroczystym obrzędzie pęki liści i wiązki gałązek, tak iż unoszący się do góry dym roztaczał ostre wonie.

„Kel-Say...” Dziewczyna wzdrygnęła się. Pod jednym z miękkich butów, które nosiła, obruszył się i potoczył w dół niewielki kamień.

Nie była to Dahaun ani Tregarth, ale ta, od której Kelsie usiłowała stronić - kobieta w szarej sukni. Siedziała teraz spokojnie, sama, na starannie wybranej skale, tak iż Kelsie nie mogła oddalić się ze swego miejsca nie musnąwszy jej z konieczności.

- Jesteś bardzo odważna... albo bardzo głupia - kobieta była zapewne obeznana z mową Tregartha albo może wtargnęła za pomocą jakiejś mocy do świadomości dziewczyny, naprzeciw której teraz się znajdowała - wyznając tak otwarcie własne imię. Czyżby nie wierzone tam, skąd przysłaś, że imię jest najsekretniejszym określeniem żyjącej istoty? A może jesteś tak dobrze chroniona, że nie musisz się bać? Ku jakim magicznym kunsztom się skłaniasz, Kel-Say?

W głosie czarownicy pojawiła się kpiąca nuta, co Kelsie od razu wyczuła. Jej uraza była w tym momencie większa niż niepokój i obawa, które ta kobieta zawsze w niej budziła.

- Nie skłaniam się ku żadnym magicznym kunsztom odrzekła pośpiesznie. - Nie wiem, czemu tu jestem, a twoja brama... - odetchnęła głęboko.

Czarownica potrząsnęła głową.

- To nie m o j a Brama... nie wtrącamy się w takie sprawy... chociaż niegdyś - wyprostowała się, a na jej twarzy pojawił się cień dumy - mogłyśmy wiele zdziałać, co równało się być może znajomości sekretów Bram. Ale... - czyżby jej kwadratowe ramiona opadły odrobinę pod ciężkimi zwojami szarej sukni? - ten czas już minął. Powiedz mi, dziewczyno, Kel-Say - znowu wycedziła to imię z przesadą, jakby wypowiadała coś doniosłego - kto też przewodzi magicznym kunsztom tam, skąd jesteś?

- Jeśli masz na myśli czarownice - Kelsie odpaliła gorączkowo - nie ma tam żadnej... doprawdy. To są po prostu zwykłe opowieści... Och, pewni ludzie interesują się starymi wierzeniami i rozprawiają o nich. Biorą udział w jakichś obrzędach, zaklinając się, że ich rodowód sięga dawnych czasów... Ale to tylko gra ich wyobraźni!

Zapadła cisza i Kelsie znowu wyczuła we własnym mózgu znane już sobie gmeranie, jak gdyby czarownica, nie dowierzając jej, poddawała ją jakiejś próbie.

- Wierzysz w to, co właśnie powiedziałaś? - Wyzwanie w spojrzeniu kobiety przeobraziło się w zdumienie. Wierzysz! Jak więc tam, skąd jesteś, sprawy mogły toczyć się normalnym trybem, skoro prawdziwa wiedza aż tak się zatraciła? A jednak Tregarth...

- Kelsie wydawało się, że czarownica wymówiła to słowo wykrzywiając wargi w odrazie - rozporządza odrobiną mocy, choć przyszedł stamtąd, jak utrzymuje, skąd ty... tyle że przez inną bramę.

Kelsie podniosła się i usadowiła na skale tak, iż znalazła się twarzą w twarz z kobietą w szarej sukni. Czarownica nie patrzyła już na nią z góry.

- Nie wiem, co masz na myśli, mówiąc „moc”...

Ale czy była to prawda? Oblegając krąg, jeździec z pewnością nie używał normalnej broni, kiedy próbował do niej strzelać. Nie był też w stanie skierować swego wierzchowca do wnętrza kamiennego kręgu, choć ona sama z łatwością mogła przekraczać go tam i na powrót.

- A widzisz?! Wiesz... przynajmniej, że moc tego rodzaju działa tutaj. - Czarownica bez trudu mogła sięgnąć do wnętrza umysłu i czytać myśli. - Przepowiednia głosi, że ktoś nadejdzie i że nadejście to oznacza cudowne rzeczy. A Roylane... - znów jej usta wykrzywiły się tak, jak gdyby było jej bardzo trudno wymówić to imię - oddała swój klejnot... - Nie mnie - zauważyła Kelsie.

- A jakże, kotu. A co to ma znaczyć, Kel-Say? Powiedz mi teraz prawdę.

Uniosła rękę i strzeliła palcami. Błysk niebieskiego światła pomknął w kierunku dziewczyny. Uchyliła się przed nim, jednak iskra dotknęła skroni. Kelsie miała wrażenie, jak gdyby ognista kula rozbiła się jej w głowie. Krzyknąwszy zachwiała się.

- Arkwra!

Wciąż nie mogąc odzyskać równowagi, dostrzegła raptem jakiś inny bicz ognia, który spadłszy najwyraźniej z nieba oddzielił ją od czarownicy. Mężczyzna, któryś z ludzi Dahaun, ponownie uniósł ramię. Kelsie poczuła żar, kiedy drugi bicz ognia strzelił tuż przed nią; nie trafił jednak ani jej, ani czarownicy.

Ten, który użył płonącego bicza, postąpił do przodu mniej więcej o krok i Kelsie rozpoznała w nim Ethutura, mężczyznę władającego pospołu z Dahaun tym miejscem pokoju. Ramię w ramię z nim, dotrzymując mu kroku mimo broni u pasa, zbliżał się młody człowiek, jeden z wywiadowców, którego Kelsie przedstawiono jako Yonana i który opuszczał już granice Doliny, by stawić czoło złu w jego najtajniejszych kryjówkach.

- Zakazano ci tutaj takich sztuczek! - Ethatur zwrócił się wprost do czarownicy, a jej spokojna dotąd twarz wyciągnęła się teraz jakby w warknięciu.

Wargi kobiety poruszyły się tak, jak gdyby miała splunąć niczym rozwścieczony kot. Ale kiedy się odezwała, jej głos był niemal opanowany.

- Ona nie jest z wami spokrewniona...

- Ani też waszej krwi - odrzekł. - Jeżeli coś powie, powie to otwarcie z własnej nieprzymuszonej woli. To jest kraj wolnych ludzi - nie ma tu ani panów, ani sług.

- Wszyscy jesteście sługami! - wybuchnęła czarownica. - Sługami większej Mocy niż ta, którą ty czy ktokolwiek inny w tej Dolinie możecie przywołać!

- Ciemność przenika do wielu miejsc, w których, jak się uważa czy też niegdyś uważało, panuje Światłość. Nawet twoja związana przysięgą Pani nie wie na pewno, kogo przywitała w sercu swojej bezpiecznej krainy. Ci, którzy przechodzą przez bramy, obdarzeni są nadprzyrodzonymi umiejętnościami, talentami, impulsami, których nikt z nas nie potrafi nazwać. Z tego tylko wnoszę - że nie jest ona kluczem, za pomocą którego Ciemność może 0

- Wasze panowanie sięga poza góry - czy też sięgało, Jedna z Mądrych. Ale wydaje się, że nie możecie teraz zwołać odpowiedniej liczby sióstr, by działać więcej, niż mogą działać Mądre Kobiety, które popierają Panią. Przybyłaś do nas, do Estcarpie, by zarządzić stratom, ale podążasz zuchwale własną drogą, nie godząc się z ograniczeniami nałożonymi tutaj na moc. Dobrze wiesz, że użycie Mocy zawsze budzi Ciemności i tym sposobem potęguje je znacznie. Powiadam ci teraz - idź swoją własną drogą, twoja droga nie jest jednak naszą drogą.

- Jesteś mężczyzną! - W tym momencie z warg kobiety w szarej sukni wystrzeliły kropelki śliny, a jej wystające kości policzkowe ubarwił niezwykle rumieniec. - Cóż ty wiesz o mocy? Znasz tylko takie zabawki jak ta! - Wymachiwała rękami w stronę biczyśka, które mężczyzna wciąż trzymał w dłoni.

- Służy każdemu, kto potrafi się nim posługiwać mężczyznom i kobietom - rzekł Ethutur. - Tutaj nie chodzimy tymi drogami co w Estcarpie. Są pośród nas i ci, wspomniani przez ciebie, którzy pracowali niezmordowanie i dawniej, choć wówczas również byli mężczyznami. Niezbyt głośno chęłpisz się waszym siostrzeństwem wiedząc, w jakiej jest teraz kondycji.

- By zbawić nasz świat!

Rumieniec na twarzy czarownicy przygaśł, z oczu natomiast biła złość. Kelsie czuła wyraźnie całą tę namiętność - może zresztą tylko w to wierzyła - płynącą wprost od tej szczupłej, odzianej w szarą suknię osoby.

- By uratować swój świat. - Mężczyzna kiwnął głową. - Więc dobrze, pracowałaś dla własnego ludu. Ale, powtarzam jeszcze raz, wasze drogi nie są naszymi drogami. I pamiętaj o tym pod naszym niebem.

Mówił spokojnie, bez akcentu, jaki złość przydawała jej słowom, czarownica jednak wciąż pławiła się w niepohamowanej wściekłości, kiedy ich opuszczała. A Ethutur nawet się nie odwrócił, by zobaczyć, czy odeszła, jak gdyby już o niej nie pamiętał.

- Zrobiłabyś lepiej unikając jej - rzekł do Kelsie. Przyniosła ze sobą wszystkie ograniczenia zachodu i jeszcze przez długi czas, czego jestem pewien, będzie się opierała innemu sposobowi życia. Prawdą jest, iż czarownice z Estcarpu pracowały niezmordowanie, by obronić swój kraj przed dwoma odmiennymi zagrożeniami. Jednak podczas ostatniej walki nie tylko naruszyły zasoby Mocy, ale straciły również wiele spośród sióstr. Przybywają teraz tutaj, szukając możliwości powrotu do dawnej

światności i odzyskania tego, co stracili. Idzie o moc nie tylko dla tych, które żyją jeszcze w swojej twierdzy, ale również dla tych, które mają odpowiednie zdolności. Pragną zabrać je do siebie i ukształtować na swój wzór i podobieństwo. I nie podejrzewam, pani, abyś w tym, co mają do zaoferowania, znalazła coś dobrego...

- To ona przyszła do mnie - zapewniła Kelsie - nie ja do niej. Niczego od niej nie chcę. A o tej mocy, o której tyle teraz powiedziano, nic nie wiem i nie chcę wiedzieć.

Ethutur pokiwał smętnie głową.

- Wzyciu nie dzieje się tak, jakbyśmy chcieli, by pokazywały szalki naszej wagi - raczej tak, jak Wielkie Istoty uważały za stosowne wyposażyć nas przy naszych narodzinach. Moc może tkwić w mężczyźnie - albo w kobiecie - i nie muszą oni wiedzieć, że ją noszą, wychodzi zaś na jaw w momencie uderzenia nie przywołanego. Gdy już się przebudzi, można ją tak wyćwiczyć, jak ćwiczy się tego, kto pragnie osiąść umiejętność posługiwania się jakąś bronią. - Uśmiechnął się i wskazał na młodego mężczyznę, który stał teraz mniej więcej krok za nim. - Zapytaj Yonana o to, co zostało mu przypisane.

Ale Yonan nie odwzajemnił uśmiechu. Jego twarz pozostała posępna, jak gdyby wcale nie dostrzegał tego, co było radością w jego świecie.

- Nie pytaj o to - rzekł, kiedy Ethutur zawiesił głos. Żeby coś osiągnąć, trzeba przejść wyboistą drogę. Ale... wzruszył ramionami - jesteśmy tu po to, pani, by zapytać cię, gdzie się podziało to pokryte futrem stworzenie, które przeszło wraz z tobą przez bramę.

- Nie wiem. - Kelsie była zdumiona zmianą tematu, co młody mężczyzna musiał odczytać z jej twarzy, bo dodał: - Oto powód.

Yonan trzymał na piersi rękę, którą spowijał luźno spory kawałek jakiejś materii. A kiedy wyciągnął dłoń ku dziewczynie, rozległo się cichutkie miauczenie. Na skutek ruchu zmieniło się ułożenie materii i Kelsie dojrzała mały, pokryty białym futerkiem łebek uniesiony do góry, niewidzące, teraz przymknięte ślepka i otwierający się do kolejnego pisku pyszczek.

- Kilku Szarych - głos Yonana był chrapliwy - dokonując z rozkoszą swego dzieła, osaczyło śnieżną panterę z młodym. Małego znalazł i odratował Tsali. Umrze, jeżeli się go nie nakarmi.

- Ale on jest taki wielki. - Kelsie wyciągnęła już ręce w kierunku starannie owiniętego stworzonka. - Pewnie jest tak duży jak oba kocięta... a dzika kotka...

- Szybkostopa - poprawił ją młody mężczyzna, a ona spojrzała na niego zdumiona.

- Czyżbyście już ją nazwali?

- Przedstawiła się tak Pani Zielonych Przestworzy. Wszystko, co biega, fruwa albo pływa, a nie ma nic wspólnego z Mrokiem, należy do przyjaciół Pani. Ale młode umrze...

- Nie! - Poruszenia łebka szukającego czegoś uparcie, ciche kwilenie spowodowane głodem i samotnością wróciły Kelsie do rzeczywistości, przerywając jej zaabsorbowanie własną osobą i pozwalając zapomnieć o złości na czarownicę. - Wczoraj zabrała kocięta do swego własnego legowiska. Widziałam ją tylko wtedy, kiedy przyszła się pożywić.

Kiedy Yonan złożył jej w ramiona młode stworzenie, Kelsie wiedziała już, iż faktycznie musi odnaleźć towarzyszkę wędrownicę i przekonać się, czy Szybkostopa przyjęłaby je na wychowanie. Niektóre koty czyniły to chętnie, jak dobrze wiedziała.

Z pewnością dzika kotka znalazła legowisko gdzieś między stromymi, poszarpanymi ścianami skalnymi, osłaniającymi Dolinę. Pociągnęła ją zapewne wielka liczba płytkich jaskiń i szpar. Nie mogło ono mieścić się zbyt daleko od ludzkich siedzib, zwierzę przychodziło bowiem rankami i wieczorami po swoje pożywienie.

Kelsie przygarnęła opatulone stworzenie do siebie i spojrzała na Yonana.

- Co to jest?

- Śnieżna pantera - rzekł krótko. - Matkę musiano tropić aż od gór, skoro przyszła tak daleko. Ci Szarzy potrafią długo wędrować, kiedy podejda już zdobyć.

Młode trącało pyszczkiem palce Kelsie, ssąc je łapczywie. Od czasu do czasu przerywało tę czynność, by kwileniem oznajmić własne potrzeby. Kelsie zdecydowanie odwróciła się plecami do skupiska domostw i szałasów, które należały do ludzi nie narodzonych w Dolinie, i ruszyła w stronę urwiska. Zaczęła nawoływać - ale nie „kici, kici”, jak to zwykła czynić tam, skąd się wywodziła - lecz za pomocą własnego umysłu. Jeszcze przed chwilą nie myślała, by tak właśnie postąpić. Dość łatwo przyszło jej wyobrazić sobie dziką kotkę i kocięta, zatrzymać to wyobrażenie i nawoływać dalej w ten sam sposób, bez wypowiedzania słów, tę nieproszoną towarzyszkę własnej przygody.

Miała świadomość, że Yonan postępował za nią w pewnej odległości, jak gdyby obawiał się jakimś sposobem przeszkodzić jej w poszukiwaniach. Przedarli się z trudem przez kilka skalnych zboczy i strumień, który torował sobie drogę pośród wzgórz, by połączyć się z rzeką. Wreszcie Kelsie zatrzymała się.

Odniosła wrażenie, jak gdyby do pięciu pozostałych zmysłów, które służyły jej dotąd przez całe życie, dołączono nowy. To nie był węch, wzrok ani słuch, to było muśnięcie czegoś zupełnie innego.

Kiedy się na nim skupiła, zdołała wreszcie dostrzec dziką kotkę w pobliżu ogromnego głazu, jednego z tych, na których prastare rzeźby tak skruszały, iż z ledwością można było dojrzeć nikłe ślady ich rysunku. Kelsie postąpiła ku niej krok, a pyszczek Szybkostopej rozwarł się w ostrzegawczym mruknięciu. Chociaż podczas podróży do Doliny dziewczyna trzymała w ramionach zarówno kotkę, jak i jej kocięta, Szybkostopa oznajmiała, że był to tylko wymóg chwili i że nie zamierza więcej przystawać na takie poufałości. Czy to z tamtej strony bramy powiadano, że nikt nie może oswoić prawdziwego dzikiego kota? Wyglądało na to, że prawdy tego rodzaju miały rację bytu.

Kelsie nie zrobiła ani kroku więcej. Zsunęła tylko okutane stworzenie na biodro i wsparła się o głaz pokryty prastarymi wzorami, by opaść na kolana naprzeciwko kotki. Wreszcie umieściła zawiniątko na ziemi i rozsunęła fałdy materiału, tak że głodne, zawodzące bez przerwy stworzenie ukazało się w całej krasie.

Z ostrożności Kelsie nie zdradzała się ze swymi zamiarami. Nawet jeśli mogła ściągnąć myślami Szybkostopą, by ta przyjrzała się nowo przybyłemu zwierzątku, nie miała jednak odwagi próbować dalej. Zbyt mało wiedziała o tej nowej sile, by usiłować stosować ją dłużej.

Młode zawodziło nieprzerwanie. Szybkostopa mruknęła i jej przymrużone ślepia zwróciły się w kierunku stworzenia. Z wolna, cal za cal, jak gdyby podchodziła jakąś

zdobycz, ruszyła do przodu, z brzuchem na żwirze, nieruchomiejąc od czasu do czasu, by łypnąć na Kelsie, która zamarła w oczekiwaniu.

Pewnie młode zwęszyło coś sobie pokrewnego, bo obróciło łebek w stronę kotki, choć przecież było ślepe, jego kwilenie zaś przybrało wyższy ton. Kot skoczył, a Kelsie wyciągnęła rękę w obronnym geście bojąc się, że śmierć, nie życie, czeka młode w wyniku jej próby.

Szybkostopa wyprężyła się nad stworzeniem, które stanowiło zapewne czwartą część jej samej. Błyskawicznie wysunęła jęzor i polizła ślepy łebek. Wreszcie poszukała luźnych fałdów skóry na szyi zwierzęcia, by unieść je tak, jak to czyniła z każdym ze swoich kociąt. Zadanie to było prawie ponad jej siły. Młode walnęło o ziemię, zawodząc nieustannie, kiedy Kelsie i jej towarzysze znikali za skałą. Dziewczyna obróciła się i zobaczyła Yonana przyglądającego się w skupieniu kotce z pewnej odległości.

- Sądzę, że go przygarnie - powiedziała. - Ale czy młode przeżyje... tego nikt nie wie...

Po raz pierwszy spostrzegła na jego poważnej twarzy cień, który mógłby być wzięty za uśmiech.

- Wszystko ułoży się dobrze. - Młody człowiek wydawał się bardzo pewny siebie. - Tu życie ma pierwszeństwo przed śmiercią.

Kelsie rozmyślała nad tym wszystkim, co widziała w Dolinie, o tych ludziach, o których musi się tyle dowiedzieć. Musi się dowiedzieć? Jeszcze raz jej myśli zwróciły się gwałtownie ku domowi. Wszystkie te opowieści Tregartha o bramach i o tym, jak ten czy ów przeszedł którąś i nie mógł wrócić, byłyby prawdą? Być może nikt w świecie nie potrafiłby jej na to odpowiedzieć. Ale czego może się dowiedzieć - dowie się.

- Nie wywodziś się z Doliny... - Podała tę myśl jako stwierdzenie, a nie jako pytanie. Dolinę zamieszkiwały w istocie dwa gatunki ludzi człekokształtnych, by nie wspomnieć o tych, co mieli skrzydła, łapy czy kopyta, i o tych, których okrywały łuski.

- Nie. - Yonan siadł naprzeciwko niej ze skrzyżowanymi nogami, kładąc zmiętą materię, w której niósł kocię, na kopcu kamieni. - Jestem spokrewniony z tymi z Kars-tenu... również z tymi z Sulkaru.

Musiał zorientować się z wyrazu jej twarzy, iż te słowa nic dla niej nie znaczą, bo palnął taką mowę, jakiej nie słyszała, odkąd wyjechał Simon Tregarth.

- Płynie w nas krew Starej Rasy, a pochodzimy z południa, albo raczej moja matka stamtąd się wywodzi. A kiedy nas wygnano, ponieważ byliśmy tacy, jacy byliśmy, udaliśmy się w góry pogranicza i występowaliśmy przeciw Kolderowi, a także tym, którzy ścignęli śmierć na nasz Ród. Później, kiedy czarownice obróciły góry...

- Obróciły góry! - wtrąciła Kelsie. Może mogłaby uznać to i owo, ale nie obrócenie gór.

- Te, które rządziły Estcarpem - ciągnął - zebrały wszystką swą moc i stało się tak, jak gdyby znalazła się ona w jednym ręku. A wtedy uderzyły nią o ziemię i góry się zapadły, a potem wyrosły na nowo. Od tego czasu żaden człowiek nie zdołał dojść, którądy przebiegała granica.

Było całkiem jasne, że młody mężczyzna wierzył każdemu słowu, które wypowiadał, choć opisywał nieprawdopodobne czyny.

- A potem - mówił dalej - szukaliśmy krainy naszych marzeń i zjawił się Kyllan Tregarth, by poprowadzić nas do starej ojczyzny, właśnie do Escore. Ale tu od wieków

drzemało Zło, które przebudziło się z chwilą nadejścia Tregarthów, bo ich siostra Kaththea jest znakomitą czarownicą, chociaż nie nosi klejnotu, i to, czego dokonała w nieświadomości, przysporzyło kłopotów krajowi. Toteż jeszcze raz walczyliśmy, tym razem przeciwko armii Ciemności, a jest ona czymś gorszym niż ludzie nam podobni, którym przedtem stawiliśmy czoło. Dziwne w istocie były niektóre nasze bitwy...

Spojrzał w dół na własną rękę, która spoczywała na głowicy miecza. Wówczas Kelsie uprzytomniła sobie, iż ci mężczyźni, którzy nosili kolczugi, różnili się od tych, co zmieniali swój wygląd. Częściej trzymali rękę w pobliżu tej czy innej broni, jak gdyby nie oczekiwali od życia niczego innego, jedynie wojny i dźwięku surm.

- Kim jest Simon Tregarth... wspomniałeś o Kyllanie... - Simon jest jednym z tych, którzy przeszli przez bramę - tak jak ty, lady. Był osobistością wśród radnych Estcarpu, kiedy ci wystąpili przeciw Kolderowi, i dopiero niedawno powrócił z kolejnej wyprawy, która zaprowadziła go tam, gdzie nie stanęła jeszcze ludzka stopa. Poślubił była czarownicę, Jaelithę, i spłodził z nią Kyllana, Kemoca i Kaththeę, którzy przyszli na świat równocześnie. Nigdy przedtem nie zdarzył się taki cud - wojownik, mędrzec i czarownica - każde z nich dokonało wielkich rzeczy w tym kraju. Ale wciąż jest tu wiele do roboty. Jest tu również sporo takich rzeczy, których człowiek nie może pojąć...

Zmarszczył ponownie czoło i przejechał palcami po rękojeści miecza, a nawet wyciągnął go odrobinę, by potem z trzaskiem wepchnąć z powrotem do pochwy.

- I coś takiego przytrafiło się tobie - odezwała się Kelsie zachęcająco, kiedy umilkł. Pragnęła zgromadzić w pamięci możliwie najwięcej informacji zarówno o tym miejscu, jak i o wszystkim, co miało z nim jakikolwiek związek. Nie mogła dłużej zaprzeczać, iż przynajmniej w tej chwili czuła się tutaj usidlona. I dlatego im więcej się dowie, tym lepiej na tym wyjdzie w przyszłości. A jaką rolę mogłaby odegrać w sprawach tego świata, nie wiedziała ani też nie pragnęła się nad tym zastanawiać.

- Coś takiego przydarzyło się i mnie - zgodził się Yonan. - Przez pewien czas wierzyliśmy, że udało się nam odeprzeć widma Ciemności do ich posępnych kryjówek. Ale wspomniałaś nam o Jeźdźcu Sarnów, który ważył się zbliżyć do Doliny i zadać śmierć komuś, kto powinien być od niego potężniejszy...

- Roylane?

Kelsie wydawało się, że Yonan drgnął boleśnie, kiedy wypowiedziała to imię.

- Czarownica nie ma imienia. Poznać imię czarownicy to tyle, co zdobyć nad nią moc. Mimo to zdradziła ci swoje imię, jej klejnot zaś przypadł kotu. Zatem to coś nowego...

Spojrzała mu teraz prosto w oczy w taki sposób, w jaki nigdy przedtem nie próbowała tego czynić z nikim jak gdyby chciała zmusić go do odpowiedzi nawet wbrew jego woli.

- Kim jestem, jak myślisz?

Zanim odparł, odetchnął kilkakrotnie i w końcu rzekł: - Zostałaś przywołana... Pani Zielonych Przestworzy miała widzenie... A nikt nie może tu przyjść, jeśli nie rzucono nań klątwy zwanej *geces*...

- *Geas*? - zapytała.

- Nieuchronna podróż albo takież czyn, któremu nic ani nikt nie może się przeciwstawić. Tak, wiedzieliśmy, że ktoś nadejdzie... i być może o n i również o tym wiedzieli, w

przeciwnym wypadku Jeździec Sarnów nie wycofałby się między wzgórze. Na czym zasadza się geas w twoim przypadku... sprawdzisz na własnej skórze, pani...

- Masz rację - odparła pośpiesznie, zmuszając się wbrew własnej woli do dania wiary temu wszystkiemu przynajmniej w połowie.

Kelsie poderwała się raptownie, obracając się ku skale, na której przedziwne kręte linie i żłobienia stawały się wyraźniejsze w świetle słońca.

- Nic o tym nie wiem... o tym geas... Yonan wzruszył ramionami.

- Niekiedy tak właśnie jest, a o tym, że ono cię wie, przekonasz się dopiero po wielu dniach... I gdzie cię skieruje, tam pójdziesz.

- Mówisz tak, jak gdybyś wiedział coś o takich sprawach nie tylko z czczych opowieści.

Yonan przyjrzał się jej ponownie, a po twarzy przemknął mu cień uśmiechu.

- To prawda. Niegdyś rzucono tę klątwę i na mnie... tę potrzebę nie zaplanowanego wcześniej działania i...

To, co mógłby dodać, uwięzło mu w krtani, bo... w ich polu widzenia mignął między skałami przedstawiciel jaszczurczego ludu. Yonan porwał się natychmiast na równe nogi, wbijając wzrok w zielonozłote, pokryte łuskami ciało. Jaszczur zstępował zboczem Doliny z szybkością, która zaparła Kelsie dech w piersi. Wyglądało to niemal tak, jakby nurkował. Dziewczyna spostrzegła, iż wartownik, który korzystał przy tym ze wszystkich czterech kończyn, niósł coś w pysku niechlujnie zawiniątko, niemalże takie samo jak ów kawałek materiału, w którym Yonan przyniósł młode kocię. Czyżby rodzina Szybkostopej znów się miała powiększyć?

Skoro tylko jaszczur dotarł do płaskiego skrawka ziemi, na którym stali Yonan i Kelsie, wypluł to, co przyniósł, a potem trzasnął tym o głaz z rzeźbami. Rozległ się przeszywający dźwięk, a potem pojawił się kłęb czarnego dymu, któremu towarzyszył odrażający zapach. Yonan krzyknął, wyciągnął miecz, jaszczur tymczasem stał z boku ciężko dysząc, wlepiwszy podłużne oczy w mężczyznę.

Koniec miecza zahaczył o okrycie tego niechlujnego pakunku, szarpnął je w górę i do tyłu. Dym znikł, ale zapach stał się mocniejszy, zdając się zatruwać powietrze wokół.

Pod połą materiału, którą Yonan uniósł, leżał krótki pręt wielkości dłoni jaszczura. Był ciemnoszary, zakończony z jednej strony gałką, w której znajdowała się najwyczejniejsza dziura. Z niej to właśnie wydobywała się dymiąca substancja, wirując i kłębiąc się, jak gdyby walczyła o wolność.

Z przesadną ostrożnością Yonan zrzucił pręt z materiału. Sądząc z wyrazu twarzy, był tak samo zmieszany jak Kelsie. Dziewczyna wiedziała już jednak po pierwszym swym odruchu, iż nie położyłaby obnażonej ręki na tym przedmiocie, najwyraźniej wykonanym przez człowieka, nawet gdyby zaproponowano jej powrót do dawnej rzeczywistości. Ten szybki wymiotny odruch nie tylko wprawił ją w zakłopotanie, ale i zatrwożył.

W jej głowie pojawiło się coś na kształt niezwykle oddalonego kołatania ludzkiej mowy. W chwilę później jaszczur znikł, puściwszy się co sił w kierunku siedzib nad rzeką. Swoje znalezisko zostawił pod opieką ostrego miecza Yonana.

- Tsali udał się po pomoc... - rzekł młody mężczyzna. - Musiał znaleźć to w górach, na skałach wieńczących Dolinę.

- Spójrz! - Kelsie nie chciała dotknąć pręta, ale z powodu rosnącego niepokoju złapała kurczowo rękę Yonana.

Bo to coś na ziemi drgnęło!

Lecz to nie koniec miecza poruszył ów pręt. Wyglądało to tak, jakby przedmiot skręcił się jakimś sposobem w lewo, by ująć przed dotykaniem stali. Jak gdyby był czującym stworzeniem pragnącym uciec - uciec czy zaatakować?

Kelsie wpadła niemalże w taką samą złość, jak wtedy, kiedy obróciła się przeciw niej czarownica. Pręt ów miał własną wolę albo umieszczoną jakimś sposobem wewnątrz, albo oddziałującą nań z odległości. Okręcił się na tyle, by wysunąć się całkowicie spod materii, i Kelsie spostrzegła, iż gałka na jego końcu, zwracająca się w ich kierunku, była ukształtowana na wzór i podobieństwo głowy - stanowiła groteskową trawestację ludzkiej twarzy, w której szczeliny oczne buchały takim samym złym żółtym płomieniem, jaki Kelsie dostrzegła w oczodołach ogara o wąskiej czaszce.

Ku zdumieniu dziewczyny Yonan obrócił miecz jednym szybkim ruchem i wymierzył w stronę kręcącego się przedmiotu rękojeść, nie zaś ostrze... Wokół kuli wieńczącej głowicę broni pojawił się blask w postaci błękitnej mgiełki. Rękojeść dotknęła obracającego się pręta i..

Masywny przedmiot zadrżał, jak gdyby rzeczywiście był obdarzony życiem. Wydawało się również, że szybkie działanie Yonana unieruchomiło pręt, mimo iż uniósł on nieco koniec zakończony główką i kołysał nim przez chwilę na boki.

- Co to jest? - zapytała Kelsie. - Czy to jest żywe? - Nigdy przedtem nie widziałem czegoś podobnego zwrócił się do dziewczyny jej towarzysz. - Ale jest to wytwór Ciemności... Może Najpotężniejszych Ciemności.

Ledwie te słowa wydobyły się z ust mężczyzny, rozległ się wrzask wściekłości. Taki, jaki Kelsie z pewnością już słyszała. Spoza skały wyłonił się bezszelestnie kot, wlokąc za sobą coś, co gorzało ognistym blaskiem. Spomiędzy okrutnych kłów spływał łańcuch należący do czarownicy, drogocenny kamień zaś wrzał i pulsował, jak gdyby i w niego wstąpiło jakieś nowe życie. Kot zatoczył wielki łuk wokół tego, co wciąż drżało i walczyło o swoją wolność pod głowicą miecza Yonana.

Podbiegłszy od razu do Kelsie, Szybkostopa upuściła łańcuch z klejnotem prosto na noski miękkich, sięgających do połowy łydki butów dziewczyny i zaglądając jej w twarz wydała drugi, rozkazujący pomruk.

Kelsie pochyliła się i odszukała łańcuch, który osunął się na żwir, po czym podniosła go wraz z iskrzącym, obracającym się ledwie kilka cali od jej dłoni kamieniem. Jęknęła przy tym z powodu żaru, jaki wydzielał.

Pręt wpadł w tym momencie we wściekłość, usiłując toczyć się to w jedną, to w drugą stronę. Yonan był jednak baczny i głowica jego miecza skutecznie blokowała każdy skręt

w prawo i w lewo, nie pozwalając pręтови wyrwać się spod pieczy broni dzierzonej przez młodego mężczyznę. - Głupia!

Był to ostry głos czarownicy, który kazał Kelsie rzucić okiem przez ramię.

Przytrzymując spódnicę obiema rękami, kobieta z Estcarpu właściwie biegła, wyprzedzając Dahaun i dwie inne osoby - mężczyznę w kolczudze ludzi Starej Rasy i jakąś dziewczynę z Doliny, z niezawodnym biczyskiem. Ale całą tę trójkę poprzedzał z furkotem Tsali.

- Głupia! - Czarownica dyszała nieco, lecz nadbiegła pierwsza i pozostało jej dość siły, by uderzyć Kelsie mocno w rękę, jak gdyby chciała z miejsca wytrącić jej tym sposobem drogocenny kamień. - Spalisz końcówkę życia...

- Albo początek... - Głos Dahaun był bardziej opanowany. - Cóż to za licho znalazł Tsali w naszych granicach?

Zbliżyła się do tego drgającego, walczącego pręta i pochyliła się, by go uważnie obejrzeć. Wszyscy zamilkli, czekając na jej sąd. Ale ona tylko wstrząsnęła głową.

- Nigdy nie złamano odwiecznych zabezpieczeń Doliny. Tsali znalazł jednak pręt, kiedy ten toczył się między skałami, już niemal ześlizgiwał się do źródła, może po to, by skryć się w wodzie i ruszyć w dół z jej nurtem. To nie jest robota Sarnów ani tych Szarych, ani Thasów z pewnością... Gdyby jednak tak było, jest to coś, czego nigdy dotąd przeciw nam nie kierowano. To jest coś bardzo starego... i...

- L.. - Po raz pierwszy przemówił mężczyzna w kolczudze. Kelsie w pierwszym odruchu pomyślała, że wrócił

Simon. Ale twarz na wpół widoczna spod nanośnika strażniczego helmu należała do znacznie młodszego mężczyzny. - I czego to dowodzi, pani? Tego, że ci, co są po stronie Ciemności, rozwarli jakąś zbrojownię z prastarym orężem?

Młody człowiek nie dzierżył miecza, raczej coś, co przypominało kruchą różgę odartą z kory, od połowy zdobioną takimi samymi ptasimi piórami, jakie pokrywały dachy ludzkich siedzib w Dolinie.

- A więc - zwrócił się do Yonana - sprawdźmy, co my, ludzie z Doliny, możemy temu przeciwstawić.

Yonan posłusznie cofnął się i usunął rękojeść miecza, snującą wciąż ten sam wzór nad dziwnym prętem. Mężczyzna przemówił. Pojedyncze słowo, które wyrzekł, nic Kelsie nie mówiło, jednak raz jeszcze, gdy otrząsnęła się już spod uroku, jaki rzuciła na nią czarownica, jej głowa wypełniła się z miejsca jakimiś grzmiącymi odgłosami, jak gdyby rozwarło się otaczające ich powietrze, pozwalając wnikać czemuś, czego Kelsie nie znała.

Część różgi, która mieniła się zieloną barwą, buchnęła najprawdziwszym płomieniem i mężczyzna, krzyknawszy, rzucił ją na pręt.

Upadła na zwój materiału, który zaczął się tlić. Ogień zdawał się jakoś pobudzać pręt, bo ten potoczył się ostrożnie w kierunku owego kawałka palącej się tkaniny i wetknął zakończony główką koniec w niewielki płomień. Jakby chciał pożywić się gasnącymi szybko iskrami.

- Cha, cha! - Czarownica odrzuciła głowę do tyłu i zaniósła się szczekliwym śmiechem. - Widzisz, co zrobiłeś, wyrostku! To nie dla takich jak ty, bez względu na to,

jaką wiedzą paraliż się w Lormcie. Zabieraj się stąd, nim to, co złe, stanie się w twoich rękach jeszcze gorsze. Widzisz... pręt pożywia się tym, czegoś użył, by go uspokoić.

Wirowanie wewnątrz pręta naprawdę zdawało się przybierać na sile i ćma rozjaśniała się czerwoną poświatą. Rękę Kelsie przeszył niespodziewanie ostry ból i gdy dziewczyna spojrzała w dół, stwierdziła, iż drogocenny kamień również wirował na końcu łańcucha, którego ogniwa wpijały się jej w ciało.

- Przy pomocy Reitha i Nieve...

Czyżby był to jej własny głos? Któż wyrzekł te imiona? Padły wprost z jej ust, choć nie zrodziły się w jej umyśle. Wirujący klejnot sypał skrami, ale żadna nie dosięgła tego czegoś, co leżało na ziemi. Kelsie spostrzegła, że nie może powstrzymać ruchu nadgarstka, który jakby regulował owo wirowanie.

- Nie! - Czarownica znowu zaprotestowała i wymierzyła następny cios prosto w dłoń Kelsie. Ale Yonan przechwycił ów raz lewą ręką i odepchnął czarownicę nieco do tyłu.

- Ona nie jest czarownicą. - Głos kobiety w szarej sukni przeszedł w pisk. - Niech nie waży się używać mocy. Czy chcesz, by to, co trwa przyczajone, ogarnęło nas wszystkich? Powstrzymaj ją!

Czarownica spojrzała na Dahaun, która nie uczyniła dotąd żadnego ruchu, ani by zniszczyć pręt, ani by udaremnić atak na Kelsie. Teraz jednak przemówiła:

- Nie nadajemy imion... te są nam dane. Dziewczynie nadano imię i możliwe, że uczynił to ktoś bardziej z tobą spokrewniony...

- Ta, która nie żyje! - Zabrzmiało to tak, jak gdyby czarownica uważała, iż śmierć jej siostry zasługuje na godniejsze potraktowanie.

- Ta, która nie żyje - zgodziła się Dahaun. - Umierając mogła wszakże przekazać...

- To nie jest prawdopodobne! - wykrzyknęła czarownica. - Ona nie miała prawa... nie mogłaby tak postąpić. A ta skąd się tu wzięła? Nie ma w sobie ani kropli naszej krwi, nie dostąpiła wtajemniczenia, jest niczym, stanowi dla nas wszystkich jedynie zagrożenie. Oddaj mi klejnot!

Żądanie to było skierowane do Kelsie, która właśnie poczyniła następne spostrzeżenie.

Jak nie mogła powstrzymać obrotów nadgarstka, tak samo nie była w stanie rozluźnić uścisku ręki, która trzymała drogocenny kamień. Na domiar złego coś ją ciągnęło do przodu, jak gdyby miało więcej siły, niż ona mogła temu czemuś przeciwstawić. Klejnot czarownicy

obracał się coraz szybciej, a kręgi, które zataczał, stawały się coraz większe, aż wreszcie zawisł w powietrzu, jak się wszystkim wydawało, nieco poza linią pręta.

Przez cały ten czas pręt podskakiwał i opadał z hałasem, usiłował potoczyć się gdzieś dalej i nie mógł, jakby rzeczywiście drzemało w nim życie. Furkot klejnotu rósł z sekundy na sekundę, aż wreszcie nadgarstek Kelsie stał się środkiem błyszczącego dysku, a iskry, którymi sypał drogocenny kamień, dosięgły w końcu tego czegoś, co leżało na wpół zetłalej tkaninie.

Ponownie wargi Kelsie ułożyły się w słowa, których nie rozumiała.

- Reith... Reith... mocą Ognia Reitha... mocą Woli Nieve niech to coś zostanie unieszkodliwione!

Deszcz iskier zwiększywszy swój zasięg stał się jakby celniejszy. Skry padały teraz wprost na pręt. W chwilę później nastąpił wybuch oślepiającego światła - zła, groźna purpura z niebieską obwódką, pod którą spoczywał skręcony kawałek czegoś, co przypominało na pół stopiony metal.

Ręka Kelsie przypadła do boku niezależnie od woli. Była cała zdrętwiała, jak gdyby dziewczyna podniosła ogromny ciężar i trzymała go jakiś czas o własnych siłach. Błyski klejnotu z wolna zanikały - stał się on teraz popielatoszary, niczym kawałki drewna strawione przez ogień.

Dahaun pierwsza przerwała ciszę: - Szczęło.

- Wróciło tam, skąd przybyło - rozległ się chrapliwy głos czarownicy, w którym nie pojawił się nawet cień ulgi. - I jaką wieść poniesie z sobą? A taką, iż wybraliśmy się na poszukiwania i gotowi jesteśmy trwać przy tobie...

- Na poszukiwania wybrałaś się ty - przypomniał jej Kemoc. - Pręt ów nie pojawił się tu jednak po to, byś dzieliła z nami swój los i swoją moc - zamierzałaś brać, nie dawać...

- Zamilcz, wyrostku półkrwi, który nie powinienes się być nigdy narodzić. - Jej szorstki głos ochryplł niemal zupełnie, jak gdyby chciała wrzeszczeć na niego, ale nie miała dość sił.

- Może jestem wyrostkiem półkrwi - odparł - ale ta mieszana krew dobrze służy Escore. Przedtem zaś Estcarpowi...

- Mężczyzna! - prychnęła. - To, że mężczyzna włada mocą, jest przeciwne naturze. Dlatego tylko, iż twój ojciec przyniósł ją wraz z sobą, gdy przechodził przez bramę... stało się to, co się stało!

- Tak, stało się to, co się stało - powtórzył. - Nie ma już Kolderczyków, droga do Escore stoi otworem...

- A cóż to za błogosławieństwo! - przerwała. - Stworzenia wywodzące się prosto z plugawej Ciemności wędrują teraz przez góry i zapuszczają się w głąb kraju. Ty i tamtych dwoje, co przyszli na świat razem z tobą, przecie do wzniecenia potężnych niepokojów wojennych, nieszczęść i śmierci. A teraz - wskazała prosto na Kelsie, która próbowała ożywić zdrętwiałą rękę - przychodzi ta, co zabrała jednej z sióstr... ukradła... coś, czym i tak nie umie się posługiwać...

- A więc - zimny głos Dahaun ukrócił najwyraźniej tę tyradę - a więc to coś, co ujrzeliśmy pierwszy raz, zostało unicestwione. - Mówiła do Kemoca i do dziewczyny ze swego ludu. - Pozwólmę temu czemuś zgorzeć tam, gdzie leży, a potem - wskazała w kierunku kamienia, na którym wciąż na pół widniały prastare rzeźby - tym przywalmy. To Reith i Nieve. - Podeszła do Kelsie i opiekuńczym gestem położyła rękę na jej zdrętwiałej dłoni. Od tego dotknięcia rozeszła się fala ciepła i Kelsie stwierdziła, że może zginać palce. - To było dawno, bardzo, bardzo dawno temu, kiedy nadano te imiona... istoty, które je nosiły, stanowiły sobą w tamtych dniach potężną broń. Czy wciąż utrzymujecie z nimi więź? - zapytała czarownicę.

Ta ostatnia rozejrzała się po obecnych, a na jej twarzy malowały się złość i pogarda. Uczucia te wzmocniły się jeszcze w jej głosie, kiedy odpowiedziała:

- O takich rzeczach się nie mówi... stanowią tajemnicę... Dahaun pokręciła głową.

- Czas tajemnic dawno minął. Kiedy Ciemności pod

noszą głowę, Światłość musi się zjednoczyć i przekazywać sobie nawzajem wszelką wiedzę.

Czarownica odparła tak, jakby wydała krzyk pogardy. Jeśli nawet przeciwstawiała się sugestiom Dahaun, nie czyniła tego zbyt otwarcie. Wskazała natomiast w kierunku martwego, jak się zdawało, klejnotu, który zwisał z łańcucha owiniętego wokół palców Kelsie.

- To wchodzi w zakres naszych magicznych umiejętności, nie waszych. Powinno więc pozostać w spokoju, dopóki nie spocznie w rękach tej, która go znowu odzyska. Nie może być ofiarowane komuś, kto nie przeszedł przez żaden z progów wtajemniczenia. Zaprawdę, czyż wiemy, kim ona jest?

Nie było wątpliwości, że złość kipiała w niej, gdy tylko spojrzała na Kelsie. Dziewczyna z ochotą spróbowała jeszcze raz pozbyć się klejnotu. Palcami lewej ręki szarpała łańcuch dopóty, dopóki nie odkręciła go, rozluźniając jego twarde chwyt, i nie podsunęła czarownicy niezmiernie zadowolona, że się wreszcie od niego uwolni. Ale kobieta w szarej sukni wzniosła rękę gestem protestu, wydając się niemal wzdygać, kiedy kamień znalazł się tuż obok niej.

- Weź - nalegała Kelsie. - Nie chcę go.

- Nie masz prawa... - zaczęła czarownica nie uczyniwszy żadnego ruchu, by przyjąć klejnot.

- Dziewczynie przysługuje prawo do śmiertelnego podarunku - odezwała się Dahaun.

- Czyż ta, która zmarła, nie podała Kel-Say własnego imienia? A wraz z podaniem imienia powinna zginąć należąca do niej siła. - Nie miała również takiego prawa!

- Zatem wywołaj ją i zapytaj...

Na kościstej twarzy kobiety w szarej sukni pojawił się ciemny rumieniec.

- To, co proponujesz, jest plugawe. Nie wchodzimy w konszachty z Ciemnymi Mocami.

- Jeżeli tak jest, czemu podważasz to, co uczyniła twoja siostra? - zapytała Dahaun. - Każdy może przekazać moc, jeśli zechce, i ona przekazała...

- Kotce! - wybełkotała w podnieceniu czarownica. To temu właśnie zwierzęciu dostał się klejnot, który widzi.

- A w razie potrzeby ta przekaże go znowu komuś, kto jej zdaniem potrafi go użyć.

Kelsie zmęczyła już owa kłótnia o to, co powinna była zrobić lub też kim mogłaby być. Odrzuciła klejnot od siebie, chociaż musiała posłużyć się całą siłą woli, by tego dokonać. Odniosła wrażenie, jakby jej ciało zdradziło umysł, który nie pozwalał wyrzucić klejnotu. Drogocenny kamień przeciął łukiem powietrze, uderzył w jedną z wysokich skał, a potem zsunął się na wielką kępę trawy tuż u podnóża.

- Podnieś go! - Kelsie nigdy przedtem nie słyszała takiego tonu w głosie Dahaun. I pomimo całego sprzeciwu, pomimo pragnienia uwolnienia się od kłótni, stwierdziła, iż przesunęła się do przodu, w chwilę potem zaś jej palce zawadziły o sztywne źdźbła trawy, sięgając po pętlę łańcucha. Znowu trzymała klejnot w ręku. Kamień wciąż pozostawał nieprzezroczysty, okazując wszem wobec brudną szarość, toteż dziewczyna poczęła wierzyć, że wypalił się do cna ze swej tajemniczej mocy, którą przejawiał, gdy

oparł się rózdze. Kelsie poruszyła nieco klejnotem, tak jak porusza się tłącą gałęzią, by znowu rozjaśnić płomień, ale grudka kryształu nie dała żadnej odpowiedzi.

- Okryj go! - Dahaun zwróciła się z tym żądaniem prosto do czarownicy, a ta, jawnie okazując złość każdym sztywnym ruchem, wyjęła skrawek materiału, który po ściągnięciu mógłby utworzyć woreczek, i rozłożyła go na powierzchni jednego z kamiennych gładów.

Kelsie z wdzięcznością wypuściła łańcuch i pozwoliła, uwalniając rękę, opaść klejnotowi na krąg z materii. Czarownica ściągnęła troczki w chwilę potem i odstepiła na bok, pozostawiając gałkowaty woreczek na koronie skały.

- Weź go - poleciła Dahaun. Kelsie odważyła się potrząsnąć głową. - Nie chcę go...

- Tego rodzaju rzeczy obdarzone mocą wybierają same, ty ich nie wybierasz. Klejnot dwukrotnie trafił do ciebie,

raz z rąk tej, która go zdobyła, drugi raz poprzez fakt, iż go wykorzystowałaś. Weź ten klejnot - jego zdolność działania mogła się już wypalić. Sądzę jednak, że nie.

Yonan posługując się ostrzem miecza i nożem wykopał dół, po czym wepchnął w ziemię skręcony, szerniały pręt. Ledwie jednak zakończył tę czynność, wydał okrzyk; na kamieniu, na którym spłonął ów twór, widniał teraz wyraźny czarny rysunek... Do wszystkich obecnych szczyrzyła zęby twarz. Wydawała się znacznie bardziej ludzka niż ta, którą Kelsie wypatrzyła na pręcie. Była jednak tak odrażająco zła, iż dziewczyna nie chciała uwierzyć, by tego rodzaju kreatura mogła w ogóle istnieć. Podczas gdy ją uniestwiano, zdołała wymalować własny wizerunek nie tyle na kamieniu, ile w kamieniu, bo kiedy Yonan usiłował zdrapać go końcem miecza, nie mógł zeszkrobać najmniejszego czarnego jak sadza fragmentu.

Dahaun obeszła zamasyżycie skałę i po chwili wróciła niosąc w złączonych dłoniach wodę, która skapywała spomiędzy zwartych szczelnie palców. Pochyliła głowę i chuchnęła na to, co trzymała, recytując jakieś słowa - być może imiona.

Potem obróciła się ku czarownicy, która najwyraźniej wbrew własnej woli, wciąż pobudzana przez swą mocną wiarę, musnęła palcem wyciekającą szybko wodę i wyszeptowała jakieś zaklęcie.

Następnie przyszła kolej na Kemoca, który przesunął dłoń nad splecionymi palcami mieszkanki Doliny i odmówił własną, a może też jakąś obrzędową modlitwę. Wreszcie Dahaun zbliżyła się do czarnej maski na kamieniu i zezwoliła wodzie spłynąć kaskadą na wypalony obraz demonicznej głowy. Kelsie była pewna, iż widziała, jak wargi tej wykrzywionej twarzy złożyły się do krzyku. Wizerunek jednak rozmazał się, zrzędł jakby i przepadł.

Dahaun zepchnęła szturchnięciem ów kamień do dziury z resztkami pręta, a potem z woreczka przy pasie wyjęła nieco zeschniętych liści i pozwoliła, by drząc opadły na powierzchnię tego zbezczeszczonego kawałka skały. Yonan uderzył mieczem.

Kaskada żwiru posypała się w dół, skrywając całkowicie szczątki. Wszyscy wytężyli się z wyjątkiem czarownicy, która nie uczyniła najmniejszego ruchu - by obłuzować kamień z rzeźbami, a następnie ustawić go na pogrzebanych szczątkach zła. Dahaun ostatnia cofnęła rękę, gładząc palcami długie żłobione znaki i rzeźbione symbole.

- Jaką bronią był ten kamień? - zapytał Kemoc, kiedy skończyli.

Dahaun wzruszyła ramionami.

- Równiej jej nie spotkałam. Wszakże w czasach, kiedy w tym kraju nastąpił rozłam, kiedy wtajemniczony występował przeciwko wtajemniczonemu, kiedy trudno było o bezpieczeństwo poza Doliną, znano wiele rodzajów broni, o których pamięć dawno zaginęła. A kto ożywił ten...? Znamy cenę zbrojnego pokoju, odkąd stoczyliśmy bitwę o urwiska. Myślę, że ma się on już ku końcowi... albo prawie ku końcowi. Już sam fakt, iż coś takiego podrzucono wysoko w góry, zapewne po to, by utorować drogę Ciemnościom, stanowi groźbę, jakiej, jak sądziłam, nigdy nie doczekamy. Sarnowie i ci Szarzy są wszędzie. Jeżeli ruszą, muszą ruszyć Thasowie i cała reszta stronników Ciemności. Powinniśmy być przygotowani na to, że zobaczymy, być może, coś więcej niż to, co tu spoczywa.

Kelsie trzymała woreczek z klejnotem czarownicy. Czuła się sponiewierana i zraniona. Zbyt szybko przeżyła zbyt wiele. Wiedziała, że to nie był sen. Nie pozostało jej nic innego, jak uwierzyć Simonowi Tregarthowi, iż dzięki jakiemuś przypadkowi dostała się do całkowicie nowego świata, w którym rządziły inne prawa naturalne. Mimo to tylko z trudnością mogła siebie w nim zaakceptować. A gdyby tak z klejnotem, który właśnie trzymała, wycofała się do kręgu wokół bramy... gdyby przeszła pomiędzy tymi prosto osadzonymi kamieniami... czy nie mogłaby wrócić do życia, które było prawdziwe...

O, ten świat był wystarczająco realny, ale ta rzeczywistość nie była jej rzeczywistością. Simon Tregarth wydawał się zaakceptować go bez zastrzeżeń. Jednak ona...

- Przechowuj ty to... w bezpiecznym miejscu! - Chra pliwie gderanie czarownicy zmaćło myśli dziewczyny. Koścista kobieta długim bladym palcem przebiła powietrze, wyciągając go w stronę zawiniątka.

- Nie jestem czarownicą. - Kelsie okazała swą niechęć kobiecie, która w tym momencie nadużyła jej cierpliwości. Czarownica roześmiała się, ale w tym gardłowym dźwięku pobrzmiwało jedynie szydercze rozbawienie.

- Mów sobie, co chcesz, dziewczyno. Ale wygląda na to, że tu, w Escore, można obrócić wniwecz prawdy znane nam z Estcarpu. Mężczyźni rozporządzający mocą... - obdarzyła wściekłym ściągnięciem brwi zarówno Yonana, jak i Kemoca - i te nie wtajemniczone władające orężem Światłości. Klejnot jednak usłuchał cię tylko raz.

- Ja mu nie rozkazywałam! - odparła Kelsie niezwłocznie.

- Skoro tego nie uczyniłaś... skąd się wzięły przywołane przez ciebie imiona? Prosto z powietrza, które nas tu otacza? Kim byłaś, dziewczyno, w swoim własnym czasie i miejscu? Rozporządzasz mocą, w przeciwnym razie ta nie pracowałaby dla ciebie. Jakaś nieznaną mocą... - potrząsnęła głową - kto wie, jak się ona zachowa, kiedy przyjdzie stawić czoło Ciemności?

Dłoń Dahaun ponownie wsparła się na ramieniu Kelsie. Pani Zielonych Przestworzy odciągnęła dziewczynę od czarownicy ku jasnej ścieżce opadającej do serca Doliny.

- Widzieliśmy działanie klejnotu dzisiejszego dnia. Powiedziałabym, że zarówno ty... jak i on... przejawiliście potęgę - odezwała się Dahaun. - Nie bój się... dopóki kamień cię nie ostrzeże. Dzierżysz teraz to, co stanowi pół osłonę, pół broń. Miną trzy dziesiątki dni,

przepowiedziała Kaththea, i nadejdzie ktoś, kto pozwoli nam zachować równowagę w trakcie zbliżających się zmagania. Wygląda na to, że miała świętą rację.

- Paplanina półczarownicy... zdrączyńni, która uciekła z miejsca nauki, zanim przyjęto ją do wspólnoty sióstr. Kobieta w szarej sukni nie wydawała się onieśmielona obecnością Dahaun. Jej usta ronily cierpkie słowa.

- Wybrała własną drogę - powiedziała Dahaun.

A teraz jest małżonką Hilarona. Czy to wy nastawiłyście wrogo przeciw niemu połączone siły Estcarpu, Mądra Kobieto?

- Wtajemniczony? Kto go tam wie? W dawnych czasach ci, co należeli do jego rodzaju, rozdarli kraj.

- W tych dniach wszakże pomaga zaleczyć dawne rany! - zaprotestowała Dahaun. - Dość, Mądra Kobieto! Utrzymujesz, że przybyłaś tu po to, by nam pomóc, dotychczas nie uczyniłaś jednak nic poza podważaniem tego, co zrobiono. Być może, iż Escore i Estcarp rozwijały się tak daleko od siebie, aby w tych dniach zostać sojusznikami.

Dahaun mówiła bardzo chłodnym tonem, ciągnąc Kelsie za sobą. I tak obie minęły czarownicę, po czym skierowały się w dół ku Dolinie.

6

Kelsie spoczywała na wąskiej macie. Odrzuciła na bok przykrycie z piór. Z wolna, wbrew własnej woli, umieściła jedną rękę poniżej tego końca maty, który służył za poduszkę.

Tak, to działo się jeszcze tam. Woreczek, w którym spoczywał klejnot czarownicy, próbowała wręczyć Dahaun i... w tym momencie przypomniała sobie, co wydarzyło się potem z owym odłamkiem kryształu, który nie spadł z nieba.

Poruszył się - niby powolny żółw morski czy też jakieś inne stworzenie z krwi i kości... woreczek wraz ze swoją zawartością poruszył się... ani dzięki jej oddziaływaniu, ani, była tego pewna, dzięki działaniu Dahaun. Znieruchomiał ponownie pod wpływem mocnego dotyku jej ręki. Stało się jasne wszem wobec, iż klejnot zamierzał z nią pozostać. Jednak czy ktoś byłby w stanie okazać świadome uczucie kawałkowi kryształu, nie znając ostatecznego wyniku jego oddziaływania?

Kelsie potarła zbolaną głowę. Ból po uderzeniu, który znosiła w cierpieniu od chwili, kiedy wpadła do bramy, znikł co najmniej dwa dni temu. Ten nowy pojawił się wtedy, gdy przygarnęła kryształ. Czowała, jakby wewnątrz jej głowy coś się poruszało, objęło o ścianki i pęczniąc zajmowało coraz to więcej i więcej miejsca.

Naprawdę nie wiedząc, czemu tak postępuje, Kelsie uniosła rękę i wyciągniętym palcem wskazującym nakreśliła w ciemności znak, jakby malowała na rozpiętym płótnie. L..

Kamień rozbłysł życiem - promieniując krótką chwilę przez materiał niebieską jasnością. Jak i dlaczego? w ogromnym zbiorze pytań, na które chciała Kelsie odpowiedzieć, te zdawały się teraz więcej znaczyć niż „gdzie?” Tyle że od tych, z którymi już rozmawiała, otrzymywała albo całkowicie sprzeczne informacje, albo, jak podejrzewała, nieszczerze, wykrętne odpowiedzi.

- Kim jestem...? Ależ nazywam się Kelsie McBlair! wyszeptała głośno. Jeszcze raz myśl jej powędrowała mocno ubitą ścieżką. Sięgnęła do tego momentu, w którym udaremniła strzał McAdamsowi. Uderzył ją, a ona, padłszy jak długa, ocknęła się pośród kamiennego kręgu w towarzystwie dzikiej kotki. Czy kotka czuje się tu tak obco jak ona? A może Szybkostopa, z oczekującą już na nią rodziną, dostosowała się do nowego miejsca bez tych drażniących pytań, które przysporzyły jej tylu bezsennych nocnych godzin.

Bramy... Tu i ówdzie, w tej zaczarowanej krainie, stały monumentalne budowle, które otwierały się albo zamykały i przez które, czy to dzięki przeznaczeniu, czy też przypadkowi, przedostawali się podobni jej rozbitkowie. Tregarth dał jej do zrozumienia, iż powroty się nie zdarzają. Powtórnie zmusiła się do położenia i zmrúżywszy oczy próbowała siłą swej woli znaleźć się znowu w bezpiecznej i dobrze znanej przeszłości.

Było to jednak zbyt trudne. Czemu...? Kelsie siadła sztywno i znów zadrżała.

Gdzież się znajdowała podczas tych przeraźliwych chwil poza czasem? Nie na szkockim pogórzcu. Nie! Otaczała ją komnata wypełniona licznymi siedziskami, u której szczytu, naprzeciwko niej, stały na podwyższeniu cztery krzesła z wysokimi oparciami, wyglądem przypominające tron. Nie wszystkie siedziska w tej sali były zajęte... a trony - tylko dwa. Coś się w pobliżu niej poruszyło, pojawiło się uczucie oczekiwania i potrzeba działania...

Kelsie przetarła oczy rękami, jak gdyby mogła sięgnąć w głąb czaszki i wymazać z niej tym sposobem całą tę scenę, a także pozostałe po niej uczucie, zdawało się jej bowiem, iż stanowiła sobą tylko część jakiejś wielkiej całości... gdyż tkwiła w niej potrzeba... jaka potrzeba?

Następnie sięgnęła pod podglówek, by namacać owinięty klejnot i wyrzucić go tak daleko, jak to tylko było możliwe. Zbliżyła się na kolanach do zasłon, które zapewniały prywatność jej legowisku, i rozsuwając je na boki cisnęła przed siebie to, co należało do czarownicy. Potem z westchnieniem ulgi ułożyła się do snu... ale nie tyle spała, ile rozmyślała o sposobach ucieczki z tej krainy i tych wszystkich pułapkach, które czyhały tu na obcych.

Poruszyła się i przekręciła na drugi bok, próbując zatrzymać w pamięci złą twarz McAdamsa, a za jego plecami obalone kamienie. Jedynie to się liczyło... reszta...

Jednak uwięzła w tej komnacie. Siedziała na swoim własnym siedzisku, tym, które zostało jej niejako przeznaczone przez sam fakt przyjęcia przeklętego kamienia i które będzie jej służyło przez wiele, wiele nadchodzących lat. Z lewej strony stało puste miejsce - z prawej, Kelsie nie miała co do tego żadnych wątpliwości, dochodził drżący oddech siostry Wodelily. Czuła nawet wyraźnie zapach kwiatu, który przystrajał suknię starej kobiety - zagłuszał on aromat kadzidła palącego się w koszach po obu stronach podwyższenia.

Przypuszczalnie wszystkie siostry pograżyły się w medytacji, ale jej myśli kłębiły się w zupełnie innych rejonach. Tuż koło niej leżało jagnię, które znaleziono tego ranka obok nieżywej matki i oddano Kelsie na wychowanie, a także trzy sieroty gazu, na które dopiero co się natknęła - z pewnością Druga Pani zezwoli jej zabrać je do pracowni i wykarmić. Czyż siostry nie były związane przysięgą, by ratować nawet najmizerniejsze

na szali życia istoty? Musiała jeszcze nawarzyć kleiku, który tak pomagał zimą na ból dolnych kończyn i o który proszono ją nawet z ukłonami w generalnym zgromadzeniu. Ją we własnej

osobie, siostrę Makeease... Roylane... Nie! Precz z tym imieniem, musi je skryć tak głęboko pośród swych błędzących swobodnie myśli, by nigdy więcej nie wypowiedzieć go ponownie.

Wszystkie rozważania o jagniątkach, ziołach i spokojnym, miłym życiu, które tak kochała, uleciały w mgnieniu oka na dźwięk słów kobiety zajmującej środkowe miejsce na podwyższeniu.

- Zdajmy się więc na los...

Tuż przed nią stał wiekowy dzban ze srebra, o szerokiej gardzieli, ku któremu wyciągnęła paleczkę, wydobywszy ją spośród fałd suto marszczonej spódnicy.

Wewnątrz czary unosiły się trzepocząc niewielkie kawałki jakiejś białej materii, jak gdyby ktoś nawrzucał do środka skrawków papieru. Raptem wzbily się do góry i wirując utworzyły chmurę na wysokości głowy siedzącej kobiety, co im rozkazywała, a później przesunęły się ponad tymi siedziskami, które były puste, i tymi, które wciąż ktoś zajmował. Każde z tych ostatnich szybko okrążyła i ruszały dalej. W końcu... jeden z kawałków oderwał się od tej rozedrganej chmury i opadł trzepocząc na łono kobiety, która siedziała pięć rzędów przed siostrą Makeease. Takim sposobem wybrano siostrę Wittle o surowej twarzy.

Siostra Wittle! Zdumiało ją takie rozstrzygnięcie. Z pewnością nikt nie miał żadnego wpływu na tę decyzję. Widziała to już tyle razy - biały skrawek dość często opadał na siostrę, która wydawała się najmniej odpowiednia do tego, by podjąć jakiemuś zawikłanemu problemowi i osiągnąć pomyślny wynik. Siostra Wittle zostanie jednak wysłana jako emisariuszka zmniejszonej liczebnie Rady - był to najdziwniejszy z przypadków, jakie widziała w ciągu wielu lat.

Chmura, dokonawszy swego pierwszego zadziwiającego wyboru, popłynęła dalej. Przemknęła szybko nad jednym z rzędów, a potem nad następnym. Teraz zbliżała się do niej. Piers ścięło jej nagle uczucie zimna... Chmura szybko znalazła się w pobliżu kilku ostatnich siostr, które podlegały wyborowi.

Wreszcie pojawiła się nad jej głową... i biała kruszyna spłynęła w dół, by spocząć na jej mocno splecionych rękach. Nie! Ale nie było odwołania. Musi opuścić ciepło domowego zacisza i siostry - musi wyprawić się do świata, który opuściła, jak się jej teraz wydawało, bardzo dawno temu. Był to dziki kraj, dotąd noszący blizny wojny, jeden jedyny, w którym siostry nie zdobyły jeszcze poważania. Nie można przeciwstawić się wyborowi losu białe żdźbło spoczęło na niej niczym ciężar, który rósł z minuty na minutę i od którego nie było odwołania.

Powstała, a biała drobina stopniała niczym płatek śniegu. Siostra Wittle również się uniosła i razem ruszyły prosto do stóp podwyższenia, zaglądając w twarz Matki Wszystkich. Rysy tej ostatniej przywdziały maskę doskonałego opanowania, za pomocą którego stawiała ona czoło każdej zmianie naruszającej spokój ich bytowania.

- Los zdecydował - rzekła obojętnym tonem. Przez chwilę niedopuszczalnego zwątpienia Makeease zastanawiała się, czy Matka Wszystkich nie zdumiała się tym

podwójnym wyborem tak, jak zdumiała się nim reszta... czy też raczej większość sióstr.
- Lord Warden przyrzekł eskortę przez góry. Trzeci dzień zgodnie z przepowiednią szklanej kuli ma być najszcześniejszym dniem. Odnajdziecie to, co w dawnych czasach znały nasze matki, i wyciągniecie stamtąd to, co musimy mieć.

Nie miała żadnych wątpliwości, że sprostają zadaniu; była tak pewna swoich słów, jak gdyby posyłała siostry do magazynu po zapasy żywności. Makeease pragnęła jednak wykrzyknąć na głos, iż nie jest najlepszą kandydatką do tej wyprawy... że jej moc jest niewielka, że może tylko przynosić ulgę rannym, nie zaś zdobywać coś, co jest zapewne dobrze strzeżone... przez coś, czego nawet nie próbowała sobie wyobrazić. Nawet tutaj, w samym Refuge, krążyły opowieści o nieprzebranej rzeszy stworzeń wędrujących przez góry, by nękać tę krainę. A one muszą zapuścić się, związane przysięgą, w samo serce nieznanego i zabrać stamtąd to, czego nikt nie oddałby bez wymuszenia, dobrowolnie - istotę Mocy!

- Zgoda - odezwała się głośno siostra Wittle, a siostra Makeease nie zdołała nawet nadać kształtu słowom zeszytniałymi wargami.

...Nie... Kelsie znów usiadła na swym posłaniu. N i e b y ł a tamtą. Wyciągnięta ręka ciężko opadła, by zapewnić ciału równowagę, i trafiła w coś przypadkiem. Dziewczyna trzymała w dłoni woreczek z tym samym klejnotem, który wcześniej wyrzuciła. A więc była sobą - nie tamtą - rzeczywiście była. Zamknęła oczy i schwyciła w mocny uścisk osłonięty klejnot, koncentrując się na własnych wspomnieniach.

Doglądała właśnie w psiarni szczeniaczka, kiedy nadszedł telegram. Ktoś, kogo znała jedynie z rodzinnych opowieści - stara Jessie McBlair, ciotka jej od dawna nieżyjącego ojca, odeszła z tego świata, pozostawiając jej dom i to, co zostało z wielkiej niegdyś posiadłości. Musi, jak powiada testament, sama o wszystko wystąpić - wyjaśnił prawnik.

Udała się więc do Szkocji z ogromnymi nadziejami na zdobycie w końcu własnego domu - i stanęła naprzeciw ruin, w których tylko jedno skrzydło ledwo nadawało się do zamieszkania, a i ono szybko niszczało. Zewsząd otaczały ją ponure, grubiańskie twarze, toteż dziewczyna nie znalazła w sobie upodobania ani do miejsca, ani do tamtejszych ludzi - przynajmniej w czasie tych kilku dni, które tam spędziła, zanim stało się to, co się stało. Nie, nie była córką Mocy...

Skuliła się, podciągając kolana pod brodę i oplatając je ramionami. Ręka, która podczas snu przywołała jakimś sposobem woreczek z klejnotem, mrowiła mocno i dziewczyna podejrzewała, iż zapewne dostrzegłaby silne niebieskawe światelko wokół zawiniątka, gdyby uniosła brzeg przykrycia.

W półmroku małego, otoczonego zewsząd zasłonami pomieszczenia sypialnego coś się poruszyło i Kelsie poczuła zapach piżma dzikiego kota. Żółte ślepie wpatrywały się w nią niemalże znad podłogi.

- Wracaj do domu, do swoich kociąt - wyszeptła Kelsie. - Czyż nie sprawiłaś mi już dość kłopotów, przynosząc to... tę rzecz do Doliny?

Nie oczekiwała żadnej odpowiedzi od kotki, z pewnością nie oczekiwała też tego raptownego dżgnięcia przymusu... to oznacza, że musi być czujna... że pojawiło się coś, czemu powinna przyjrzeć się bacznie.

Dziewczyna zwalczyła go siłą własnej woli. Być może było to coś innego, co widziała w swoich snach... co tkwiło w jej snach... a co teraz nią ośladnęło. Wbrew własnej woli Kelsie rozluźniła mocny uścisk wokół kolan, podniosła woreczek i ułożyła go na sznurowanej koszuli. Klejnot był ciepły, pulsował jak gdyby swoim własnym życiem. Kiedy jeszcze nie tak dawno temu nosiła niewielkie zwierzątko, czuła na skórze tego samego rodzaju ciepło.

Wciąż pozostając pod działaniem jakiegoś nakazu, którego w żaden sposób nie mogła przełamać, podniosła się i nałożyła płaszcz z kapturem, który otrzymała w prezencie. Znowu siadła, by naciągnąć miękkie buty sięgające do połowy łydki, i mocno opasała się w talii. Szybkostopa pomykała niecierpliwie tam i sam, nie wydając żadnego dźwięku. W pewnej chwili wyciągnęła do przodu swój toporny pysk i złapała ostrymi zębiskami róg płaszcz, ciągnąc Kelsie w stronę drzwi.

Dziewczyna była posłuszna - zarówno kotce, jak i sile, która opanowała jej wolę, tłumiąc przy tym strach i nieprzeparłe pragnienie wolności - ruszyła bowiem cicho w noc. Wysoko po niebie płynął księżyc, zalewając blaskiem niewielkie skupisko domów. Kotka, bez przerwy ciągnąc Kelsie za skraj płaszcz, prowadziła ją w kierunku stromego skalnego urwiska. Krok po kroku, walcząc cały czas z tą jakąś nieprzeparłą energią, Kelsie pokonała spory kawałek tej samej drogi, którą odbyła za dnia.

Dwukrotnie minęła wartowników i za każdym razem odbyło się to tak, jak gdyby jej nie widzieli. Nie okrzyknęli jej, w ogóle nie zdawali sobie sprawy z tego, że idzie, jej własny zaś głos odmówił posłuszeństwa, kiedy chciała do nich zawołać. Strach dawał o sobie znać z coraz większą siłą, rozmazując jakby nieco ów nakaz, który zmuszał ją do marszu. Usiłowała zawrócić, ale było to niemożliwe.

Kelsie i kocica dotarły już do skały, którą na polecenie Dahaun przesunięto i ustawiono tam, gdzie spłonął wytwór zła. Tu zwierzę zatrzymało się i puściwszy brzeg płaszcz, fuknęło uderzając łapą w niewielki kamień, który potoczył się w kierunku owej dużej skały. Ale Kelsie nie przyszła tu oglądać tego specyficznego pola walki. Kocica ruszyła już dalej, wspinając się na następną skałę. A za Szybkostopą podążała Kelsie.

W ścianie wzniesienia znajdował się wąski wyłom, z którego dochodziły kwilące odgłosy. Szybkostopa skoczyła do przodu, a dziewczyna potykając się ruszyła jej śladem. Musiała się pochylić, by nie uderzyć głową o masywną skałę. Pojawiło się wąskie przejście, a potem, kiedy otoczyła ją ciemność, Kelsie wyczuła wokół siebie wolną przestrzeń. Skądś nadleciał powiew niosący paskudny zapach. Do uszu dziewczyny dotarło fuknięcie kota, następnie odgłosy walki i Kelsie zachwiała się opierając rękami o ścianę, zbyt oślepiona ciemnością, by próbować dotrzeć do miejsca potyczki.

Coś pchnęło ją w tej ciemności i chwyciło za rękę, zdrapując z niej skórę czy to szorstkimi włosami, czy to futrem, i próbowało gwałtownymi ruchy pociągnąć tam, skąd dochodziły odgłosy walki. Wolną ręką Kelsie złapała woreczek, wyciągając z niego klejnot czarownicy.

Wybuch światła oślepił nie tylko ją, najwyraźniej oślepił również atakujące stworzenie. Kelsie ujrzała górę czegoś, co przypominało splątane korzenie przyplaszczone do ziemi.

Kiedy fala światła rozlała się jeszcze bardziej, Kelsie, zamierając w przerażeniu, ujrzała inny widok - Szybkostopa, wysunawszy się przed trójkę kociąt, stała obnażywszy kły i pazury na wprost jeszcze dwóch stworzeń rodem z Ciemności, cuchnących złem.

Thasowie! Choć Kelsie znała jedynie tę zasłyszana w przelocie nazwę, umysł jej z miejsca zidentyfikował czyhające w ciemności stwory. Dziewczyna wywijając klejnotem zawieszonym na łańcuchu, a jaskinię wypełniły gardłowe krzyki owej trójcy. Ten u jej stóp pełził niczym ogromny owad za dwoma pozostałymi, które wycofywały się na stojąco, trzymając swe powykęcane palczaste ręce ponad płataniną czegoś, co okrywało górne partie twarzy i zasłaniało oczy.

Stwory przesuwały się z wolna do tyłu, Kelsie zaś oderwała się w końcu od ściany, gdzie szukała schronienia, nie przestając wymachiwać klejnotem, którego światło stawało się coraz jaśniejsze i jaśniejsze. Dziewczyna była świadoma, iż emanował z niej jakiś rodzaj energii, która sączyła się wzdłuż ręki, poprzez palce do łańcucha, by powtórnie tchnąć życie w klejnot i spowodować jego przebudzenie.

Atakujący wycofali się, Szybkostopa zaś lizła swoje małe, unosząc co chwila łeb, by prychnąć raz i drugi. Na tyłach szczelinowatej jaskini stos ziemi i skał otaczał zapewne jamę, przez którą owa trójca się tutaj dostała. Kiedy pierwszy z Thasów dotarł do dziury, rzucił się naprzód jak ktoś, kto wstępuje w fale bijące o brzeg morski. Rozległo się oszalałe drapanie i w górę poleciała fontanna ziemi i kawałków skał. Strach niewątpliwie przepelniający cuchnących najeźdźców dodał Kelsie otuchy. Śmiało popędziła dwóch pozostałych za pierwszym. W chwilę potem stała twarzą do jamy, przez którą musiałyby się z kolei przeczłgać, by móc ruszyć dalej, nie miała jednak zamiaru tego czynić. Stała wszakże nadal, wciąż wywijając klejnotem w te i wewte, dopóki nie omdlała jej ręka, opadłszy ciężko do boku tak umęczona, jak gdyby dziewczyna niosła w niej coś ogromnie ciężkiego.

Nie tylko ramię Kelsie osłabło od wysiłku, całe jej ciało wypełniło się niespodziewanie przemożnym znużeniem i dziewczyna opadła na kolana tuż przed tym cuchnącym złem otworem. Światło klejnotu przygasło, żarząc się blado.

Thasowie ~- podziemni wyrobnicy zła. Sama ta nazwa, pojawiwszy się w jej umyśle, uchylili drzwi wiedzy. Jakimże prawem ośmielili się wtargnąć do Doliny? Istniały tutaj przecież odwieczne zabezpieczenia, a tych, jak ufał Lud Zielonych Przestworzy, nie można było rozerwać. Jednak Thasowie nie znaleźli się przypadkowo w jaskini, którą Szybkostopa obrała sobie na legowisko. Co też mogliby tu mieć do roboty?

- Wiele!

Ta odnosząca się do jej myśli odpowiedź została wypowiedziana na głos, a Kelsie omal nie upadła, kiedy usiłowała się odwrócić, by zmierzyć się oko w oko z mówiącym.

W głębi stała Wittle. Szarość jej sukni przygasła w mroku jaskini, tak że tylko jej koścista, biała twarz i ręce, obejmujące zwisający z szyi klejnot, były wyraźnie widoczne. Po raz pierwszy, odkąd ją spotkała, Kelsie nie dopatrzyła się urazy w twarzy czarownicy. A Wittle wpatrywała się w Kelsie z natężeniem, w którym zawierała się doza zdziwienia.

- Jesteś... - Jej głos był niewiele mocniejszy od szeptu. - Kelsie McBlair! - odparła błyskawicznie dziewczyna. Na przekór wszystkim marzeniom sennym będzie się właśnie tego trzymała każdą cząstką siły, którą jest w stanie przywołać.

- Ona... ona cię więc wybrała... to prawda. Wystawiła swój wybór na próbę.

- Nie jestem Makeease - zaprzeczyła Kelsie.

- Masz coś z niej teraz w sobie, czy chcesz tego, czy nie. Wittle opuściła rękę obejmując klejnot, który rozproszył ciemności jasnym niebieskim światłem. Smród Thasów wydawał się zanikać. Kelsie poczęła odzyskiwać siły, nawet była już w stanie utrzymać się na nogach bez przeświadczenia, iż zaraz odmówią jej posłuszeństwa.

- To musi zostać zamknięte. - Wittle stała jakieś dwa kroki przed Kelsie zwrócona twarzą do dziury. Wymachując klejnotem zawieszonym na łańcuchu, tak jak to wcześniej czyniła Kelsie, poczęła recytować w opadającej intonacji

formułę, która przyzywała siły ziemi, by zagroziły drogę złu. Powietrze między klejnotem a dziurą w ziemi wypełniały zmieniające się bez przerwy symbole, które to się zwijały, to rozwijały, niekiedy zaś wydawały się łąpać wzajemnie, stapiając w całość. Trwało to dopóty, dopóki nie powstało coś w rodzaju siatki, która popłynąwszy do przodu runęła z chrzęstem między stertą wykopanej ziemi a ścianą.

- Niech się stanie!

Trzy słowa trzasnęły niczym błyskawica podczas przetaczającej się po niebie burzy. Natychmiast poruszyły się kamienie i odłamki skał, uniosły się do góry, zbiły w jedną masę i powróciły na dawne miejsce tworząc znowu litą ścianę. Wciąż jarzyły się w niej plamki niebieskości, jak gdyby tamta siatka nadal ją przytrzymywała. Czarownica odwróciła się już plecami do swego dzieła, ponownie mierząc Kelsie wąskimi oczami.

- Każdego roku ubywa siostr - powiedziała, jak gdyby coś sobie przypominając. - Być może to jest rozwiązanie, musimy spoglądać ku bramom... a Makeease w godzinie śmierci ujrzała prawdę. Jesteś jedną z nas niezależnie od tego, czy zdobyłaś klejnot dzięki wtajemniczeniu, czy też dzięki podarunkowi...

- Nie jestem! - odważyła się zaprzeczyć Kelsie. Wiole zawsze była do niej wrogo usposobiona, czemuż więc teraz się zmieniła, dyskretnie zachęcając Kelsie, by ta połączyła z nią swe siły.

- Ja jestem... - Znowu stało się tak, jak gdyby czarownica obnażyła swe myśli. - Wysłano nas i jeszcze nie spełniłyśmy naszego posłannictwa...

- Nie jestem czarownicą.

Ku zdumieniu dziewczyny Wittle pochyliła co nieco głowę odpowiadając na te słowa.

- Zgodnie z naszymi prawami nie jesteś. Jednak Makeease wiedziała o tym. Może dlatego, iż znalazła się na krawędzi życia i śmierci, wszystko stało się dla niej jaśniejsze. Nie możesz wyprzeć się tego, co teraz się w tobie znajduje.

- We mnie nie ma nic!

Kelsie cofała się jak podczas ataku Thasów w nocnych ciemnościach, póki nie dotknęła ramionami chropawej zimnej skały. Być może puściłaby się biegiem... Ale nie mogła! Ten sam przymus, który przywiódł ją aż tutaj, runął na nią z powrotem, by zawładnąć jej ciałem. Gdyby mogła, wrzeszczałaby przenikliwie z wściekłości i strachu. To, że nie była panią własnego ciała, przeraziło ją jednak najbardziej ze wszystkiego. Jak dotąd, nie potrafiła uczynić najmniejszego kroku, który uwolniłby ją od czarownicy, pozwalając stąd czmychnąć.

Dziewczyna odezwała się, walcząc z drżącym głosem: - Przestań płać figle i pozwól mi odejść.

Wittle zatoczyła rękami w geście, który oferował Kelsie całkowitą wolność.

- Nie płatam figli. Zajrzyj do swego wnętrza, by sprawdzić, co się w nim tam teraz znajduje.

Zajrzeć do wnętrza? Kelsie spróbowała to uczynić, nie będąc pewna, co też czarownica mogłaby mieć na myśli. Raptem spostrzegła, iż nie zdając sobie zupełnie z tego sprawy, umieściła łańcuch z klejnotem z powrotem na szyi, ten zaś, pulsując, spoczywał na jej piersi w taki sam sposób, w jaki Wittle ułożyła swój klejnot na własnej piersi. Sapnęła nierówno.

- Co chciałabyś, abym zrobiła? - zapytała czarownicę cienkim głosem. Wyczerpanie, którego doświadczyła Kelsie, jeszcze nie zostało zrównoważone, toteż dziewczyna czuła, że gdyby tylko odstępowała od ściany, przewróciłaby się.

- Oddychaj w ten sposób. - Wittle z wolna brała głębokie oddechy. - Myśl o własnym ciele, o krwi, która płynie przez nie żywiąc je i oczyszczając, o stopach, o nogach, które cię noszą... Twoje ciało służy ci znakomicie, myśl o nim życzliwie, wolniej... ach, wolniej, siostró. Pomyśl słodko o rozkoszy nocnego odpoczynku bez snów, które zakłócałyby ci chwile wytchnienia. Zaświtał ranek, ty zaś obudziłaś się świeża, nasycona, jesteś panią siebie, siostrą własnego klejnotu, który będzie ci służył teraz, nawet wtedy, gdy spróbujesz znów go odrzucić. Chodź...

Nie przystając nawet, by sprawdzić, czy Kelsie usłuchała jej, czy nie, Wittle pochyliła swą wysoką postać i opuściła jaskinię, a dziewczyna stwierdziła, iż rzeczywiście rusza jej śladem. Skąły tonęły jeszcze w srebrnym blasku księżyca. Czarownica wyszukała miejsce rzęsiście oświetlone jego promieniami. Stała unosząc rozłożone ręce, jak gdyby istotnie pragnęła ściągnąć księżyc na dół prosto w swe ramiona. Kelsie naśladowała ją z wahaniem.

Jej klejnot rozjarzył się ponownie. Nie tą intensywną niebieskością, którą lśnił, kiedy występował przeciw Thasom, lecz czystym białym światłem. Drogocenny kamień również się rozgrzał, ciepło rozeszło się po ciele Kelsie, wypędzając ostatnie męczące bóle z krzyża. Dziewczyna czuła się właściwie tak, jak gdyby naprawdę obudziła się o poranku, wzięła odświeżającą kąpiel i miała świetne samopoczucie, gdyż udało jej się już pomyślnie załatwić wiele spraw.

Jak długo tam stały, Kelsie nie potrafiła ocenić, w końcu jednak, kiedy podpełzł ku nim cień skał, gdy nad ich głowami pojawiła się chmura przesłaniająca tarczę księżyca, Wiole opuściła ręce.

- Dobrze... - westchnęła. - Tak to jest, kiedy się użyje mocy. Wysysa wszystkie soki, ach, jak potrafi wyssać... - Głos jej przepełnił ból. - Ale następuje odnowa. Jak się teraz czujesz, Makeease...? - Po czym zawahała się. - Nie, każdemu przysługuje jedno imię. Nie otrzymałaś imienia współ...

- Zwę się Kelsie! - W dziewczynie ożył dawny bunt. - Czy ty nie rozumiesz - Kelsie nie przyszłoby do głowy, by Wittle potraciła okazać taką cierpliwość - że tak śmiało wypowiedzianie nadanego przy urodzeniu imienia wcześniej czy później skusi licha? Tym

sposobem wręczasz klucz temu, przed czym musisz strzec się najbardziej. Ciało może być wykorzystane w złych intencjach przez tych z Ciemności, tak. Ale jest jeszcze gorzej, gdy zostanie na piętnowane wewnątrz. Być może z tobą dzieje się inaczej i nazywanie po imieniu niczym ci nie grozi.

- Być może, niekiedy... - Kelsie przypomniła sobie niespodziewanie czas, w którym imię mogło ściągnąć na człowieka nieszczęście nawet w jej własnym świecie... zapewne było to zupełnie innego rodzaju nieszczęście, w każdym razie nieszczęście znane w jej świecie. - Teraz już ich nie zmieniamy... - Nie, to wcale nie tak. Ludzie zmieniali swoje imiona, swoje życie... Choćby świadkowie i szpiedzy! Jak dotąd nie była nikim takim, a imię stanowiło część jej osobowości, nie była przygotowana do tego, by się go wyrzec. Przez takie postępowanie mogłaby na dobre wsiąknąć w tę szaloną przygodę.

Czarownica sięgnęła za jedną ze skał i wyciągnęła podróżną sakwę, a potem następną, którą cisnęła tak, by upadła u stóp Kelsie. Dziewczyna cofnęła się i odstaąpiła na bok.

- Co robisz? - zapytała.

- Ruszamy w drogę - odparła spokojnie Wittle. To, po co nas wysłano, czego mamy dokonać, wciąż znajduje się przed nami. Jeżeli będziemy czekać na przychylność tych z Doliny, możemy nigdy nie wykonać swego zadania. Wojują, kiedy ich ktoś zaatakuje albo kiedy Ciemności nadciągają zbyt blisko. Nie najeżdżają wrogów w ich gniazdach.

- Ja nie idę! - Kelsie przyglądała się, jak Wittle, wzruszywszy ramionami, przekłada ręce przez rzemienie własnej sakwy, umieszczając ją na plecach.

- Nie możesz teraz postąpić inaczej. Użyłaś klejnotu... jest twój, a ty jego.

Kelsie uciekłyby od tej obłąkanej kobiety, obierając szlak prowadzący prosto w dół do Doliny. Ale jeszcze raz ciało zbuntowało się przeciwko woli. Kiedy poczuła ciepło klejnotu rozchodzące się po ciele, stwierdziła ze zdumieniem, że musi się pochylić, podnieść ciężar leżący na ziemi i przygotować go do niesienia.

- Nie walcz z tym, dziewczyno. - Głos czarownicy przybrał swój dawny wyniosły i pogardliwy ton. - Jesteś jedną z sióstr; chcesz czy nie chcesz, znajdujesz się pod wpływem geas.

I tak na przekór wszelkim swym pragnieniom Kelsie rozpoczęła wspinaczkę, podążając coraz wyżej po stromym zboczku, przytrzymując się skał palcami nóg i rąk, usiłując równoważyć ciężar odciągającej ją do tyłu sakwy. Wreszcie dotarły obie na szczyt tej zapory, którą natura - albo ci, co przestawali z nią tak blisko, że mogli na każde żądanie przywołać ją na swe usługi - ustanowiła wokół Doliny. Przed nimi rozpościerała się kraina, która zdawała się tonąć w cieniu, choć świecił księżyc, prawdziwe siedlisko niebezpieczeństwa. Ale Wittle spokojnie zstępowała w dół, ciągnąc za sobą Kelsie, dziewczyna bowiem nie mogła się wycofać.

Jeśli na tych wysokościach pełnili swe obowiązki jacyś wartownicy czy obserwatorzy, a Kelsie była pewna, że tak, czarownica posłużyła się własną metodą, by przejść obok nich nie zauważona, zdołała również przeprowadzić Kelsie. Dlatego też nikt nie powstał, by kazać się im zatrzymać lub by zapytać, co tu robią.

Po przeciwnej stronie gór znajdował się słabo przetarty szlak, który zbiegał w dół zygzakami. Pokonywały go wolno, gdyż Wittle dokładnie upewniała się, gdzie postawić stopę, a Kelsie naśladowała ją we wszystkim.

W pewnym momencie przefrunęła nad nimi w wielkim pędzie uskrzydłona ciemna plama. Czarownica przystanęła spokojnie, Kelsie zaś zastygła jej wzorem. Stworzenie nie powróciło jednak i po jakimś czasie, kiedy Kelsie łapała powietrze krótkimi, płytkimi wdechami, Wittle ruszyła ponownie. Ale znowu zastygła w bezruchu, tak zaskakując tym Kelsie, że ta omal nie wpadła na sakwę przytwierdzoną do pleców czarownicy. Na nizinie, ku której zmierzały, rozległo się wówczas pojedyncze drażniące ucho wycie. Tym razem Wittle wysyczała do dziewczyny:

- Ktoś z Szarych. Skryj klejnot. Mają takie oczy, co potrafią przepatrzeć najgorsze ciemności.

Pogmerała koło klejnotu i uchylwszy dekoltu sukni wpuściła rozjarzony drogocenny kamień do wewnętrznej kieszeni. Kelsie poszła w jej ślady. Wtem omal głośno nie zaskowytała. Albowiem żar wydobywający się z kamienia był taki, jak gdyby ktoś przesunął po jej skórze na piersi rozpalonym do białości węglem.

Wiole wydawała się wierzyć, że był to wystarczający środek ostrożności, bo znowu kroczyła zdecydowanie. Kelsie, z konieczności, wciąż we władzy owej przemożnej woli, musiała robić to samo.

Kiedy zbliżyły się do strumienia, który przebił sobie drogę przez góry, by zasilać rzekę w Dolinie, czarownica podwinęła długą suknię, odsłaniając do kolan cienkie białe nogi, po czym dała znak Kelsie, by zzuła swe miękkie buty, tak jak ona zrzuciła sandały.

Uwolnwszy stopy Wittle zstąpiła w mieliznę strumienia i pomaszzerowała pewna siebie naprzód, Kelsie zaś znowu za nią. Czarownica być może odczuwała potrzebę ugruntowania swej pozycji, gdyż znowu szepnęła:

- Bieżąca woda oznacza zgubę dla tych z Ciemności. Najlepiej więc trzymać się jej, gdy to tylko jest możliwe. Zważywszy na swe nadwątlone siły, niewiele bowiem mogłaby z siebie jeszcze wykrzesać, Kelsie próbując nie podnosić głosu zapytała:

- Dokąd idziemy?

Nadal nie wierzyła, że rzeczywiście podąża śladem czarownicy, ale gdyby tak znowu zdołała przywołać Moc klejnotu, może uwolniłaby się od Wittle, ta bowiem powinna wówczas utracić nieco z władzy, którą ustanowiła. Tymczasem najlepiej jej ustępować.

- Tam, dokąd jesteśmy prowadzone. - Kelsie otrzymała zupełnie nie satysfakcjonującą odpowiedź. - Jak wiesz... nie wiem... - poprawiła się czarownica - ty, która jesteś i nie jesteś jedną z nas... doświadczenie nie jest prawdopodobnie przekazywane wraz z klejnotem. Szukamy źródła pradawnej siły... tej, dzięki której uformowało się u swych początków nasze siostrzeństwo... źródła, przy którym znowu musimy się stawić, by zgromadzić to, co na nowo wyniesie nas tak wysoko, jak niegdyś byliśmy. A znajduje się ono na wschodzie, to wszystko, co o nim wiemy. Siostra Makeease szukała go...

- I nie żyje! - Zimno, które przeszło ją ze strachu, pokonało ciepło klejnotu. - Co ci obiecano za spełnienie tego zadania...?

- Jechała w asyście strażników... jechała otwarcie, choć przestroga mówiła jasno. Nie powinna była słuchać tych z Doliny. - Tembr głosu Wittle stał się znowu ostry i zimny. - To nie jest zadanie, które może być przeprowadzone za pomocą druzgocącej siły niezdarnych mężczyzn. Nie miała racji i tak za to zapłaciła. My będziemy szukać nocami, a to... - złożyła dłoń na bladej poświacie przebijającej przez suknię - stanie się naszym przewodnikiem. Ponieważ wyniosłyśmy klejnoty z tej krainy w pradawnych czasach, winny one znaleźć się przy tym, co obdarzyło je życiem. Tego jesteśmy więcej niż pewne. Wystarczy śledzić bacznie, jak wzmaga się i słabnie światło naszych klejnotów, by iść dalej.

- A co będzie - Kelsie zwilżyła dolną wargę koniuszkiem języka, zanim zaczęła mówić dalej - jeśli źródło, którego szukasz, jest teraz w rękach Ciemności?

- Może być równie dobrze przez nią oblegane - zgodziła się Wittle - ale gdyby pozostało w jej rękach, nasze kamienie zemrą. Światłość i Ciemności nie mogą przestawać razem.

- A mrok i blask księżyca...? - Kelsie znalazła trafniejszy kontrargument, niż mogła się po sobie spodziewać. - Jest pełnia i póki będzie trwać, możemy mieć z tego pożytek. Kiedy zacznie ubywać księżyca - czarownica zawahała się - wtedy będziemy stąpać znacznie uważniej. Nie ulegało wątpliwości, że czarownica pokładała w sobie ogromną ufność, a Kelsie, z natury ostrożna, była wystraszona, gdy tak szły przez noc, trzymając się płycizn strumienia. Kiedy pierwsze promienie świtu pojawiły się wzdłuż linii horyzontu, czarownica wskazała przed siebie, tam gdzie z nurtu strumienia wylaniała się ławica piasku, z trzech stron otoczona wodą, bystrzej rwącą środkiem. Z łądem łączyła się wąskim przesmykiem, na którym naniesione przez wiatr gałęzie utworzyły jakąś niesamowitą płataninę, jak gdyby nad tym miejscem przeszła niedawno burza, wymiótłszy wszystkie śmieci z głębi leżącej przed nimi krainy.

Czarownica z pewną trudnością pokonywała ów przesmyk, Kelsie zaś bez wysiłku pomykała za nią, chociaż musiała stąpać zarówno po żwirze, jak i po piasku. Wreszcie znalazły się na skraju ławicy. Wiole rzuciła sakwę, Kelsie poszła jej śladem. Od dźwigania bolały ją ramiona. Umęczyła się tą nocną wędrówką, po Wittle zaś nic nie było znać. Czarownica z miejsca zawróciła w stronę owego zwaliska naniesionego przez wiatr, ciągnąc, co się dało, po kawałku i układając powykręcane gałęzie tak, by uformowały zaporę w poprzek wąskiego skrawka łądu, który łączył ławicę z brzegiem. Wiole po prostu budowała barykadę, choć przed czym takie umocnienie mogłoby je uchronić, Kelsie nie miała pojęcia. Wiole wydawała się traktować tę czynność równie poważnie, jak uprawianie czarów.

Dopiero kiedy zapora sięgała im do piersi, Wittle robiła wrażenie zadowolonej. Podeszła do sakwy, usiłując rozsuptać środkowy rzemień, by wyjąć zwitek zwiedłych liści, którymi poczęła szybko wymachiwać wokół siebie. Gdy je wypuściła, Kelsie spostrzegła, iż czarownica miała jeszcze w ręku płaską bryłkę jakiejś czerniawej substancji, z której odłamała niewielki kawałek i zaczęła go obgryzać.

- Jedz - powiedziała pryskając na wszystkie strony jedzeniem wypełniającym jej usta i wskazując ręką w kierunku porzuconej przez Kelsie sakwy. Dziewczyna znalazła zawiniątko z liści zawierające w środku taką samą rację i odłamawszy kawałeczek ostrożnie go skosztowała. Jakkolwiek nie wyglądał zachęcająco, smakował znacznie lepiej, zjadła go więc popijając kilkakrotnie wodą, którą czerpała pełnymi dłońmi ze strumienia.

Na piaszczystym zagonie, odgrodzonym od łądu barykadą, Kelsie jednak nie czuła się bezpiecznie. Kiedy więc patrzyła, jak Wittle o wczesnej porze układa się do snu na swym tobole, zdumiała się jej beztroską. Czyżby była aż tak bardzo pewna, iż są całkowicie bezpieczne?

- Zaufaj własnemu klejnotowi, dziewczyno... - Wittle miała zamknięte oczy, co jak gdyby pozwalało jej lepiej rozpoznawać myśli Kelsie. - Ci z Ciemności wyruszają na łowy głównie nocą.

- Więc czemu... - zaczęła zdezorientowana Kelsie. - ...wędrujemy w ciemności? - dokończyła Wittle. Ponieważ tak długo, jak długo księżyc w pełni świeci w górze, możemy rozglądać się za lepszym niż ten szlakiem, szlakiem, który musimy znaleźć. Tam gdzie gromadzą się Ciemności... tam możemy odnaleźć nasienie, którego szukamy.

Wittle była bardzo pewna siebie, nie miała też żadnych wątpliwości co do sposobów prowadzenia poszukiwania, Kelsie jednak nie potrafiła na nie przystać. Czarownica oddychała przez sen miarowo, dziewczyna tymczasem wciąż siedziała, rozglądając się wokół z czujnością, która stała się już niemal jej stałą cechą. Strumień biegł przez równinę, nim dotarł do gór, przez które przeszły tej nocy. Na wschodzie, w oddali, Kelsie dostrzegła jakieś poruszające się garby i pomyślała, że są to pewnie pasące się zwierzęta. Niebo było bardzo czyste, bez śladu chmur, i w pewnym momencie, znowu na wschodzie, jakiś kształt przeciął je trzepocząc leniwie.

Strumień również wrzał życiem. Co chwila ryba przełamywała powierzchnię wody w pogoni za owadami o przejrzystych skrzydłach, które roily się w powietrzu ledwie kilka cali ponad nurtem, zajęte jakimś skomplikowanym tańcem czy też właściwymi sobie manewrami. Na mieliznę zaś wypełzło stworzenie podobne do jaszczurki, tej długości co przedramię Kelsie. Zupełnie nie zwracało uwagi na dwa inne, okupujące już ów skrawek, i obróciwszy pyszczek w kierunku wody, najwyraźniej zapadło w sen w promieniach bezlitośnie grzejącego słońca.

Choć równina ciągnęła się daleko na wschód, w oddali, gdzieś poza nią, widniały nieregularne pasma wzgórz czy też gór, a tu i tam sterczały ciemne kępy drzew, jak gdyby rozmyślnie posadzone, przeradzające się w gęste zagajniki. Może jakieś pół mili dalej znajdowały się kamienne zwaliska, które Kelsie kojarzyły się z ruinami pradawnej budowli, teraz już nie do zidentyfikowania. Od czasu do czasu wysoka trawa tej łąkowej krainy, zaczynająca właśnie brązowieć pod palącymi promieniami słońca, burzyła się przez chwilę, tyle że nie pod wpływem wiatru (poranna bryza już obumarła i powietrze znieruchomiało na dobre). To poruszanie się liści i źdźbeł musiała powodować krzątania niewielkich zwierzątek.

Słońce grzało niemilosiernie i Kelsie złapała się na tym, że głowa jej opada, a oczy same się zamykają. W końcu znalazła dogodne miejsce w pobliżu zapory, którą splotły z tego, co przyniósł wiatr, i pomimo ostrożności zasnęła.

Obudziła się pod wpływem jakiejś sennej zmory, drżąc i spocona, tak iż nie potrafiła już zewrzeć szeroko otwartych oczu. Być może dobrze się stało, że jej czujny umysł odrzucił tamto wspomnienie, mimo wypełniającego ją strachu, i Kelsie trzęsąc się przywarła do naniesionej przez wiatr płataniny gałęzi.

Wittle spoczywała w tej samej pozycji, w jakiej zostawiła ją układając się do snu. Dziewczyna nieomal uwierzyłaby, że czarownica nie żyje, gdyby pierś tej ostatniej nie unosiła się i nie opadała w rytm długich, głębokich oddechów. Stworzenia zamieszkujące strumień gdzieś przepadły i...

Kelsie rozejrzała się wokół siebie w poszukiwaniu broni. Dostrzegła leżący samopas, wygładzony przez wodę korzeń grubszy u jednego końca. Wyszarpnęła go z piachu, zdobywając tym samym prymitywną maczugę. Musiała przespać pół dnia albo nawet więcej - słońce chyliło się już ku zachodowi.

Ale choć kraina ta wyglądała wciąż spokojnie, Kelsie była w pełni świadoma, iż coś zmierzało ku nim poprzez wysokie trawy.

Okręcając się niezwykle wolno na klęczkach, obrzucała każdy skrawek, który zdołała dostrzec, badawczym spojrzeniem. Te poruszające się łany traw wcale nie musiały skrywać, jak wcześniej wierzyła, codziennej krzątaniny drobnych zwierząt. Nad całą krainą rozlewał się spokój, co, jak podpowiadał jej instynkt, nie było naturalne. Wtem posłyszała plusk wody i natychmiast zwróciła się twarzą w kierunku zasłony z wierzb w dole strumienia.

Jakaś postać przesuwiała się wśród nich z trudem, stąpając boso po wodzie, tak jak przedtem czyniły to Kelsie i Wittle. Buty zwisały jej z szyi na sznurowadłach. Ten ktoś był uzbrojony po zęby, a metalowe ogniwa czepca hełmu, osłaniające kark, policzki i ramiona, ukazywały tylko niewielki wycinek twarzy. Chyba знаła tego człowieka.

- Yonan - zaledwie wyszeptała, ale wydawało się, że imię dotarło do mężczyzny. Wyrzucił do góry jedną rękę, czy to w pozdrowieniu, czy to w ostrzeżeniu, Kelsie nie wiedziała... w tym czasie i miejscu gest ten wzięła jednak za to ostatnie.

Zerwała się na równe nogi, chociaż nadal ścisnęła w ręku maczugę, i przywołując mężczyznę zamachała energicznie. Czyżby wysłano go po to, by zabrał je z powrotem? Z prawdziwą radością przyjęłaby takie wezwanie, gdyby tylko ten dziwny przymus, co nią zawiądnął, na to zezwolił.

Tak jak one, Yonan niósł na plecach niewielką sakwę. Kelsie, widząc to, nie była już tak pewna, że jego nadejście oznacza koniec wyprawy. Z tyłu rozległ się gniewny okrzyk; Wittle ruszyła do przodu, zatrzymując się niemalże na granicy wody i piasku i przyglądając nowo przybyłemu.

- Co tu robisz? - cicho zapytała czarownica, gdy Yonan znajdował się jeszcze w pewnej od nich odległości. Jej głos przeniósł się jednak ponad pluskiem, który powodował poruszający się mężczyzna.

- To, co kazano mi robić - odparł. Jedno z ogniw czepca hełmu osłaniających policzki zakolysało się i Kelsie ze sposobu, w jaki Yonan wysunął mocny podbródek, wywnioskowała, że się rozgniewał.

- Nie potrzebujemy cię... - Głos Wittle przypominał syczące pomruki Szybkostopej.

- Może tak i jest - odrzekł, znalazłszy się już wystarczająco blisko, by pokonać w bród strumień, i przez samo swe nadejście zmuszając czarownicę do cofnięcia się o krok lub dwa. - To jest niespokojna kraina, nie chcemy, by niepokój się wzmagają... Wracaj do Doliny, by nie zostać w to wciągnięta. Działają tu potężne siły.

- Kto wróżył ze szklanej kuli, by tyle z niej wyczytać? - Pogarda jeszcze raz zawładnęła głosem Wittle. Z pewnością jest to niespokojna kraina. Może wyruszyliśmy po to, by położyć kres niektórym z tych niepokojów. Pozwólcie dotrzeć nam do źródła siły i...

- I unicestwić się za sprawą twego szaleństwa. Byłoby nie najgorzej, gdybyś tylko ty na tym ucierpiała. Najmniejsza drobina mocy jest zbyt cenna, by trwonić ją po próżnicy wśród wrogów...

Kelsie widziała, jak ręce czarownicy szarpnęły nagłym ruchem łańcuch z klejnotem, by wydostać z ukrycia drogocenny kamień. Nawet w dziennym świetle niebieskość jego wewnętrznego ognia nie przygasła. Wiole ujęła go w rękę, kierując w stronę Yonana.

Mężczyzna roześmiał się i wyciągnął miecz z pochwy. Trzymając go za brzeszczot, wzniósł przed nimi rękę ozdobioną niebieskim kamieniem. Klejnot błysnął, odpowiedział mu kamień. Dwa promienie spotkały się, napierając na siebie dopóty, dopóki nie pozostało z nich nic poza smużką dymu.

- Ty... ty... - Kelsie po raz pierwszy widziała, by Wittle naprawdę zabrakło słów. Jej zwykła arogancja zniknęła.

- Tak, ja nie z tych, którym ty przewodzisz - rzekł. Własnymi siłami odkryliśmy inne rodzaje mocy. Żelazny guan żyje w ręku tego, kto ośmieli się go przyjąć. A skoro już ustaliliśmy, że nie jesteś w stanie tak łatwo się mnie pozbyć - pozwolił sakwie ześliznąć się z ramion przedyskutujmy rzecz całą. Pani Dahaun przesłała wiadomość Hilaronowi. Czyżbyś może sądziła, że masz taką moc, by stawić czoło wtajemniczonemu? Trzyma się on mocno w tej krainie i nie zgodzi się na żadne sztuczki, które umożliwiłyby Siłom Ciemności wyłamać się spod naszej kontroli.

- Co zamierzasz uczynić? - zapytała Wittle posępnie. - Iść z wami. Czyż nie zdajesz sobie sprawy, iż tak jak ty gorąco pragniemy oznaczać źródła mocy. Gdy to tylko jest możliwe, musimy dowiadywać się, co gdzie się skrywa, by Ciemność nie dotarła tam pierwsza.

- To nie jest rzecz mężczyzn...

- To jest rzecz każdego, kto ma w sobie dość odwagi! - sprzeciwił się Yonan. - Jako wywiadowca i jako ten, który zdobył się już niegdyś na odwagę, wybrałem się na tę wyprawę z własnej nieprzymuszonej woli. Podążasz ku Śpiącym...

Wittle szarpnęła głową, jakby uderzył ją w twarz.

- Jak się tego dowiedziałeś? - zapytała i po raz pierwszy chłód jej głosu ustąpił miejsca płomiennemu żarowi. Yonan wzruszył ramionami.

- Czyżbyś myślała, że zdołasz skryć taki cel przed mieszkańcami Doliny? Przez cały czas, kiedy czekałaś na swą siostrę, wiedzieliśmy, co zamierzasz.

Rzucając mu piorunujące spojrzenie, czarownica zacisnęła rękę na klejnocie, jak gdyby znów usiłowała się z nim zmierzyć. Ale on obrócił się już ku Kelsie.

- Czy robisz to z własnej woli? - zapytał.

- Nie, ale też nie z jej namowy - odparła. - Jest coś takiego w klejnocie, co domaga się tego ode mnie.

- Zdejmij go!

Był to raczej rozkaz niż prośba i ręce dziewczyny drgnęły posłusznie... lecz przesunęły się zaledwie odrobinę. Kamień buchnął żarem ostrzegawczo.

- Nie mogę. - Kelsie była zmuszona się przyznać. Nie widziała jego twarzy, jedynie zmarszczone czoło. - Dotknij... - Ujawszy brzeszczot, wyciągnął miecz w jej stronę. Niebieskie pasemko zdobiące głowicę płonęło własnym, nieco przygaszonym ogniem.

Kelsie sięgnęła ku rękojęści i zaraz opuściła rękę z cichym okrzykiem zdziwienia. Miała zdrętwiałe palce, a martwota objawszy dłoń popęzła w górę ramienia.

- Nie mogę...

Skinął głową, jak gdyby spodziewał się takiej właśnie odpowiedzi.

- Jesteś w mocy *geas*. - Czego?

- Rozkaz któregoś ze Starych albo kogoś z wtajemniczonych. Może spoczywa w sercu tego kamienia, który nosisz. Musisz być teraz posłuszna temu, co jest ci nakazane.

Wittle roześmiała się nieprzyjemnie.

- Czyżbyś myślała, że możesz nosić kamień władający Mocą, uchodząc zapłatę, którą winien mu jest ten, kto go nosi? Musisz teraz iść tą ścieżką, chcesz czy nie chcesz.

Kelsie wydawało się później, że wszystko to zostało jej narzucone jeszcze przedtem, nim klejnot umierającej czarownicy pojawił się w jej życiu.

- Nie jestem jedną z was - zaprotestowała. - Czemu muszę być w to wciągnięta?

Było to pytanie, które mogłaby zadać kilka godzin temu, ale go nie zadała aż do nadejścia Yonana. Stanowił on tę drobinę rzeczywistości, która usiłowała ingerować w trzymającą ją w swej władzy energię.

- Nie masz wyboru. - Wittle odwróciwszy się odsunęła się kilka kroków i po raz wtóry usadowiła na piasku, plecami do pozostałych, wyraźnie szykując się do snu, z którego wyrwał ją Yonan. Kelsie spojrzała na młodego mężczyznę.

- Nie wybierałam... - zaczęła, a on potrząsnął głową. - Pani, w tym kraju możliwość naszego wyboru jest ograniczona. Ja sam we własnej osobie przemierzałem najdziwniejsze drogi, ponieważ wpadłem w sidła czegoś, co było silniejsze niż moja wola. To jest miejsce nawiedzane, a na to, co je nawiedza, składają się drobiny czy też fragmenty dawnych walk i dawnych rozkazów, które, raz wydane, wciąż utrzymują swą moc. Długi czas opieraliśmy się Ciemnościom, zawsze pośród nas krążyły jednak pogłoski, że gdzieś tam w głębi kraju - wskazał podbródkiem w górę rzeki, dzierżąc ciągle miecz w obu rękach - znajdują się siedliska prastarej Mocy, która nie jest sprzymierzona ani z Ciemnością, ani ze Światłością. Jeśli odnajdziemy takie siedlisko, a to, co ty

nosisz, rzeczywiście stanowi klucz do niego czy też do nich, wtedy poznamy cel, dla którego tu się znaleźliśmy.

- Cel, którego nie wybierałam - rzekła gorzko Kelsie. Niemożność dotknięcia miecza zszokowała ją, szok ten zaś wyciągnął ją jakoś z tego ogłupiałego stanu, w którym, jak stwierdziła obecnie, musiała tkwić od momentu opuszczenia Doliny.

- Cel, którego nie wybierałaś - zgodził się spokojnie mężczyzna. - Teraz zechciej odpocząć, pani, to jest ostatnia noc pełni księżyca, potem będziemy już wędrować za dnia. A jak daleko zawędrujemy, nikt nie wie.

Czucie powracało do ręki, w miarę jak dziewczyna tarła ją energicznie. Chciała się sprzeciwić, ale całkowita zgoda Yonana na to, co się jej przydarzyło, kazała jej uwierzyć, iż nie byłoby z tego żadnego pożytku. Usadowiwszy się na swym posłaniu na piasku, złożyła głowę na sakwie niczym na poduszce i pozwoliła sobie odpocząć. Tak naprawdę nie spodziewała się zasnąć, ale sen zmorzył ją, i to szybko.

Przebudziła się, kiedy czyjaś szorstka dłoń spoczęła na jej ramieniu. Spojrzała na niebo pokryte pędzącymi chmurami. Pierwsze krople deszczu pojawiły się wraz ze zmierzchem. Obok stała Wittle z sakwą na plecach i kawałkiem wysuszonego podróżnego placka w ręku.

- Pora iść - przełknawszy powiedziała czarownica. Sandały zwiślały jej z paska. Machnęła w kierunku wody. Yonan wszedł do strumienia; woda sięgała mu do kolan. - Nie możemy trzymać się go zbyt długo - rzekł, gdy Kelsie, znalazłszy swój prowiant, żuła wysuszone kawałki, które drapały ją w język i dziąsła. - W górze strumienia leje zapewne deszcz... woda przybiera.

Swą ciężką nocną wędrowkę rozpoczęli marszem poprzez wodę. Z kilku pierwszych kropli zrodziła się ulewa. Kelsie przemokła do suchej nitki i poczęła się trząść, jej towarzysze jednak wydawali się nie dostrzegać burzy.

Noc nadchodziła szybko, chmury od czasu do czasu oświeślały błyskawice, w ślad za którymi następowały grzmoty. Nurt strumienia obmywał nogi Kelsie do połowy ud, dziewczyna czuła napór wody. W pewnym momencie stąpnęła boleśnie na skałę i byłaby upadła, gdyby ręka Yonana nie pochwyciła jej w porę i nie podtrzymała.

W końcu wydostali się na brzeg i skulili pod rozłożystą wierzbą, by dać odpocząć umęczonym stopom. W nocnych ciemnościach dwójka jej towarzyszy przypominała na pół

widoczne plamy i Kelsie zastanawiała się, jakim to sposobem udało się im utrzymać razem i czy nie byłoby lepiej, gdyby zostali pod tym skąpym schronieniem, które właśnie znaleźli, dopóki nie przejdzie burza.

Kelsie poczuła najpierw poruszenie Yonana, a potem poprzez szelest deszczu i szum strumienia usłyszała jego niski głos.

- Czujesz?

Posłusznie pociągnęła nosem, ale to, co dotarło do jej świadomości, stanowiło jedynie stęchły zapach, który niejasno łączyła z rozmięktą ziemią. Yonan skoczył na równe nogi i otrząsnął się z wody. W świetle błyskawicy Kelsie dojrzała w jego ręku blask dobytego, gotowego do walki miecza. W tym samym momencie na jej ramieniu, miażdżąc je

niemiłosiernie, spoczęła ręka czarownicy. Wittle była zdecydowana przytrzymać ją tam, gdzie się znajdowała.

Rozległ się dźwięk podobny do na wpół urwanego krzyku i Yonan zniknął pod ziemią. Kelsie wyrwała się czarownicy i rzuciła do przodu, ale nogi obsunęły się pod nią i poczuła, jak spada. Wydawało się jej, że krzyknęła. Klejnot na jej piersi wybuchł mocnym światłem, gdy lądowała, wbijając Yonana twarzą w moką ziemię, która otaczała ich zewsząd. W powietrzu rzeczywiście wisiał smród, ten, który czuła przedtem.

Thasowie! Wpadli do jednego z podziemnych przejść tych mieszkańców Ciemności. Wiole nie popełniła takiego błędu, jak Kelsie, i nie dołączyła do tej plątaniny rąk i nóg. Gdy już na samym dnie owej dziury, pełnej błota, podniesli się i wyprostowali, zsunął się na nich niespodziewanie kawał ziemi, znowu obalając ich na kolana i niemal zagrzebując. Kelsie usiłowała uciec, kiedy z głębi ciemności, kryjącej tę część tunelu, która się nie zapadła, wypełzło coś grubego i długiego, coś, co przypominało korzeń i co przygwoździwszy jej ręce do ciała oplotło się wokół niej dość mocno, zapierając dech w piersi.

8

Jakiś inny szorstki sznur zaatakował Kelsie w okolicy bioder i w jednej chwili została spętana. Nie mogła się swobodnie poruszać, była zniewolona przez owe więzy, ciągnące ją teraz prosto w stronę spowitej w półmroku części dołu, gdzie się znajdował otwór. Z szamotaniny, która dochodziła jej uszu, Kelsie wnosila, że Yonan znajdował się w nieco lepszym położeniu, o ile coś takiego można było brać pod uwagę.

Klejnot żarzył się jej na piersi. Pochwyciła przed sobą słaby błysk, który mógł pochodzić z kamiennej ozdoby władającej mocą, umieszczonej na rękojeści miecza Yonana. W śmietle, które biło od klejnotu, Kelsie stwierdziła, że to coś, co ją zniewoliło, przypominało dwa grube korzenie. Miały one jednak ruchliwość węży i ciągnęły ją brutalnie, obijając to o jedną, to o drugą ścianę, w głąb korytarza przeznaczonego dla mniejszych niż ona stworzeń. Rozmiękła ziemia oblepiła ją ze wszystkich stron. Kelsie pluła, chcąc oczyścić z niej usta.

Gęstniejący w powietrzu zapach miesił jej w żołądku, tak że musiała walczyć z mdłościami podchodzącymi do gardła. Słyszając okrzyki wstrętu i złości, osądziła, iż Yonana również ciągnięto siłą.

Miała wrażenie, że wleczono ją tak co najmniej godzinę albo i dłużej - chociaż zapewne nie trwało to aż tyle. Potem pociągnięto ją tak, jak się wyciąga korek z butelki, w miejsce oblane upiornym, fosforyzującym światłem, jakie mogłoby emanować jedynie z rozkładających się ciał. Wydostawało się ono ze szczytów powykręcanych pali ustawionych w kwadrat. Kiedy Kelsie znalazła się w tej pułapce, upadła potrącona przez Yonana, który osunął się na nią ciężko, gdy oboje zostali uwolnieni z więzów.

Coś chrupnęło. Skala wyższa i szersza niż ciało Kelsie opadła z góry, zamykając otwór w palisadzie, na której szczycie płonął zimny ogień. Yonan zerwał się już na równe nogi zwróciwszy twarz w tamtą stronę.

Wierzchołki pali, na których migotało owo niesamowite światło, znajdowały się dobrze ponad głową stojącej dziewczyny. Tworzyło ono niezdrową mgiełkę, która kryła przed wzrokiem to, co mogłoby znajdować się bezpośrednio nad nimi. Kelsie skrzyżowała ręce, rozcierając stłuczenia na ramionach, gdzie sznury werżnęły się w ciało najmocniej. W miejscach tych znajdowały się również zadrapania, które piekły boleśnie przy dotyku, jak gdyby szorstka powierzchnia sznura zdarła skórę do żywego. Yonan, chroniony kolczugą, musiał doznać znacznie mniejszych obrażeń.

Zaledwie przez chwilę badał skałę, która przywaliła otwór, i teraz węszył już wzdłuż jednego z boków kwadratu, z wyciągniętym i gotowym do walki mieczem, jak gdyby spodziewał się jakiegoś błyskawicznego uderzenia. W końcu wepchnął w szparę między dwoma palami miecz, chcąc któryś podważyć, ale stal nie odcisnęła nawet znaku na olbrzymiej palisadzie.

- Twój klejnot... - rzekł oschle. - Czy zdoła otworzyć nam drogę?

Drogocenny kamień wciąż błyszczał, Kelsie jednak wydawało się, że światła jakby ubyło, może przytłumiły go nikłe promienie z pali. Mimo to posłusznie postąpiła kilka kroków w stronę najbliższego, roztaczającego cuchnącą woń słupa i uniosła kamień, tak by osłabiony promień niebieskiego światła skupił się dokładnie na owym palu.

Na jej oczach drewno, korzeń albo kamień, czymkolwiek było to, z czego zrobiono palisadę, wykręcało się pod

ostrzem światła. Ale kiedy Yonan z krzykiem uderzył mieczem w plamę światła, natrafił tylko na twardą jak diament powierzchnię.

- Gdzie jesteśmy? - Kelsie próbowała opanować wzrastający strach, zadając pytanie najspokojniejszym głosem, na jaki mogła się zdobyć.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- W rękach Thasów. Gdzie? Możemy znajdować się gdziekolwiek tam, dokąd sięga ich świat.

- Wittle...

- Nie sądzę, by ją złapano. - Ci Thasowie...

- Służą Ciemności - przerwał. - Polują w sforach, w taki sposób łatwiej im nas pochwyć. A ich sznury na kształt korzeni mocno trzymają.

- Czego chcą?

- Wszystkiego z wyjątkiem tego, co im szkodzi. Powiedziałbym, że twego klejnotu. Prawdopodobnie nie dla siebie, są sługami potężniejszych władców i teraz udali się zapewne złożyć im raport. Wkrótce przekonamy się, jakiemu rodzajowi Ciemności się wysługują.

- Mego klejnotu... - Kelsie przełożyła łańcuch przez głowę, pozwalając mu teraz spływać z palców, i w końcu poczęła wymachiwać nim bezwiednie tam i na powrót. Skupiła na nim myśl, oślepiona jego pulsującym światłem, jak gdyby nigdy przedtem nie widziała podobnego blasku. Owo tężenie i słabnięcie następowało w takt wahaniec, które z wolna poczęły się jednak wzmacniać, wydobywając coraz szybciej błyski z kamienia.

Serce biło jej szybko, a może równo z pulsowaniem światła. Tego me była pewna. I nie miało to też żadnego znaczenia. Ale co sprawiało, że skoncentrowawszy się na nim całkowicie i zapomniawszy o wszystkim innym, musiała trzymać go przed oczyma?

Z początku było to trudne. Potem w wirze światła, który przesunął się wzdłuż toru poruszającego się kamienia, dostrzegła coś, co zaczęło się właśnie formować. Te surowe rysy nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Wittle! Jednak nie była to czarownica, jedynie jej niewielki wizerunek. Kelsie skupiła całą swą uwagę na tej twarzy i wydawało się jej, że Wittle patrzy na nich szeroko rozwartymi oczami, tak jak gdyby również ich widziała.

- Precz! - Kelsie wymówiła słowo, które miało teraz dla niej największe znaczenie.

Dostrzegła otwarte usta Wittle. Jeżeli czarownica coś mówiła, dziewczyna jej nie słyszała. Wszakże w jej umyśle błysnęło coś, co mogłoby stanowić albo odpowiedź, albo nawet jakiś złośliwy figiel spleatany przez wrogów. Drugą ręką powstrzymała wirowanie kamienia. Twarz Wittle nagle zniknęła.

Kelsie trzymała kamień w dłoni mimo żaru, który wydawał się przepalać ciało aż do kości. Dzierżyła go wciąż, panując nad umęczonymi palcami i kierując pojedynczy promień światła nie na słup przed sobą, gdzie Yonan przypuścił szturm, ale raczej ku jego wierzchołkowi, nad którym unosiła się pochodząca z jakiegoś niewidocznego płomienia żółtawa, złowroga mgiełka.

Świetliste ostrze trafiło w ową mgiełkę, przecinając ją. Na szczycie słupa Kelsie dostrzegła czarę. Widziała, jak niebieska plama, która pojawiła się nad ścianą ogrodzenia, powiększała nie tylko swe rozmiary, ale również intensywność blasku.

Wtem coś spadło im do stóp; to ukruszyła się spora część czary. Kelsie skierowała promień światła klejnotu w powstałą szczyrbę. Ale to nie wystarczyło, by cokolwiek dojrzeć. Wtem coś przyszło jej do głowy. Nie wykorzystwała przecież całej mocy, jaką była w stanie przywołać... Jako czarownica miała niewielkie doświadczenie.

- Daj mi żelaznego guana - powiedziała nie odwracając głowy. - Połóż go na mym nadgarstku.

Kelsie poprosiła Yonana o rozpalone żelazo, gdyż chciała rozniecić na nowo całą swą wiarę. Przygryzła dolną wargę, zdecydowana nie krzyczeć... nie pamiętać o bólu, skoncentrować się tylko na tym, co robi i co powinna zrobić.

Bo to pasemko niebieskiego metalu stanowiło siłę, która spotężniała w jej rękach obejmujących klejnot. Musiała znieść jątrzący ból, klejnot jednak strzelił lazurowym promieniem, jego impulsy stawały się mocniejsze i częstsze. Raptem...

Rozległ się trzask... Kelsie usłyszała na własne uszy czy też wyczuła we własnym ciele śmiertelne zmagania jednej siły z drugą. Strzaskana czara na szczycie pala strzelała płomieniami innego światła, chwilami tak ostrego, jak błyskawice na niebie. Mgiełka, która zdawała się wydostawać z płomienia, kłębiła się teraz nie żółto, nie niebiesko, lecz świeciła białym blaskiem. Tak raził on Kelsie w oczy, aż musiała je przymknąć. Coś uderzyło ją w ramię, jakiś przedmiot otarł się o biodro. Usłyszała krzyk Yonana. Ręka w kolczudze szorstko ujęła ją w pól, odciągając do tyłu. Yonan również się wycofywał. Ręce jej drgnęły i opadły, lecz nie wypuściła kamienia. Kręcił się on jedynie na łańcuchu, który wciąż trzymała w dłoni.

Nad ich głowami przemykały tam i sam wstęgi ognia, które owijały się wokół pali tworzących ściany klatki. Potem słupy te rozgorzały skwiercząc, tak jak skwierczałoby

zapewne ciało dostawszy się w podmuch płomieni. Żar wżerał się w pale, a Kelsie i Yonan przykucnęli na środku swego więzienia. Ponad skwierczeniem ognia Kelsie słyszała, a nie miała co do tego żadnych wątpliwości, gardłowe głosy powtarzające jakiś refren, nic jednak nie dostrzegła, bo osłaniała ramieniem oczy przed tym płomiennym widokiem. Nie była nawet świadoma tego, czy klejnot zakończył już swe szalone obroty, czy nie.

Skwierczenie i smród stawały się nie do wytrzymania. Kelsie oddychała z trudnością czując, że pierś Yonana pracuje w taki sam sposób, jak gdyby oboje walczyli wśród tej pożogi o każdy oddech.

Na razie płonące szczątki opadały na zewnątrz, jak sądziła Kelsie, bo bijący w nich żar nadpływał z góry wraz z powietrzem, a źródłem gorąca nie były resztki dopalających się pali. Z wolna żar opadał. W końcu Kelsie zdecydowała się odsłonić oczy i rozejrzeć wokół. Wszędzie leżały kikuty pali, nieustannie tryskając żyłkami iskier, które na nowo podsycaly płomienie. Na zewnątrz zaś tego

pogorzeliska wiły się, tłukąc o ziemię niczym cepy, owe korzenie, które ich porwały i tu przywlekły. Od czasu do czasu, kiedy któryś z tych nie dopalonych pniaków wybuchał płomieniem, dziewczyna widziała, a była tego pewna, jakieś pędzące truchtem stworzenia, które w tym świetle wyglądały niczym zwinięte w kłębek korzonki. Prawdopodobnie właściciele pułapki krzżeli się teraz wokół budowy następnej, solidniejszej już klatki dla swych więźniów.

. Yonan oderwał się od boku Kelsie niemrawo, jak gdyby wyczerpała go całodzienna wędrówka. Dziewczyna zaś była zbyt zmęczona, by w ogóle się ruszyć. Mężczyzna skierował się chwiejnie w stronę najbliższej dziury wypalanej w ścianie palisady i za pomocą miecza rozkruszył, rozpychając na boki, strawione przez ogień drewno, po którego powierzchni nadal pełzały płomienie. Potem wyciągnął ku niej rękę.

- Chodź!

- Czyż nie rozumiesz, że oni tylko na to czekają...? Są tam - odparła. Bardzo poważnie w tym momencie zwątpiła w to, by mogła zdobyć się na coś więcej niż pełzanie na czworakach; dostarczyłaby w ten sposób owym czekającym tam smacznego kąska.

Yonan podbiegł ku niej dwoma szybkimi susami i złapawszy ją pod pachy postawił na nogi.

- Wpadli w panikę - powiedział, na pół ją prowadząc, na pół niosąc w stronę wyjścia, które przygotował. Niezależnie od tego, jakiemu panu służą, ani on, ani jego znaczniejsi poddani nie mogą tu teraz przebywać.

Kelsie nie mogła zrozumieć, skąd Yonan był tak pewny tego, co mówił. Nie miała dość energii, by się wadzić, nie mogła też tracić w próżnych sporach tych resztek siły i odwagi, które jej jeszcze pozostały, musiała być przecież gotowa stawić czoło temu, co znajdowało się dalej. Ta wyrwa w klatce obdarzyła ich całkowitą wolnością, ale tak naprawdę Kelsie mocno w to wątpiła.

Ruszyli wąską ścieżką pomiędzy płomieniami, którą przebił miecz Yonana. W słabnącym świetle w większości zniszczonej palisady Kelsie dostrzegła pełzające po dnie

pomieszczenia korzenie, z których kilka najbliższych kierowało się w ich stronę.

Yonan pchnął mieczem błyskawicznie w lewo, nie użył jednak brzeszczotu, lecz opuścił gwałtownie w dół rękojeść, wymierzając ją przeciwko uniesionemu do góry końcowi najbliższej podhzwogatości w kształcie korzenia. Stworzenie skręciło się i odpetzło. Na jego powierzchni, w miejscu, którego musiało dotknąć żelazo, powstała owalna świetlna plama, która powiększała się piorunem, jak gdyby moc ciągle się tam wżerała.

Działo się to wówczas, kiedy Kelsie wyraźnie usłyszała zduszony głuchy odgłos, który przez swą regularność przypominał uderzenia w bęben. Były one jednak przytłumione. Wokół rozbrzmiewał również inny dźwięk rytmicznego, monotonnego zaśpiewu.

Kiedy myszkujący korzeń odpetził od nich, unosząc ze sobą rozrastające się jaskrawe piętno, następny wyleciał skądś, a może też zrzuciono go z jakiejś niewidzialnej w ciemności grzędy. Smagał na wszystkie strony po dnie pieczary, jak gdyby zamierzał zwalić z nóg Yonana i Kelsie. Dziewczyna wywijiała łańcuchem z klejnotem, który stał się już posępnym cieniem samego siebie. Drogocenny kamień trafił także i w ten korzeniowaty sznur, odpędzając go.

Kelsie próbowała skupić się na klejnocie, który schroniła w zagrodzie ze swych rąk, nie potrafiła jednak przywołać tej samej niezawodnej mocy, jaką poznała wcześniej. Doszło tylko do jednego czy też dwóch nikłych jej wybuchów. Jednak to wydawało się wystarczać, by utrzymać korzenie z dala. Kelsie zastanawiała się, czy Yonan wie, dokąd idą. O ile mogła wnosić, kierował się on prosto przed siebie, w ciemność. Znowu stało się tak, jak gdyby czytał w jej stępionym ze zmęczenia mózgu.

- Przed nami jest otwór. Czujesz powietrze...? - W słabym świetle klejnotu i miecza Kelsie dostrzegła pomiędzy wargami Yonana koniuszek języka, jak gdyby mężczyzna rzeczywiście badał w ten sposób powietrze. Zaczęła go naśladować.

Musiało coś być przed nimi! Odniosła niemal wrażenie, jakby ofiarowano jej szklankę wody w tym ciemnym, pełnym dymu i żaru miejscu. Dziewczyna spostrzegła kątem oka, że jej towarzysz trzymał język w ten sam sposób nawet wtedy, kiedy ją pośpieszał. Zdawała się odzyskiwać część sił, gdy tak szła, aż wreszcie oderwała się od Yonana i ruszyła naprzód sama.

Miarowe dudnienie oddalonych bębnow i jakieś syczące dźwięki wypełniły miejsce, w którym się znajdowali. Kelsie słyszała gwar wznoszących się i opadających głosów, wreszcie wydało się jej, iż ustaliła kierunek, z którego nadciągały - z jej prawej strony. Korzeniowate sznury dotrzymywały im kroku przez cały czas, teraz jednak ten czy ów, a niekiedy dwa naraz znowu próbowały opleść swych niedawnych więźniów. Jednak wystarczyło, by Yonan pokazał im quana na główicy swego miecza, by zaraz się wycofały.

Kelsie miała świadomość, iż skała pod ich stopami wznosi się z wolna do góry, a w pewnym momencie była nawet przekonana, że widzi przed sobą bladą smugę światła. Wtem zapadła niespodziewana cisza. Bębny i głosy ucichły, zniknęły gdzieś syczące korzeniowate sznury. Jeszcze raz wypróbowała językiem powietrze...

Utrzymywała się w nim nadal świeżość, mimo to nozdrza dziewczyny drażniła, wciąż się wzmagając, wilgotna woń jakichś nieczystości. Czula także inne jeszcze zapachy,

których nie umiała nawet nazwać. Gdzieś tam przed nimi musiało być wyjście, jak podejrzewał Yonan, ale czyhało też tam na nich niebezpieczeństwo.

Kelsie ujęła delikatnie ręką kamień wiszący na łańcuchu i dotknęła nim czoła. Nie potrafiłaby wskazać przyczyny owego gestu, po prostu wydawało się jej, iż jest to najlepsze, co może zrobić.

Mimo że wbiła oczy w ciemność przed sobą, w jej umyśle pojawił się inny obraz - zbitej masy bezkształtnych stworzeń, który pochwyliła jednym ledwie okiem w świetle płonących szczątków klatki. Na samym przedzie trzy z nich tłukły topornymi łapami w płaską powierzchnię instrumentów w kształcie mis, trzymając je między kolanami.

A kiedy stworzenia owe śpiewały, nie... krzyczały, obnażały zęby. Na co, albo też na kogo, krzyczały? Kelsie wzdrygała się przed zgłębieniem tej tajemnicy, nie odrywała jednak klejnotu od czoła.

Tuż przed nimi pojawił się ezerwonawożółty wir, zmniejszając się i ścinając w coś znacznie bardziej stałego niż mgła, z czego zrodziło się jeszcze coś nowego. Kelsie spodziewała się ujrzeć twarz, nawet całą postać, ale to, co zobaczyła, tworzyło obraz stanowiący mieszaninę kropek i linii, wzór przerastający jej pojmowanie - zapowiadając jeszcze większe niebezpieczeństwo niż paląca się klatka. Kelsie pozwoliła opaść klejnotowi, jednak nie wcześniej, aż uzyskała pewność, że to, co układało się we wzór, zdawało sobie sprawę z ich obecności, że daleko im było do oswobodzenia się z rąk sług - Thasów... czy może nawet innych jeszcze, potężniejszych pomocników Ciemności.

Yonan jednak parł nieustannie do przodu. Kelsie zauważyła, iż całą uwagę skupił na żelaznym guanie, jak gdyby ten mógł niczym wywiadowca ostrzegać ich w porę. Czyżby kamień na rękojeści miecza dorównywał...?

Klejnot zapłonął, a żar błysku sprawił, iż dziewczyna pozwoliła mu wymknąć się z palców i zawisnąć na łańcuchu. Tym razem to nie korzenie wysliznęły się z ciemności. Kelsie spostrzegła raptem, iż światło jej kamienia przeglądało się w niezliczonej liczbie par czerwonych punkcików znajdujących się mniej więcej na wysokości podłoża... Oczy...?

- Rasti. - Yonan przerwał ciszę.

Tuż nad ziemią utworzyła się rzeka owych oczu, ale nie rozlewała się szerzej, nie próbowała ich ogarnąć, jak tego bała się Kelsie. Wydawało się, że i ci mieszkańcy Ciemności byli w tej chwili tak ostrożni względem nich, jak poprzednio Thasowie. Mimo że stworzenia te przestały się posuwać, kłębiły się w jednym miejscu, osłaniając przed nimi skałę i coś, co mogłoby stanowić przejście do zewnętrznego świata. Eksperymentując dziewczyna rozhuściła klejnot na całą długość łańcucha i zauważyła, iż stworzenia z pierwszej linii zachwiały się. Rozległ się przeraźliwy chichot, wczas tając ostro ponad głucho dudnienie bębnow w kształcie mis. Zastępy Rasti rozdzieliły się, pozostawiając wolny pas, którym nadchodziło coś potężniejszego niż Thasowie, wyższego, silniejszego i, co Kelsie rozpoznała po błyskawicznym przyplywie wstrętu, daleko bardziej przepelnionego złem.

Dzięki różdżce, którą nowo przybyły dzierżył w ręku, żółtawe światło, wypływające z pali, rozbłysło jeszcze raz i rozlało się wokół. W jego blasku dziewczyna ujrzała postać

tak wysoką jak Yonan. Nie miała ona na sobie zbroi ani, co więcej, żadnego okrycia poza zmierzwionymi kłakami.

To coś podrygiwało raczej, niż kroczyło, jak gdyby odprawiając w ten sposób uroki w jakimś nieznanym obrzędzie. Pałkowate, owłosione nogi kończyły rozdwojone do połowy swej długości kopyta. A te na przemian kopały Rasti, trafiając celnie raz po raz któreś zwierzę i posyłając je w obrotach, rozświergotane, w kierunku własnych towarzyszy, na których opadało z łomotem.

Reszta tej postaci była zgarbiona, jak gdyby nie mogła z powodu rozpiętości, a także grubości ramion całkowicie się wyprostować. Brzuszyśko sterczało przed nią bezwstydnie. Wszystko to razem tworzyło odstręczającą kreaturę.

Ale ponad ciałem o pochyłych ramionach i wydętym brzuchu tkwiła tak niepokojąco piękna głowa, jak gdyby dwa różne stworzenia obleczono za pomocą jakiegoś obrzydliwego zaklęcia jednym kształtem. Głowa ta nie była ani męska, ani kobieca, odznaczała się jednak wielką urodą. Twarz miała nieskazitelne, stężałe w maskę, spokojne rysy. A włosy, które ją otaczały, w niczym nie przypominały kłaków porastających resztę ciała, lecz spływały luźno jedwabistymi lokami, połyskującymi w świetle czerwienia.

Najdziwniejszy ze wszystkiego był jednak fakt, iż to coś, jak ustaliła Kelsie, poruszało się z zamkniętymi oczyma, ale bez niepewności właściwej niewidomym, raczej tak, jak gdyby ciało tego czegoś przestrzegało jakiegoś zestawu norm.

Kelsie wyczuła ruch koło siebie. To Yonan zaczął iść na spotkanie owego stworzenia, wyciągnąwszy w jej kierunku ramię, jak gdyby chciał tym sposobem odepchnąć od niej niebezpieczeństwo. Klejnot rozbłysnął znowu i Kelsie poczuła, jak uszczuplał zasoby jej ducha.

- Ach, to Tolar... Stałeś się bardziej odważny w obecnej dobie. Czyżbyś zapomniał o Varhumie w czasie długich lat swego wygnania? - Doskonale zarysowane usta poruszyły się z przesadą, gdy stworzenie się odezwało, a niewidzące, okryte powiekami oczy były wyraźnie zwrócone w stronę towarzysza Kelsie.

- Tolar nie żyje... od dawna - odparł ponuro Yonan. - Nie pamiętam...

- Jesteście śmiertelni. - Głowa kreatury drgnęła, głos zaś stał się radosny. - Czemu tak się boisz tego, co ci ofiarowywano? Byłeś Tolarem, kiedy ostatni raz się spotkaliśmy, i być może to tym lepiej dla nas. To, iż musisz czekać, by się znów narodzić, stanowi kaprys Wielkiej Mocy. Ale zapomnieć, ach, Tolarze, to głupota. Ściany Varhuma zostały wyłamane przez...

- Siły Plaspera - przerwał Yonan. - Ty zaś jesteś... - Oczami i ustami, niekiedy tej orężem, jednego z tych znacznych, kogoś, kogo ty, stojący po stronie Światłości, nie możesz sobie nawet wyobrazić. Jednak i ja byłem ongiś twej krwi i twego Rodu.

Zapadła na chwilę cisza, zamarł nawet świergot Rasti. Kelsie uświadomiła sobie, że przez ciało jej towarzysza przebiegł dreszcz, tak blisko siebie teraz stali.

- W Vocku...? - Słowa te rozbrzmiały raczej jak pytanie, nie jak zwykłe oznajmienie nazwy miejsca.

W tym momencie doskonale wykrojone wargi wykrzywiły się w okrutnym uśmiechu.

- Znakomicie! Widzisz, skoro już tyle powiedziałaś, to znaczy, że pamiętasz! Nie próbuj żadnych sztuczek, by wymazać z pamięci przeszłość, Tolarze. Wiesz, kim jestem naprawdę... Nazwij mnie z imienia, skoro odważyłeś się wspomnieć o Plasperze.

Kelsie znowu poczuła, jak dreszcz wstrząsnął ciałem Yonana. Ale na jego twarzy, o ile mogła dostrzec, malował się niezmienny spokój niczym u tego drugiego.

- Lord Rhain.

- Tak. Nazywano mnie jeszcze innymi imionami w tamtych dniach, prawda? Traitor, Betrayer, Ten z Ciemności! W twoich oczach byłem nimi wszystkimi, czyż nie? Ale, jak widzisz, stałem się mądrzejszy... kiedy zdałem sobie sprawę z tego, iż nasze miecze znajdują się po niewłaściwej stronie... wtedy kiedy Kalrinkar miał jeszcze za sobą siły przyszłości. I tak... - Przygarbione ramiona drgnęły, a przez wargi przemknął ponownie pojedynczy błady uśmiech. - Żyłem...

- Pod taką postacią - wybuchnął Yonan.

- Czyż nie wystraszyłem cię już niegdyś należycie, przyjacielu? Jeśli zechcę... - Z ust wydobył mu się kłęb dymu, który wydłużając się i gęstniejąc, okręcał się wokół tej niekształtnej postaci skrywając ją całkowicie. Kelsie jednak nie miała wątpliwości, iż stworzenie to wciąż tam było. Nadleciał słabutki żółtoczerwony powiew i dym się rozplynął. Zamiast owłosionego cielska, które wyszło im naprzeciw, ujrzeli mężczyznę, którego sylwetka współgrała wspaniale z kształtną głową i piękną twarzą. Kelsie przyszło na myśl, że wszystko to jest z pewnością iluzją. Mimo to mężczyzna wydawał się teraz równie prawdziwy, jak kilka chwil wcześniej w skórze pół zwierza, pół człowieka.

- Widzisz... - Nawet jego głos zmienił rytm, stał się jakby daleko bardziej ludzki, zabrakło w nim owej ledwo uchwytniej wzgardy, którą zawierał tamten poprzedni. Oto Rhain we własnej osobie...

Ale Yonan z wolna potrząsnął głową.

- Byłeś Rhainem. Kim zaś jesteś teraz w oczach tych, którzy stoją po stronie Światłości?

Pod wpływem impulsu Kelsie, mimo że znowu nie potrafiła powiedzieć, dlaczego to zrobiła, machnęła w kierunku mężczyzny klejnotem czarownicy zawieszonym na łańcuchu. Niebieskawy promień, który kamień przez cały czas emitował, dotknął wysokiego, doskonałego ciała. Powietrze poczęło drgać, jak gdyby rozprysła się jakaś cienka szyba, i Kelsie ujrzała, że Rhain wrócił do swej poprzedniej groteskowej postaci.

- Nawet naszych oczu nie możesz już omamić... odezwał się Yonan w głos.

Ale uwaga Rhaina przeniosła się z mężczyzny, którego brał za dawnego towarzysza, na Kelsie i jego twarz przybrała tak groźny wygląd, że aż zharmonizowała się z resztą ciała.

- Czarownica! - Splunął i wilgotna kropelka trafiła w ziemię pomiędzy nimi. - Służysz więc istotom żeńskim, Tolarze... ty, który byłeś niegdyś prawdziwym mężczyzną! Czyż nie wynagradzają one marnie tych, co dla nich maszerują, będąc nie tyle prawdziwymi kobietami, ile istotami spragnionymi władzy. A ty, czarownico, przekonasz się, że to, dla czego ryzykujesz życie, ma bardzo małą wartość. Wiele upłynęło wody od tego czasu,

kiedy Escore poznało własne tajemnice i oswoiło się ze swymi mocami, takimi mocami, o których istoty twego rodzaju mogą tylko śnić niejasno.

Moc... Z klejnotu popłynął w głąb ciała dziewczyny ciepły strumień... Osłabienie, które tak przedtem odczuwała, cofnęło się. Kelsie ruszyła z wolna naprzód, przesunęła się obok Yonana, uświadamiając sobie w chwilę później, iż ten dotrzymuje jej kroku. Uniosła rękę na wysokość serca i nie tyle zręcznie, ile raczej niezgrabnie osadziła klejnot na piersi, ponieważ wyczuła, że to, co robi, jest słuszne i powinno się dokonać. Narzuciła swą wolę drogocennemu kamieniowi i ponownie zmieniła kierunek strumienia światła, zwracając klejnotowi to, co od niego otrzymała.

Kelsie słyszała niewyraźnie, lecz w końcu odcięła stanowczo od swego umysłu świergot Rasti, które kłębiły się u stóp własnego pana, świergot, ponad którym rozlegał się przytłumiony odgłos dudniących bębnow, wydobywający się stamtąd, gdzie wciąż musieli trwać Thasowie. Ale to, co zajmowało jej umysł i ciało, mimo słabości, w jaką popadła, wiązało się z aktem koncentracji na radującym się błyskami jasnego światła klejnocie.

Ten, który nazwał siebie Rhainem, cofał się przed nią mimo swych śmiałych słów. Na każdy jej krok do przodu odpowiadał jednym swoim do tyłu.

Jego piękna twarz skręcała się w coraz groźniejszym marsie, zgarbił pochyłe ramiona jeszcze bardziej i gdy się wycofywał, powłóczył nogami zdobnymi w kopyta.

Raptem zakrzyknął. Kelsie była świadoma, iż Rasti poruszyły się, ale nie odważyła się zatopić w nich promienia klejnotu. Yonan jednak wysunął się do przodu ze swoim mieczem, oczyszczając przed nią drogę. A Rhain krzyknął jeszcze raz, tym razem głośniejszym głosem, żądając więcej.

Z ciemności wynurzyły się żywe korzenie Thasów... Ginęły na miejscu wysychając, kiedy uderzało w nie światło drogocennego kamienia.

- To jest najlepsza rzecz, jaką możesz zrobić, drogi lordzie! - Głos Yonana był surowy i spokojny. - Ty, który przewodziłeś niegdyś Hostom! To robactwo im nie I ś dorównuje.

v Rhain odrzucił głowę do tyłu, a z jego gardła wydobył się ryk, jaki mógłby wydać tylko jakiś ogromny udręczony kot. Klejnot zadrżał w ręku Kelsie i po raz pierwszy jego świecący cały czas z tą samą mocą promień zamrugął.

9

Powietrze zawirowało samoistnie, zgęstniały cienie. Wciąż coś wewnątrz Kelsie kazało jej przeć do przodu. Wbiła oczy w mężczyznę-bestię przed sobą. Wydawało się jej, że próbował on raz po raz zmierzyć się naprawdę z blaskiem klejnotu, ale nie mógł go znieść. Wzniósł ręce, by uchronić twarz przed promieniem, mimo to ani razu nie otworzył swych osłoniętych powiekami oczu. Z jego wykrzywionych ust wyciekały śpiewnie drażniące dźwięki, tak groźne, jak jego ciało.

Z gęstniejącego wiru powietrza wylaniały się cienie postaci, męskich postaci. Kelsie widziała je wszak tylko kącikami oczu, wpatrywała się bowiem uporczywie w Rhaina. Właśnie wtedy, kiedy tak coś śpiewnie recytował, Yonan począł odpowiadać mu tą samą, często powtarzaną frazą.

Jedna ręka Rhaina znalazła się wysoko w górze, jak gdyby ponaglał poddanych do walki. Fala małych ciemnych kształtów popłynęła do przodu, a tam, gdzie sięgnął błysk klejnotu, stworzenia te wydawały się przemieniać w niewielkie czarne skrawki, jak gdyby żerał je ogień.

Raz jeszcze Rhain odrzucił głowę do tyłu i zakrzyknął tym razem nie był to potok obrzędowych słów, ale, jak przypuszczała Kelsie - imię. Wołał zapewne o ostateczną pomoc.

Wirujące cienie zgęstniały jeszcze bardziej, opadły na dno pieczary. Mężczyźni, uzbrojeni, gotowi do walki, każdy z orężem w ręku, parli do przodu nie dbając o Rasti, których ciała odtrącali na boki albo rozdeptywali.

Nad głową Kelsie pojawił się topór w potężnym zamachu. Nie miała czasu odkręcić się czy uchylić. Jego ostrze omsknęło się jednak, nim runęło na nią z trzaskiem. Z prawej strony dobiegł ją szcęk metalu o metal, gdy Yonan zmierzył się w końcu z czymś konkretnym, z czymś, co mógł zaatakować. Jednak wciąż powodowana wołą tkwiącą w kamieniu (bo wydawało się jej, że drogocenny kamień usiłuje uczynić z niej swą służkę, nie próbując jej pomóc) Kelsie postępowwała do przodu, a Rhain, chcąc nie chcąc, wycofywał się krok za krokiem.

Wtem... Rhain znikł w okamgnieniu, jak błyskawica. Wraz z nim zniknęły cienie wojowników. Pozostały tylko Rasti, a gdzieś z ciemności poza nimi dobiegało wciąż dudnienie bębnow w kształcie mis, należących do Thasów. Kelsie wiedziała jednak, jak gdyby oznajmiono to głośno, iż uderzenie wrogów załamało się i droga do ucieczki stała przed nimi otworem przynajmniej na razie. W to, że Rhain czy też ci, którzy zapewne nim powodowali, dali im spokój - nie wierzyła. Ponad wszystko pragnęła odetchnąć świeżym powietrzem, znaleźć się na powierzchni, na otwartej przestrzeni zalanej światłem dnia albo księżycą, nie mieć więcej nic wspólnego z takimi pieczarami. Z chwilą zniknięcia Rhaina Kelsie nieoczekiwanie osłabła. Potykała się, unosząc stopy z wysiłkiem. W pewnym momencie uświadomiła sobie, że ktoś objął ją mocną ręką na wysokości ramion. To Yonan ją podtrzymywał, chociaż musiał nadal wywijać mieczem, by odganiać Rasti.

Takim sposobem dotarli razem chwiejnym krokiem aż do miejsca, w którym znajdowało się osypisko z kamieni i ziemi, a przez otwór ponad nimi były promienie słońca. Błask klejnotu, spoczywającego w rękach Kelsie, przygasł, aż wreszcie znikł. Dziewczyna zawiesiła łańcuch z powrotem na szyi, po czym zaczęła drapać się wszelkimi możliwymi sposobami po ziemnym osypisku, by wydostać się z tego miejsca dziwnych spotkań i pelgającego strachu.

Tylko dzięki pomocy Yonana Kelsie wydobyła się z dołu na powierzchnię. Potem oboje przywarli do siebie, bo gdyby tylko zluźnili uścisk, padliby ofiarą własnej słabości. Wreszcie mężczyzna ruszył do przodu, chwiejąc się i ciągnąc ją za sobą wokół dwóch

ogromnych głazów narzutowych, naznaczonych szpetnymi plamami pomarańczowożółtych grzybów.

Nareszcie byli wolni. Przed nimi pojawiła się kępa zarośli, u której stóp ciekła struga wody tak czystej, iż na jej piaszczystym dnie widać było skupiska kamieni. Kelsie uwolniła się od Yonana, nie będąc już w stanie zrobić ani jednego kroku, i trzykrotnie zanurzyła twarz w wodzie, by zmyć z siebie resztki podziemnego smrodu i pyłu. Spostrzegła, iż Yonan przyklęknął obok niej, jedną ręką niosąc wodę do ust, drugą wspierając się wciąż o leżący między nimi obnażony miecz. Równocześnie doświadczonymi oczami wartownika badał otoczenie.

Odświeżona, w większym stopniu panująca nad własnym ciałem, Kelsie obejrzała się. Wejście do podziemnego świata znajdowało się pomiędzy dwoma oddalonymi od siebie głazami narzutowymi. Po raz któryś z kolei wróciła pamięcią do podobnego rumowiska na zboczu szkockiego wzniesienia. Czyżby minęli jakąś inną bramę?

- Gdzie jesteśmy? - zapytała półszepem, bo tylko na to, jak się jej wydawało, mogła zdobyć się w tym momencie. Ujrzała zmarszczkę na czole Yonana. Mężczyzna powstał i obrócił się z wolna wokół własnej osi. Potem uniósł miecz i wskazał coś, co leżało daleko po jej prawej stronie.

- To jest Mount Holweg. Znajduje się na północy. Dotarliśmy zapewne dalej, niż docierają konne patrole jeźdźców z Doliny. Ciemne Moce zalegają zawsze na północy i na wschodzie.

Kelsie siadła tam, gdzie się znajdowała. Rozmyślała o Yonanie. Nim to ryzykowne przedsięwzięcie się zaczęło, był on tylko jednym z mężczyzn, którzy trzymali straż wokół Doliny. Miał znacznie mniej lat niż Simon Tregarth, no i smuklejszą sylwetkę. Jednak Kelsie nie wątpiła, iż na swój sposób był równie dobrze wyćwiczony w owych orężnych i magicznych zabawach jak tamten... który usunął się z jej świata. Jednak teraz, kiedy miała czas zastanowić się nad jego powiazaniami z owym monstrum, któremu stawili czoło w podziemnych tunelach, chciała znać jego przeszłość. Mógł on ją również upewnić przynajmniej co do jednej rzeczy... że nie przechodzili przez jakąś inną bramę... tam z tyłu, między wywróconymi głazami narzutowymi.

- Znał cię... - zaczęła szorstko, zdecydowana dowiedzieć się, jakie znaczenie mogłaby nadać słowom, które ci dwaj między sobą wymienili.

Ku jej zdumieniu Yonan potrząsnął głową przecząco. - Znał Tolara. - Usta ścięły się mu w prostą linię, broda wysunęła nieco do przodu. - A ja nie jestem Tolarem.

- Czemuż więc...?

Po raz pierwszy mężczyzna przestał wędrować badawczym wzrokiem po okolicy i zwrócił się wprost do niej: - Wydaje się, że człowiek może narodzić się ponownie, jeśli nawet przeszedł już przez Ostatnią z Bram. Mam pewne dowody na to, iż niegdyś byłem owym Tolarem, który w odległej przeszłości walczył z Ciemnością... i przegrał. Jeśli tak jest, może obecne życie stanowi okazję do wyrównania szal wagi i przeobrażenia się w innego człowieka. Bo, przysięgam na me imię, jam Yonan, a nie ten, który zszedł wtedy na dół, by pokonać...

- Ależ pamiętasz... - Kelsie nie odważyła się występować przeciw temu, co było możliwe w tym świecie. Zwróciła się do tego... do tego stworzenia po imieniu!

- Pamiętam... przy sposobności - zgodził się ponuro, po czym szybko zmienił temat rozmowy zadając Kelsie pytanie.

- Możesz iść dalej, pani? Jesteśmy wciąż zbyt blisko tego miejsca!

Wyciągnął rękę, by pomóc się jej podnieść. W drugiej nadał trzymał obnażony miecz, toteż musiał podbródkiem wskazać ową widniejącą w pobliżu płataninę obalonych kamiennych bloków, które przed chwilą opuścili.

- Tak!

Natychmiast wszystko jej się przypomniało, nie tylko odległe czasy, również Rasti i Thasowie. Ten, który zwał siebie Rhainem, znikł razem ze swą armią cieni; z pewnością jednak stworzenia, które pozostawił, były zwykłymi śmiertelnikami. Ale czyż mogła iść dalej? Drogocenny kamień wysączył z niej tyle sił, iż zastanawiała się, czy zdołałaby utrzymać się na nogach, by dotrzeć choćby do pierwszego drzewa niewielkiego zagajnika, ku któremu się teraz zwrócili.

Dokonała tego, podtrzymywana niekiedy za rękę przez Yonana. Woda ze strumienia ożywiła ją co nieco i Kelsie poczuła w końcu ogromny głód. Skronie pulsowały jej z bólu, jak gdyby usiłowała wykonać zadanie przerastające jej siły.

- Dokąd idziemy? - zapytała później. - Nie myślę, abym mogła ujść daleko.

Yonan obnażonym mieczem wskazał jakieś niewielkie rośliny między drzewami, ku którym ją pośpieszał.

- To jest illbana. Nawet dysponujący mocą myśliwy rodem z Drogi po Lewej Ręce ominąłby coś takiego. Możemy spoczywać pod ich osłoną aż...

Zawiesił głos ponad miarę, aż Kelsie zapytała srogo:

- Aż co? Czy nie zmierzamy w kierunku Doliny mając górę za przewodnika?

- A możesz zawrócić?

To pytanie-odpowiedź zaskoczyło ją, wreszcie przypomniała sobie o przymusie, który nią powodował na początku tej drogi przez nieznaną kraj najeżony niebezpieczeństwami. Z wolna obróciła się twarzą ku odległej górze. Na zachodzie pojawiły się pierwsze oznaki nadciągającego zmierzchu, ale Kelsie nie myślała o wyruszeniu w powrotną drogę w ciemności.

Postąpiła z powrotem jeden krok, potem drugi, z miejsca świadoma poruszeń drogocennego kamienia, kiedy ten tylko zaczął kołysać się z prawa na lewo na jej piersi. Potężniało w niej to, co wciąż stanowiło ową potrzebę parcia naprzód, nie z powrotem ku jakiemuś bezpiecznemu miejscu, które można by znaleźć w tym kraju, ale raczej w przeciwnym kierunku.

Wyciągnawszy ręce, starała się ująć łańcuch w palce, rozerwać go i wyrzucić. Ręce trzęsły się jej jednak i nie mogła zacisnąć dłoni, by zrealizować zamiar. Łańcuch zachowywał się tak, jakby był dobrze nasmarowany tłuszczem, bo wyslizgiwał się bez przerwy z jej wciąż podejmujących nowe próby palców.

- Czy możesz wrócić? - Yonan zatrzymał się na skraju zagajnika, do którego ją przyprowadził. Znajdował się za nią, nie dalej jednak niż na długość miecza. I to było wszystko, co zyskała.

- Nie! - Jeszcze raz spróbowała uwolnić się od łańcucha, którego drogocenny kamień stawał się coraz gorętszy, tak że czuła już jego ciepło poprzez odzienie. Wyczerpujące

ciepło, które nie miało dla niej litości. Nie mogę. To mi nie pozwoli! - Kelsie poczuła gorący przyływ złości przeciw kamieniowi, przeciw Yonanowi, przeciwko temu całemu światu, który ją tak podstępnie pochwycił.

- Więc poszukajmy takiego schronienia, jakie może udałoby się nam znaleźć - rzucił niecierpliwie, ona zaś obróciła się znowu, gotowa wybuchnąć gorzkimi słowami. Ale on już przesunął się w skupieniu wzdłuż linii tych roślin, które uważał za najskuteczniejszą broń przeciwko Ciemności. Kelsie widziała w Dolinie przechowywane pieczolowicie wyschnięte łodygi illbany, skruszone liście... największe skarby, jakie uzdrowiciel może zgromadzić.

Yonan zbierał teraz owe rośliny. Zdjął hełm z luźno zwisającymi paskami, które przed bitwą zaciągano pod brodą. Wraz z nim pozbył się spodniego okrycia głowy, wykonanego z tego samego materiału i w taki sam sposób jak kolczuga. Kędzierzawe włosy, które opadły mu na czoło, były ciemne i spocone, jednak oblicze miał znacznie jaśniejsze niż mężczyźni, których Kelsie spotykała. Nabrał pełną garść liści miażdżąc je palcami, a potem uniósł tę masę do czoła, by się nią natrzeć. Pozostawiła ciemnozielone ślady.

Nie wiedząc czemu Yonan to robi, Kelsie poszła za jego przykładem, bo może właśnie to uwolniłoby jej głowę od bólu, przyniosło ulgę znużonemu ciału. Ostry zapach zgniecionych liści wytrzebił z jej umysłu wspomnienie odoru podziemnego świata i Kelsie lepiej teraz uświadamiała sobie cel, dla którego tu się znalazła, niż wtedy, kiedy wy dostała się na powierzchnię.

Z innej rośliny Yonan zerwał ostrożnie dwa duże liście i owinał w nie ziołowy zwitek, wkładając go następnie do woreczka przy pasie. I Kelsie znowu poszła za jego przykładem.

Drzewa w zagajniku nie rosły tak gęsto, by uniemożliwić im wędrówkę. Byli zmuszeni kluczyć, by móc się posuwać. W końcu przebili się na otwartą przestrzeń w kształcie koła, wokół której drzewa zdawały się tworzyć ścianę. Yonan włożył do pochwy miecz, a Kelsie zatęskniła za sakwami, które poniewierały się gdzieś w pobliżu jam Thasów. Głód dokuczał jej coraz bardziej, nie dostrzegła jednak jeszcze żadnych jagód, które pozwoliłyby go zaspokoić.

- Co zjemy? - zapytała Yonana. W końcu to on częściej zwykł był wędrować po kraju.

Tym razem mężczyzna wyciągnął z pochwy nie miecz, ale długi nóż i ruszył w kierunku najbliższego drzewa, na którego pniu widniała zielonobrazowa narośl wielkości dłoni. Starannie odciął pasożyta od podłoża, a potem przedzielił go, podając jej jedną część. Zawahała się, lecz Yonan powiedział:

- To jest fogmot... nadaje się do jedzenia. Ludzie przetrwali na gorszym w tej krainie. - Jak gdyby dodając jej odwagi czynem, a nie tylko mową, uniósł swoją połówkę do ust i odgryzł kawałek.

Kelsie była już zbyt głodna, by podważać jego słowa. To coś otaczała twarda skorupa, ale skoro tylko udało się ją rozłupać, jawił się środek tak kruchy jak miąższ jabłka. Nie miał jednak smaku. Kelsie odniosła wrażenie, że żuje i przełyka miękkie kawałki drewna. Ale ta niewielka porcja, którą wręczył jej Yonan, wydawała się zaspokoić jej głód. Nie chciała więcej.

Mężczyzna skończył swoją połówkę pierwszy i buszował właśnie wzdłuż obrzeży polany, na której się znajdowali. Nałożył hełm i znowu wyglądał jak wartownik. Kelsie zlizła ostatnie okruszki z warg i zapytała:

- Będziemy tu obozować?

Staranniej przyjrzała się poczynaniom Yonana i stwierdziła, iż wysunął na kilka cali miecz z pochwy, kierując głowicę w stronę lasu. Zbadła swój drogocenny kamień. Ciepło, które zeń biło, wskazywało, iż jego wewnętrzna moc wciąż była żywa, lecz się nie przebudziła, jak to czyniła wtedy, kiedy czyhało na nich niebezpieczeństwo.

- Nic nam nie zagraża - stwierdził, kiedy zrobił ostatni krok, zamykając krąg, jaki zatoczył skrajem polany. - Właściwie... - Ruszył energicznie ku środkowi polany i dotknął darni ręką miecza, trzymając go w wyciągniętej na całą długość ręce. Quan błysnął, a gdy Yonan wepchnął w tym miejscu koniec miecza w ziemię, niebieska inkrustacja rozblęła jeszcze mocniej. - To jest świątynia - powiedział. - Popróbuj klejnotem.

Tym razem łańcuch nie opierał się jej dotykowi, nie wyslizgiwał z palców. Kelsie zbliżyła się do miejsca, w którym stał Yonan, trzymając w palcach drogocenny kamień. Jakby oznajmiając coś klejnot wyraźnie się ożywił.

- Są takie miejsca - odezwał się Yonan, jakby uspokajał siebie, a nie wyjaśniał jakąś kwestię Kelsie. - Wiele z nich znajduje się w pobliżu gniazd zła... Jednak nie wiemy, co było pierwsze... te błogosławione miejsca, czy te, które należą do Ciemności.

Przysiadł na piętach, schowawszy miecz do pochwy. Kelsie usadowiła się na ziemi naprzeciw niego ze skrzyżowanymi nogami.

- A więc znaleźliśmy się w błogosławionym miejscu powiedziała prowokująco. - Nie możemy go jednak zabrać ze sobą i...

To, co dodała, zginęło pośród długiego wycia, które wzmagając się utrudniało słyszenie czegokolwiek innego. Kelsie przycisnęła kamień do siebie i poczuła żar, świadczący o jego całkowitym przebudzeniu się. Gdzieś w innej stronie rozległo się następne wycie, odpowiadając ochoczo temu pierwszemu.

Słyszała już przedtem podobne dźwięki. Tamten ogar, którego szczał przeciw niej jeździec. Czyżby znowu zostali obłączeni? Tym razem nie mogli spodziewać się jakiegokolwiek pomocy z Doliny, a więc bez wątpienia zostaną ujęci.

Yonan zamienił się w słuch. Miało się pod wieczór i cienie, które zgromadziły się pod drzewami, wypełzały teraz na otwartą przestrzeń, tam gdzie się znajdowali. Z jeszcze innej strony dobiegło ich kolejne wycie. Wokół pojawiło się stado ujadających stworzeń.

- Czy... czy nadbiegną tutaj?

- Sądzę, że nie - odparł Yonan. - To jest błogosławione miejsce, pamiętaj. Klątwa i błogosławieństwo tracą moc z latami, ale to, co tu osiadło, powiadomiło nas o sobie. Czy będziemy w stanie iść znowu dalej naprzód... to inna rzecz.

Twarz mu stężała ponuro i Kelsie zadrżała. Uwięzienie w tym miejscu, choćby nie wiem jak było w swej istocie bezpieczne, nie rozwiązywało sprawy. Śledziła, jak Yonan powstawszy wbijał koniec dobytego z pochwy miecza w twardą, dobrze ukorzenioną darni.

Ziemia i kępy trawy poleciały w górę. Czyżby Yonan próbował p r z e k o p a ć s i ę na zewnątrz? Kelsie wycofała się w przeciwnym kierunku nie chcąc, by ziemia osypała ją znowu. Wkrótce posłyszała, jak koniec miecza zazgrzytał po czymś. Yonan zwiększył wysiłek, by oczyścić to, co znajdowało się pod spodem. Był tak zajęty, iż Kelsie pomyślała, że nie usłyszałby jej nawet, gdyby go zapytała o to, co robi.

Siekł, kopał, aż w końcu opadł na kolana, odkładając na bok miecz i wspomagając się dalej nożem oraz gołymi rękami. Odsłonił tym sposobem gwiazdę z białego kamienia, wystarczająco dużą, by zmieściła się na niej jedna osoba. Teraz Yonan pracował bardziej rozważnie, usuwając glebę dłońmi, czubkiem noża zaś wydłubując skawaloną glinę z zagłębień i szpar tego wytworu ludzkich rąk.

- Co to takiego? - Kelsie nie potrafiła dłużej skryć ciekawości. Czemuż jej towarzysz sądził, że należy czynić to, co czynił, podczas gdy gdzieś tam za drzewami zbierały swe siły Ciemności, a wieczorne cienie stawały się coraz dłuższe i dłuższe - nie rozumiała.

W środku gwiazdy, którą Yonan czyścił tak troskliwie, znajdował się otwór. Mężczyzna uniósł miecz i opuszczył go prosto w ów otwór. Stało się tak, jakby z furkotem wrócił życiu tłący się kaganek. Z guana umieszczonego na głowicy wytrysnęło strumieniem światło, zalewając pół polany blaskiem dnia.

Gdzieś ponad ich głowami rozległ się zgrzytliwy dźwięk, zatrzepotały skrzydła. Ale nic, co Kelsie zdołałaby dostrzec, nie przecięło światła płynącego z miecza. Gdyby wróg gromadził siły w powietrzu, te nie pokusiłyby się uderzyć teraz.

- Co to było? - Pytanie zadane przez Kelsie przybrało postać żądania.

Yonan spojrział na nią poprzez blask światła. Dziewczynie wydało się, że jego oczy płonęły tak samo jak ślepia ogarów, kiedy schroniła się przed nimi w tamtym, należącym do mocy miejscu... To spojrzenie nie budziło w niej jednak takiej odrazy.

- Widziałem już coś podobnego - powiedział jakoś wymijająco. - To jest miejsce, w którym zbiera się Moc. Gdybyśmy posiadli Dawną Wiedzę, moglibyśmy się nią posłużyć... - skinął w kierunku rozświetlonego miecza, od którego ostrza biegły we wszystkie strony potoki światła i złamać doszczętnie tę siłę, którą tutaj przeciw nam zgromadzono. - Ale... - rąbnął pięścią w kolano rozżalony - tak mało wiemy!

Moc skupiona w gwieździe tchnęła życie w miecz Yonana. Co uczyniłaby dla klejnotu czarownicy? Pod wpływem impulsu dziewczyna ściągnęła łańcuch z szyi i poczęła wywijać nim ponad powierzchnią gwiazdy. Ekspłodowało światło. Poprzez jej palce, rękę, ramię, całe ciało przetoczyła się niczym błyskawica tak potężna siła, że aż cisnęła ją do tyłu na darń, wyszarpując tym samym klejnot znad gwiazdy. Przepływ energii ustał, ale drogocenny kamień wciąż

błyszczał. Czyżby było to miejsce, którego szukała Wittle, miejsce, w którym można było przywołać prastarą moc, by wesprzeć broń czarownicy?

Dłoń Yonana zacisnęła się wokół nadgarstka tej ręki Kelsie, w której trzymała łańcuch z klejnotem, ciągnąc ją do góry ku sobie.

- Nie przywołuj tej mocy - wywarczał polecenie. Nie wiesz, nad czym jesteś w stanie zapanować, a co znajduje się poza twą praktyczną wiedzą.

Naturalnie miał rację, ale Kelsie poczuła się urażona. Nie protestowała przecież przeciwko temu, co zrobił ze swoim mieczem.

- Klucz! - Jakby czytał w jej myślach. - Miecz to klucz. Teraz... - Nie zwolnił uścisku, w którym ją trzymał, lecz nawet go wzmocnił, przeciwstawiając jej ciężar swemu, zanim zrozumiała, co zamierzał zrobić, i zdążyła zaprotestować.

Takim sposobem postawił ją jednym ruchem na nogi, pociągając równocześnie do przodu, aż znalazła się na kamiennej gwieździe. Drgania energii wibrowały w jego ciele. Kelsie rzuciłaby się do tyłu, ale to nie tylko Yonan trzymał ją w miejscu, więziła ją tam również, całkowicie unieruchomioną, jakaś część owej mocy, którą przebudzili. Yonan sięgnął wolną ręką do boku, zacisnął ją na mieczu i krzyknął w głos, a krzyk jego wzbił się ponad ujadania ogarów.

- Ninutra!

Zapadła cisza, gdy zamarły echa jego krzyku. Ogary nie odezwały się więcej. Kelsie zdrząła w napięciu. Kogóż on teraz przywoła?

- Ninutra! Hilarion! - Tym razem do pierwszego imienia dodał drugie.

Na końcach ramion gwiazdy utworzyła się mgiełka, jakby znad lampek oliwnych czy też świec buchnął do góry dym rodem z Światłości, nie z Ciemności. Każdy z owych strumieni skłaniał się ku wewnątrz, toteż dym przypominający mgłę zasnuł polanę pośrodku zagajnika. Uścisk ręki Yonana nie zelżał, jego palce zamieniły się w ciasny pierścień, siniacząc ciało dziewczyny i pozostawiając na nim ślady paznokci. Zamknięte oczy mężczyzny okrywał cieńhelmu, na jego twarzy pojawiło się napięcie, jak gdyby odważył się w tym momencie na taki czyn, o którym nie ośmieliłby się nawet pomyśleć.

- Ninutra!

Miecz świecił jaśniej, blask ogarnął już dłoń i rękę Yonana, ale on nie rozluźnił uścisku. Okręcające się wokół nich jęzory mgły sprawiły, iż Kelsie poczuła się słaba i chora. Zamknęła oczy. Wreszcie przeszył ją zimny dreszcz, wypełniło uczucie takiego przerażenia, że nie potrafiła nawet zdobyć się na krzyk protestu. Wchłaniało ich miejsce, do którego przedstawiciele jej rodzaju nigdy nawet nie zamierzali się wybierać. Moc obracała nimi i obracała, i obracała. Kelsie zdała się na nią całkowicie, bojąc się nade wszystko pozostać tu sama.

W końcu zaległa ciemność... całkowita, straszliwa ciemność... moc zaś trzymała ich nadal w swoim uścisku... Raptem szczyła... pokonano ich w tym... tym... „Kel-Say! Kel-Say!"

Czuła się ślepa, chora, przegrana... „Kel-Say?"

Znużenie i słabość tak nią owładnęły, że musiała zdobyć się na poważny wysiłek, by unieść powieki i stwierdzić, iż ciemności nie były już tak głębokie. Oblicze Yonana, zalane księżycową poświatą, znajdowało się w pobliżu jej twarzy. Kelsie wciąż spoczywała w ramionach mężczyzny, choć oboje leżeli na kamiennej posadzce, on zaś chwytem mocniejszym niż opoka przygwoździł ją do swojej piersi. - Kel-Say... udało się!

Słowa te nic jej nie mówiły przez długą chwilę: Jakaś jej część wydawała się wciąż tkwić w owej nicości, która nią owładnęła. W jakiś czas później, gdzieś ponad głową Yonana, Kelsie dostrzegła coś, co z pewnością nie miało nic wspólnego ze ścianą drzew

w zagajniku, mogło zaś być jedynie kamiennym murem nakrapianym księżycowym światłem, które przenikało przez dziury.

Kelsie odetchnęła głęboko raz i drugi. Czuła, że na jej piersi coś pulsuje gorącem, i nie musiała tego czegoś dotykać, by wiedzieć, iż jest to drogocenny kamień.

- Gdzie... gdzie jesteśmy? - jej głos przypominał szept. Podciągnęła się nieco wyżej, by móc widzieć więcej. Obok Yonana leżał miecz, który już nie buchał mocą, nadal jednak wydzielał niewielkie świetlne impulsy. Kelsie widziała teraz więcej muru, a ponad sobą księżyc i gwiazdy. Stało się jasne, że gdziekolwiek się znajdowali, nie był to zagajnik, który oblegano.

- Gdzie jesteśmy? - Yonan powtórzył pytanie jak echo. - Nie wiem... nic nie wiem poza tym, iż znaleźliśmy się z dala od tych, co posuwali się za nami trop w trop. Sądzę, że była tu niegdyś potężna warownia.

Mężczyzna również się rozglądał, jak gdyby próbując uzmysłwić sobie, jak w odległych czasach musiała wyglądać ta ogromna budowla, teraz obrócona w ruinę.

- Ale jak się tutaj dostaliśmy? - zapytała śpiesznie Kelsie. Upłynie wiele czasu, nim zapomni o tej wędrówce poprzez Inne Miejsce, poprzez świat, w którym osobnicy jej rodzaju narażają siebie, jak to już przeczuwała, na wielkie niebezpieczeństwo.

- Mieliśmy klucz... przekreśliśmy go... - Młody mężczyzna sięgnął ku rękojeści miecza. - Mija już rok, jak Urik odbył podobną drogę, kiedy Szarzy, tak im się zdawało, mieli go już w swoich łapach. Ci, co należą do Starej Rasy, chadzają swoimi własnymi ścieżkami, te zaś nie są naszymi, z wyjątkiem takich sytuacji, kiedy nie ma już innego wyboru jak śmierć.

10

W nowej kryjówce nie było czuć smrodu jamy Thasów ani nieopisanego zapachu wypełniającego zagajnik, z którego w tak przedziwny sposób udało się im wyrwać. Panowała w niej natomiast ciemność, może z wyjątkiem tych miejsc, które oświetlał księżyc poprzez szczeliny w murze, i nieprzyjemny chłód. Kelsie i Yonan przytulili się do siebie, pragnąc ciepła ludzkiego ciała. Nie spali, lecz drzemali, budzili się i znowu zapadali w drzemkę, póki szarości wczesnego ranka nie pozwoliły im wyraźniej sobie uzmysłwić, gdzie się znajdowali.

Mury wokół tego miejsca zostały zapewne wzniesione przez olbrzymów, składały się bowiem z ogromnych kamiennych bloków spojonych tak, iż nie było znać śladów jakiegokolwiek zaprawy - jak gdyby sam ich ciężar wystarczał, by złączyć je raz na zawsze. Te potężne mury pięły się w górę z rozmachem. Ponad nimi biegł pas z łamanego kamienia, ułożony już nie tak misternie; znaczna jego część spadła do wielkiego pomieszczenia, w którym Kelsie i Yonan znaleźli schronienie. W jasnym świetle dnia Kelsie uprzytomniła sobie, iż spędzili noc na środku jakiejś innej gwiazdy, kilkakrotnie większej od tej, którą odkrył Yonan, w ten sam jednak sposób wymodelowanej. Pomiędzy jej ramionami wryto na kamiennej posadzce jakieś symbole. Jeden z nich kojarzył się Kelsie... z Wittle szkicującą podobny wzór w powietrzu.

Yonan porwał się na równe nogi i z miejsca ruszył ku najbliższej ścianie. Podskoczywszy parę razy, chwycił się rękami jednego z nie obrobionych kamieni. Następnie za pomocą siły własnych ramion zdołał się podciągnąć i nieco przesunąć, zrzucając przy tym niewielką kaskadę prastarych kamieni... Ześlizgiwały się one w tumanach kurzu.

- Gdzie jesteśmy? - Kelsie okręciła się wokół, by przyjrzeć się temu miejscu, gdzie znajdowała się gwiazda. Wyglądało ono podobnie jak mur, ciągnął się jednak wokół niego spory pas wolnej przestrzeni. Ale na dole nie było widać żadnego wyjścia - zewsząd otaczały ich ściany.

Yonan zdołał utrzymać równowagę, z wolna obracając głowę raz w jedną, raz w drugą stronę. Z trudem torował sobie drogę poprzez zdradliwy pas u szczytu muru, by w końcu ujrzyć przynajmniej trzy czwarte tego, co leżało dalej.

- W wieży warownej... tak sędzę... - Yonanowi najwyraźniej brakowało pewności. - Bardzo starej, wiele musiało upłynąć czasu od chwili, kiedy ją opuszczono. Jest takich trochę... Gdy jakąś znajdujemy, zwykle ją omijamy. Nie podejrzewam jednak - skinął głową w kierunku gwiazdy, pośrodku której wciąż stała Kelsie - by była to jakaś pułapka Ciemności. Przyjrzyj się klejnotowi... błyszczy ostrzegawczo? - Jedną ręką trzymał się niebezpiecznego pasa kamieni, drugą szukał rękojeści miecza. Klejnot był ciepły, nie rozpalony i Kelsie powiedziała o tym Yonanowi. Skinął głową.

- Moc jest tutaj bardzo stara... niemal wyczerpana i... - Obrócił nagle głowę i Kelsie widziała tylko jego naprężone ciało.

- Co to takiego? - Ruszyła od razu w stronę muru na wprost miejsca, gdzie zawisł Yonan.

Uczynił uspokajający gest ręką. Kelsie zrozumiała, że Yonan nasłuchiwał i wypatrywał oczy szukając źródła dźwięku, który posłyszał.

Teraz również i ona skupiła się na słuchaniu. Gdzieś w oddali rozległo się ujadanie... nie miało ono jednak nic wspólnego z dzikim i groźnym zawodzeniem ogarów.

Niebawem wysoko na niebie rozbrzmiały trele, które w niczym nie przypominały ochrypłych okrzyków latających czarnych stworzeń, towarzyszących tym z Ciemności.

Z ust Yonana wydobył się gwizd naśladujący owe trele. Kelsie dostrzegła błysk tęczowych skrzydeł, które unosiły świetliste ciało. Naprzeciw Yonana zawisł w powietrzu jakiś Flannan; niewielkie człekokształtne ciało podtrzymywał szybki trzepot skrzydeł. Kelsie często oglądała Flannany w Dolinie, wiedziała też, co o nich rozpowiadano - że były kapryśne, miały krótką pamięć... że potrafiły przenosić wiadomości, ale jeśli cokolwiek nowego przyciągnęło ich uwagę, łatwo mogło je odwieść od wypełnianego zadania.

Wreszcie Flannan przysiadł w pobliżu Yonana z na wpół tylko złożonymi skrzydłami, jakby za chwilę miał odlecieć. Był rozdrażniony, albowiem odpowiedź na dany przezeń sygnał zrodziła w nim uczucie zniewolenia. Gwizdnął ponownie, jego oblicze przywdziało maskę niecierpliwości.

Kelsie była tak bardzo świadoma wrogości tego latającego stworzenia, jak gdyby wykrzyczało ono w głos, iż nie chce mieć z nimi nic wspólnego. W gwizdzie Yonana

pojawił się najpierw przypochebny ton, potem zaś mężczyzna wyrzucił z siebie serię rytmicznych fraz, których Kelsie nie potrafiła rozpoznać.

Flannan potrząsnął głową gwałtownie, skoczył do góry unosząc się w przestworza i niemalże natychmiast znalazł się poza zasięgiem wzroku Kelsie. Yonan zagwizdał parę razy, ale stworzenie nie odpowiedziało.

- Nie z Doliny. - W głosie młodego mężczyzny pojawiła się nuta rozczarowania. - Jeden z nie zaprzysiężonych. A to oznaczałoby... - Zamilkł.

- Co to oznacza? - dopytywała się Kelsie.

- To, że zapuściliśmy się daleko na wschód... może nawet znacznie dalej, niż prowadzą wszystkie znane ludziom z Doliny szlaki.

- Widzisz jeszcze swe rodzinne góry?

Yonan zmienił ostrożnie pozycję i popatrzył ponad jej głową badawczo w dal. - Mogą być tam. Ale... dzielą nas teraz od nich mile... - Znajdował się pod kątem w stosunku do tego, co leżało w dole.

Kelsie oczekiwała dotyku ukrytego przymusu, który zawsze dawał znać o sobie, kiedy się zastanawiała, czy ta kraina mogła im zapewnić bezpieczeństwo. Tak, to wciąż nie dawało jej spokoju, nawet teraz. Obróciła się bezwiednie, tyle że w kierunku przeciwnym do tego, w którym patrzył Yonan. Cokolwiek ją ciągnęło, znajdowało się gdzieś przed nią, w nieznanym.

Ale kiedy się odezwała, wspomniała o sprawach praktycznych, dotyczących chwili.

- Potrzebujemy jedzenia i wody.

Zarówno głód, jak i pragnienie dawały już znać o sobie. - Chodź!

Mężczyzna pochylił się nisko, wyciągając w dół ręce. Kelsie odbiła się wysoko i poczuła, jak palce Yonana zaciskają się na jednym z jej nadgarstków. Druga jej ręka tymczasem, chybiwszy celu, dopóty rozdrapywała kamienny mur, dopóki Yonan nie zdołał i jej pochwycić. Ten wojownik z Doliny był silniejszy, niżby wskazywał na to jego wygląd, i z niewielką tylko pomocą ze strony Kelsie wciągnął ją na kruszejącą grań ściany.

Oczom dziewczyny ukazały się mury wytyczające to ogromne pomieszczenia, to niewielkie pasaży pozbawione dachów. Na dodatek budowla stała na kopcu czy też małym wzniesieniu, od którego we wszystkie strony biegła nieregularna szachownica pól, a poszczególne pola również dzieliły kruszejące murki. Niedaleko, po lewej stronie, biegł przesmyk, wskazujący, że niegdyś prowadziła tędy droga i że poprzez ten skalny labirynt docierano zapewne do miejsca, w którym znajdowała się gwiazda. Nigdzie natomiast nie było nawet najmniejszego śladu wody.

- Tędy... - Yonan wskazał na północ i powstał ostrożnie. Jego ruch, choć tak przezorny, spowodował obsunięcie się w dół, do pomieszczenia z gwiazdą, kilku obluźnionych kamieni.

- Tu nie ma żadnych przejść. - Kelsie spostrzegła to niemalże od razu. Mury oddzielały całkowicie jedno pomieszczenie od drugiego, toteż jedyna droga ku wolności zdawała się prowadzić po szczytach owych rozchwianych kamiennych przepierzeń.

- To prawda. Dlatego musimy pójść górą, i to z wielką uwagą. Podążaj moim śladem, a jeśli zdołasz, stawiaj swoje stopy tam, gdzie stąpnęły moje.

Słońce stało wysoko i nim dotarli do miejsca, które niegdyś zapewne stanowiło bramę, poczęło nagrzewać skały. Kelsie dręczył nie tylko lód i pragnienie, drżała również z napięcia spowodowanego tą wędrówką. Dwukrotnie przyszło im zboczyć z trasy, co zabrało sporo czasu, lecz wierzchołki murów były zbyt rozchwiane, by dały się szybko przemierzyć.

Chociaż Kelsie zaglądała z nadzieją do każdego pomieszczenia, które mijali, nie dostrzegła żadnej innej możliwości opuszczenia tego miejsca poza ową niebezpieczną ścieżką, którą właśnie obrali. Nie było tam żadnych przejść, żadnych śladów po otworach w podłożu, które by prowadziły z jednego pomieszczenia do drugiego. To ją zdumiało.

- Prawdopodobnie ci, co je wznieśli, inaczej rozumieli sens tego, co my nazywamy wejściem - zauważył Yonan, kiedy o to zapytała. - A gdyby tak mieli skrzydła...

- Flannany! - wybuchnęła powątpiewająco. Nie potrafiła sobie wyobrazić tych małych powietrznych stworzeń jako twórców tak potężnych murów.

- Może tutaj żyją... albo niegdyś żyły... jakieś inne latające stworzenia oprócz Flannanów - podsumował rzeczowo Yonan. - Dobrze wiadomo, że wtajemniczeni igrali z najtajniejszymi siłami życia, kreując nowe stworzenia czy to na swój własny użytek, czy też dla zwykłej rozrywki. Do takich należą Kroganowie, wodni ludzie, a nawet i Thasowie. Zostało tu niewiele osobników, w których żyłach płynęła prawdziwa krew, gdy reszta Starej Rasy pomyślała o ucieczce przed tymi nienaturalnymi praktykami i udała się do Estcarpu, nakazując sobie zapomnieć o kraju przodków,

by nie dać znów się skusić nadużywaniu mocy. Kimkolwiek jednak byli ci, którzy spoiili te kamienie, dawno już wymarli. Ach, chodźmy tędy, a potem tamtędy, tym sposobem dotrzemy wreszcie do zewnętrznego muru obronnego.

Z konieczności Kelsie szła za nim krok w krok, chociaż nie gwarantowało to bezpieczeństwa. Zachwiała się dwukrotnie omal nie ześlizgując się z muru, nim dotarli do tego miejsca, które wskazał Yonan, i spojrzeli w dół na ziemię.

Yonan wybrał taki odcinek ścieżki biegnącej granią muru, który wydawał się najmniej zniszczony zębem czasu, i ułożył się na nim płasko w poprzek.

- Podaj mi ręce i zsuń się po murze - polecił Kelsie. - Spadniesz, ale odległość, jak sądzę, nie jest tak wielka, abyśmy nie mogli tego uczynić. Nie mamy zresztą wyboru.

Kelsie rzeczywiście spadła na ziemię i stoczyła się po niewielkiej pochyłości. Z bolesnym uderzeniem zatrzymała się na jednym z nadwerżonych murków przegradzających pola. Tuż koło jej twarzy coś zafurkotało, toteż dziewczyna wzdrygnęła się z krzykiem. Z pobliskiej kępy traw wyleciały dwa ptaki i nie wzbijając się wysoko pokonały sporą przestrzeń, nim opadły i zniknęły w wysokim poszyciu pola.

Kiedy Yonan do niej dołączył, wydobył zza pasa kawałek czegoś, co przypominało mocny powróż, z małymi ciężarkami przymocowanymi do każdego końca.

- Zatocz koło - rozkazał tonem ledwie co wyższym od szeptu i skinął ręką tam, gdzie ptaki znalazły schronienie. - Zajdź je od południa, jeśli zdółasz, i spłosz.

Kelsie usłuchała, próbując mimo stłuczeń poruszać się możliwie bezszelestnie pośród tej roślinności, którą tworzyła sięgająca jej do pasa trawa. Tu i ówdzie uginała się ona

pod ciężarem kłosa wypełnionego ziarnem, jak gdyby stanowiła jakąś odmianę dziko rozsiewającego się zboża.

Ponownie rozległ się furkot i opierzone ciała wystrzeliły w górę. Coś zawirowało w powietrzu i jeden z ptaków spadł z nogą wplątana we własne skrzydło za sprawą Yonanowego powroza. W chwilę później mężczyzna minął Kelsie jednym susem, a nóż, który trzymał w ręku, wbił umiejętnie w dziko walczącego ptaka.

Stosując tę samą metodę łowów, schwytali jeszcze dwa nisko latające ptaki. Wreszcie Yonan, wymachując trzymaną za nogi zdobyczą, zawrócił z otwartej przestrzeni w kierunku tej połaci prastarego pola, gdzie kamienie w jednym z rogów ogrodzenia przesunęły się nieco, tworząc niewielką niszę. Zabrał się od razu do roboty.

- Nazbieraj trochę suchego drwa - rzekł skubiąc i patrosząc ptaki. Wskazał przy tym gwałtownie ręką tam, gdzie z rzadka stały drzewa. Niegdyś tworzyły one zapewne sad, pomyślała Kelsie, ale teraz zaledwie jedno czy dwa z nich, okryte resztkami nędznej zieleni, dawały w ogóle oznaki życia. Jakaś nawałnica powaliła w przeszłości część drzew. Kelsie przeszła więc między nimi odłamując gałęzie, a potem zaniósła ów ładunek na ramieniu w miejsce, gdzie Yonan zmagał się ze swym krwawym zajęciem.

Obserwowała, jak układał ognisko z patyków niewiele grubszych od gałązek, jak je rozpalał, dopóty uderzając o nóż kamieniem wyciągniętym z woreczka przy pasie, dopóki iskry nie spadły na garść trawy umieszczonej pośrodku owej niszy przekształconej w piecyk.

- Zacznie dymić - powiedział nie przerywając pracy i Kelsie zrozumiała, iż rozmyślnie podzielił się z nią tą informacją, która była rezultatem jego długiej praktyki życia pod gołym niebem, gdzie zagrażało tyle niebezpieczeństw co źdźbeł w polu. Podzielone i nadziane już na przycięte gałęzie kawałki ptaków znajdowały się nad ogniem, podczas gdy reszta zwisała dobrze ponad płomieniami, tak jednak, by dym uchodzący stopniowo spod kamieni mógł je dosięgnąć.

Miał rację, dym pojawił się w kilku smugach. Chwiały się one to w jedną, to w drugą stronę wraz z podmuchami bryzy. Kelsie, zebrawszy pokaźny zapas drewna, zbadała dokładniej ziarna w kłosach roślin na polu. Oddzieliwszy je, roztarła kilka pomiędzy dłońmi, a gdy zdmuchnęła plewy, została wynagrodzona garścią czegoś, co bez wątpliwości stanowiło jakąś formę zboża. Spróbowała i stwierdziła, że ziarna dają się żuć i są nieznacznie słodkie.

Zebrała więc wcale niemałą wiązkę tych roślin i ułożyła ją sobie wraz z łodygami na ramieniu niczym drwa. Gdy tak szła, przyglądała się uważnie otoczeniu.

Większość ptactwa została wypłoszona z żerowisk i odfrunęła niezgrabnie nie dalej zapewne niż na sąsiednie pole. Kelsie poczuła zapach pieczonego mięsa i zachciało się jej jeść, najbardziej jednak pragnęła choćby łyku wody, by splukać suchość pozostałą po zjedzonym ziarnie.

Zawróciła do skleconego naprędce piecyka, by odszukać Yonana, ten zaś całą swą uwagę dzielił między pieczone mięso a coś, co ułożył w zasięgu ręki, chcąc zanurzyć w tym swój nóż. To coś miało żółtą barwę i postać dyni rodem ze świata Kelsie, było jednak

większe. Odciąwszy wierzchołek Yonan długo obracał nóż we wnętrzu owocu, wytrząsając z niego raz po raz kawałki drewnopodobnego miąższu z czarnymi pestkami.

Kelsie spostrzegła, iż jeszcze dwa takie warzywa, jeżeli to były warzywa, spoczywały u jego kolan. Ściągnęła chustę, którą okryła głowę wyruszając z Doliny, i zaczęła wrzucać do niej zebrane ziarno. Yonan przyjrzał się uważnie temu, co znalazła, i skinął głową z aprobatą.

- Utłucz ziarna na mąkę - polecił - a po dodaniu stopionego tłuszczu - wskazał ptaki - otrzymasz rodzaj podróznego ciasta.

- A co z wodą?

Poklepał dynię, z którą właśnie się zmagał.

- Jest źródło w ostatnim pomieszczeniu, które mijaliśmy, nim zeszliśmy na dół.

Czyżbyś nie widziała trzciny wodnych? Musiała przyznać, że nie, całą uwagę bowiem skupiła na

tym, jak by tu się posuwać, klucząc wzdłuż murów, i nie ześliznąć się. Ale on nie czekał na odpowiedź; odsunął na bok pierwszą z dyń i doglądał mięsa, ze znanstwem obracając różną z nadzianymi na nie kawałkami.

Kiedy mięso się upiekło, spoczęło na ogromnych liściach, które Yonan zerwał z rośliny rodzącej dynie. Po chwili wziął jedną z nich i wstał, patrząc na Kelsie taksującym wzrokiem.

- Czy mogłabyś dać oparcie moim stopom? Woda jest za murem.

W zasadzie nie miała nic przeciwko temu; jej suche gardło i usta kazały się jej oprzeć ze wszystkich sił o zewnętrzną ścianę muru, kiedy Yonan wspinał się na jej ramiona. Jego wcale nie mały ciężar spoczywał na nich ledwie chwilę, po czym Yonan znalazł się na murze.

Słońce chyliło się już dobrze ku owej falującej czarnej linii, która wyznaczała horyzont, kiedy Kelsie stała pod murem, przyciśnięta do chropawego kamienia, i zastanawiała się, gdzie by tu znaleźć jakieś bezpieczne schronienie na noc. Pamięć o ujadających ogarach i czarnym jeźdźcu nie opuszczała ani na chwilę jej umysłu. Mogliby przybyć do ruin, gdyby znali prowadzące tu drogi, a to oznaczałoby, że im dwojgu nie udało się umknąć przed pościgiem. Przyszło jej też na myśl, iż stworzenie, które Yonan nazwał imieniem należącym do żyjącego niegdyś mężczyzny Rhain, nie pogodziło się tak potulnie z klęską.

Kiedy tak stała przesuwając łańcuch w palcach, posłyszała, jak ktoś drapie się na szczyt muru, i odskoczyła na bok, wystraszywszy się stukotu obruszonych kamieni. Wszystko to zwiastowało powrót Yonana. Za pomocą tego samego powroza, z którym polował na ptaki, mężczyzna opuścił w dół dynię z chlupiącą wewnątrz wodą. Skorupa była wypełniona po brzegi i Kelsie musiała się opanować, by nie unieść jej do ust i nie wypić wszystkiego za jednym razem. Później Yonan zeskoczył z muru i znalazłszy się obok rzekł:

- Pij małymi łykami - gestem dał jej do zrozumienia, by nie oddawała mu dyni - najpierw małymi łykami. Posłusznie wciągnęła łyk i przetrzymała go w ustach z czystą rozkoszą, nim przełknęła. Yonan miał jeszcze coś ze sobą, wiązkę trzciny. Kiedy wrócili do ogniska i czekającego jedzenia, podniósł dwa kamienie i ujawszy je

zręcznie w dłonie, zaczął nimi miażdżyć trzcinę. Zamieniał ją w sznurkowate włókna, które splatał ze sobą mocno, aż otrzymał linę na kształt szorstkiego powrośla.

Nadciągnęła noc. Z rozmysłem zezwolili swemu małemu ogieńkowi przygasnąć niemal całkowicie, osłaniając resztki żaru dodatkowymi kamieniami. Mimo to Yonan, pochylony, pracował dalej. Kiedy powróż osiągnął już odpowiednią długość - Kelsie nie zawierzyłaby takiemu materiałowi - młody mężczyzna ustawił dwa kije i począł między nimi pleść coś, tam i z powrotem metodycznie, wspomagając się przy tym raczej dotykiem niż wzrokiem.

Kelsie usadowiła się ze skrzyżowanymi nogami po przeciwnej stronie ogniska wielkości dłoni. W końcu przemogła ją ciekawość.

- Co robisz?

- Potrzebny jest nam worek - wskazał ledwo widocznym gestem mięso, które tak na chybیکا uwędzili potrzebujemy również butów...

- Butów? - Zaskoczona dotknęła ręką swych półdługich butów. Były zdarte, może nawet straciły cały połysk, ale wciąż trzymały się na nogach. Zamieniać je na tę chropawą masę czegoś, z czym Yonan tak umiejętnie dawał sobie radę, stanowiłoby akt głupoty, i Kelsie przygryzła język, by nie zdradzić swych myśli.

- Szarzy - kontynuował - polują za pomocą zarówno wzroku, jak i węchu, nocne ogary zaś tylko za pomocą węchu. Przygotujemy taki zapach, który na długo sprowadzi ich z naszego szlaku.

Odłożył na bok część utkanej przez siebie szorstkiej materii i wyciągnął nogi w stronę słabego blasku ledwo żarzącego się ogniska. Z woreczka przy pasie wydobyl illbanę, którą sam zebrał, i począł wcierać ją energicznie wzdłuż całego powroza. Kiedy skończył, odłożył na bok liście i zaczął ściśle owijać powrozem jedną ze stóp, dopóki nie upewnił się dotknięciem, że cała wzmocniona metalem podeszwa buta została całkowicie okryta.

- Czy to coś pomoże? - Kelsie już zaczęła pojmovać; do czego zmierza Yonan.

- Zycmy sobie tego... illbana ma wiele zastosowań. Jedno z nich teraz wypróbujemy.

A kiedy już rozłożyli się na noc - jedno trzymało straż, podczas gdy drugie spało - stopy ich okrywała

włóknista trzcina, z której tu i ówdzie wyglądały drobiny postrzępionej illbany. Czysty, wyraźny zapach tej rośliny świdrował w nozdrzach, kiedy Kelsie trzymała pierwszą wartość, pozwoliwszy spopielić się żarowi. Tylko światło księżyca umożliwiało jej obserwowanie wyniosłych ruin i okolicznych pól.

Nasłuchiwała w szczególny sposób, zarówno ciałem, jak i umysłem. Przypominało to wietrzenie jakichś obcych zapachów - rozluźnione fale myślowe wychwytyjące pierwsze ostrzeżenie o czymś, co mogłyby skrywać cienie. To, na co czekała z takim napięciem, było zapewne ujadaniem ogarów, które towarzyszyły czarnemu jeźdźcowi i jemu podobnym.

Życie kipiało nocną porą. Kelsie wyłowiła jakiś szelest w wysokich trawach, posłyszała skrzek, który skłonił ją do nieporadnego uniesienia się; uświadomiła sobie, iż musi to być głos jakiegoś myśliwego polującego z powietrza. Nie rozległo się natomiast żadne wycie, od którego cierpłaby skóra i które kojarzyłoby się jej z ogarami. Jak daleko

znajdowali się od owego zagajnika, w którym ich oblegano, nie próbowała nawet oszacować. Jeśli Yonan wiedział podejrzewała jednak, że nie - ani razu o tym nie wspomniał. Fakt ten dowodził z pewnością, że choć ustanowione warty strzegły ich obojga, Yonan nie czuł się bezpiecznie w obecnym położeniu.

Ogarniał ją sen. W pewnym momencie poderwała się walcząc z opadającymi powiekami i ruszyła po kamieniach, by nie zdradził jej szelest traw, ku zewnętrznej ścianie pozbawionej dachu strażnicy. Zatrzymała się tam, próbując wyobrazić sobie, jakież to rodzaj inteligentnych stworzeń wzniósł tę budowlę z takim rozmachem, a mimo to nie przewidział ani drzwi wejściowych, ani przejść w wewnętrznych ścianach, które prowadziłyby z jednego pomieszczenia do drugiego. Mury były nieme, stanowiły część dawno minionej i zapomnianej historii, niczym ów kamienny krąg na Ben Blairze.

Ben Blair... W nagłym przypiływie strachu Kelsie uświadomiła sobie, iż Ben Blair był teraz tak odległy od jej życia, jak sen jakiś daleki. Wypytywała Simona Tregartha o sposobność powrotu. Dawał wykrętne odpowiedzi, ale kiedy nalegała, wyznał, że przypadek, by ktoś, kto przeszedł przez bramę, miał przez nią wrócić, jeszcze się nie zdarzył. Gdyby nawet komuś udało się znaleźć inną bramę w tej krainie i uczynić z niej użytek, traciłby w jeszcze dziwniejsze miejsca i dziwniejsze czasy, nie mógłby jednak powrócić do siebie właściwego miejsca...

Sobie właściwe miejsce. Przypomniała sobie teraz, że Simon wyrzekł to z wahaniem i w końcu dodał, iż większość tych, co odważyli się przechodzić przez bramę, czyniła to po to, by stąd uciec. Ich miejsca znajdowały się zapewne w tym świecie, którego tak uporczywie poszukiwali.

Tak, ona nie szukała! A chciała...

Przypatrując się ogromowi czarnych ruin tylko w połowie zalanych światłem księżyca, próbowała wyobrazić sobie jakąś tutejszą bramę. A gdyby tak ją przekroczyła, gdzie by się znalazła? W czymś lepszym czy w czymś gorszym? Następnie jej myśli podporządkowały się szybko jakiejś pilnej potrzebie; Kelsie uniosła klejnot, by zajrzeć mu do serca, w którym światło migocząc przybierało na sile. Postąpiła krok do tyłu, tam gdzie zostawiła Yonana, świadoma, iż coś się zmieniło. Ale to nie zmieniła się otaczająca ją kraina.

Światło emitowane z kamienia zastygło wokół niego, mimo to Kelsie wciąż czuła ciepło klejnotu w swym ręku, choć nie widziała niczego poza pulsującą w podnieceniu kulą światła. To, co odciskało się na powierzchni kuli, stanowiło cień, który z każdym uderzeniem jej serca robił się ciemniejszy i wyrazistszy.

- Wittle! - wyszeptala głośno imię, a kiedy je wymawiała, odbicie utrwaliło się. Kelsie spoglądała prosto w oczy czarownicy, jak gdyby stały naprzeciw siebie; czuła przymus, który jej nie odstępował, odkąd przyjęła kamień, przymus, który tak się wzmógł, iż nie mogła nad nim zapanować.

Usta czarownicy były otwarte. Ale to nie słowa dotarły do Kelsie, dotarł do niej raczej celny promień wyrazistej, przenikliwej myśli.

„Gdzie?”

Kelsie powiedziała prawdę: - Nie wiem.

„Głupia! Rozejrzyj się wokół! Użycz mi swych oczu, skoro nie potracisz odpowiedzię rzetelnie”.

Nacisk rozkazu był tak wielki, iż Kelsie nie spostrzegłszy się nawet, poczęła obracać się z wolna wokół własnej osi, najpierw zwrócona twarzą do ruin, potem do otaczających je pól i znowu do ruin.

Na owej twarzy z mgły pojawiło się rozdrażnienie i swoista mściwość, od której Kelsie zeszywniała.

„Czy wciąż jest z tobą mężczyzna?” - Akcent na słowie „mężczyzna” dopełnił miary.

Kelsie wyobraziła sobie śpiącego Yonana, takiego, jakiego opuściła kilka chwil wcześniej.

„Odejdź więc, gdy śpi! Bacz na wskazania klejnotu... szuka on Wielkiej Mocy”.

Kelsie potrząsnęła głową stanowczo.

- Nie opuszczę nikogo, kto usnął bezbronny w tej krainie.

Dzięki tej upartej wewnętrznej części swego jestestwa, która nie przestała czuć urazy do Wittle, dziewczyna znalazła siły, by powiedzieć to, co powiedziała... powiedzieć albo też pomyśleć.

Kelsie widziała oczy czarownicy w pełnym świetle, oczy próbujące zatrzymać jej spojrzenie, przymusić ją. Wypuściła klejnot z ręki, pozwalając mu spocząć na piersi. Świetlista kula, którą wytworzył - znikła. Wittle mimo całej swej wiedzy została pokonana - przynajmniej na razie. Kelsie pozostała jednak z przekonaniem, że gdyby naprawdę się z nią zmierzyła, nie zwyciężyłaby jej tak łatwo. Im częściej używała kamienia - była zmuszona go używać - tym bardziej potęgowało się w niej uczucie wewnętrznej siły. Ale nie pragnęła zostać czarownicą - taką jak Wittle. Wydawało się, że była w jakiś sposób pomocna kamieniowi, wciąż jednak czuła się sobą, nie jedną z tych sióstr, które musiały przez całe życie skupiać uwagę na drogocennych kamieniach.

Ruszyła szybko w dół z powrotem do obozowiska, ruiny pozostawiając za sobą. Trudno było ustalić czas, ale cienie

dotarły już do kotliny i Kelsie nie miała wątpliwości, że musi obudzić Yonana. On przynajmniej nie pozostawał pod wpływem Wittle... Kelsie wahała się przez chwilę... czy musi mu oznajmić o tym spotkaniu, do którego doszło dzięki mocom zawartym w drogocennych kamieniach? Mogłby dopatrzeć się w tym jakiegoś przeniewierstwa, ona zaś nie wątpiła, że tylko z Yonanem u boku ma szansę na przetrwanie. Jak dotąd, to dzięki jego wiedzy i umiejętnościom pokonali najgorsze.

Wystarczyło, by Kelsie dotknęła tylko ramienia Yonana, a ten natychmiast otworzył oczy. Obrócił się ku niej twarzą i Kelsie zrozumiała, że nie wspomni mu o Wittle - nie ma przecież zamiaru wcielić w życie sugestii czarownicy. Umościwszy się na kupie trawy zebranej na posłanie, na zwolnionym przez Yonana miejscu, zmusiła się do zamknięcia oczu. Nie zmuszała się jednak do snu, bo nigdy nie wiedziała, kiedy jej sny są dziełem czarownicy z Estcarpu, kiedy zaś tworem jej własnej wyobraźni. Zasypiając, z miejsca pogrążała się w jakichś niezwykle realistycznych koszmarach, które zawsze budziły w niej strach.

Kelsie trafiła jednak z powrotem do pomieszczenia, w którym znajdowała się gwiazda i dokąd tak bezceremonialnie wtargnęła razem z Yonanem. Mury były jeszcze nie tknięte zębem czasu, gwiazda zaś połyskiwała na posadzce, jakby wyrysowano ją liniami żywego ognia. To, co przycupnęło pośrodku tej chronionej powierzchni, wionęło obcością. Chude, szare ciało nieledwie przypominało szkielet, którego kości okrywała skóra pozbawiona mięśni. Postać osłaniały dwa skórzaste, na pół złożone skrzydła, co wyglądało tak, jakby ów mężczyzna - a może kobieta - naciągnął pelerynę.

Ale to głowa i twarz stworzenia przyciągnęły całą uwagę Kelsie. Twarz była wąska, nos ptasi, broda ostra, cofnięta. Nad tym szczapowatym obliczem dominowały oczy ogromne, mozaikowate oczy owada, wszytkowidzące i... wszytkowiedzące.

To nie był sługa któregoś z wtajemniczonych, ktoś, kto dostał się do tego królestwa dzięki użyciu mocy czy to przez Kelsie, czy to przez Yonana. Nie, to był sam wtajemniczony! Stworzenie zdawało sobie sprawę z obecności dziewczyny, bo obróciło się szybko, podnosząc na nią swój nieprzenikniony wzrok.

W rękach, które bardziej przypominały szpony łownych ptaków niż ludzkie dłonie, trzymało wysmukły pręt zakończony ostrzem z żelaza guan, płonącym takim niebieskim światłem, jak głowica miecza Yonana. Pręt opadł mierząc prosto w Kelsie.

Pod dziobowato zakrzywionym nosem poruszały się niewielkie usta, otwierając i zamykając się na przemian, jak gdyby stworzenie coś szczebiało, jakąś mowę, pytanie, ustęp obrzędowej modlitwy. Jednakże Kelsie nic nie słyszała, ani umysłem, ani uchem. Wreszcie odnalazła cień zrozumienia na tej ptasiej twarzy. Pręt o kształcie włóczni wzniósł się do góry, kreśląc w powietrzu jakieś znaki, po których pozostały smugi niebieskiego dymu. Dym ten ułożył się w coś, co mogło być tylko twarzą.

Niby twarz, a jeszcze nie twarz. Cechowała ją jakaś sztywność, która niemal kojarzyła się z maską, daleko bardziej jednak ludzką w swym wyglądzie niż oblicze stworzenia, które ją przywołało. Maską opadła, zlewając się w jedno ze swoim twórcą. Stworzenie powstało, rozkładając skrzydła w wachlarz. Matowoszara skóra gdzieś znikła i całkowicie ludzkie ciało okryło się mglistym światłem. Stworzenie było kobietą.

Choć ręce przytrzymujące pręt zmieniły się, oręż czy też oznaka mocy pozostała ta sama. Jeszcze raz pręt poruszył się w powietrzu, a fale światła, które postępowały jego śladem, wyciągnęły się w prostą linię sunącą w kierunku Kelsie.

Jej ciekawość i początkowa ostrożność przerodziły się raptem w strach. Chociaż bardzo bała się Wittle, mogła przynajmniej się jej oprzeć. Ale ta kobieta-ptak była czymś

więcej niż Wittle, Kelcie wiedziała to instynktownie. To, czy znalazła się pod wpływem działania Ciemności, czy też Światłości, zdawało się nie do odgadnięcia, bo dziwny wygląd zewnętrzny ciała nic nie mówił o obrotach umysłu ani o wyznawanych przekonaniach.

Kto... co... rości sobie teraz do niej jakieś prawo? Kelcie poczuła wokół siebie ciepło i to podniosło ją na duchu, bo zło, jak się jej wydawało, zawsze towarzyszyło zimno. Być może przebudził się klejnot, reagując tak na tę manifestację spoza świata.

„Przybyszu z daleka...”

W umyśle Kelcie tłukły się te słowa. Wydawały się częścią pytania. Ponieważ dziewczyna nie czuła fizyczności własnego ciała, nie przytaknęła, uznała jedynie owo miano za prawdziwe.

„Przebudzony ze snu...”

„Nie z własnej woli!” Gdzieś poza jej świadomością powstała ta odpowiedź.

„W niegdysiejszej przeszłości - bił w jej umysł ów głos stanęłaś przed wyborem i wybrałaś...”

Na ułamek sekundy Kelcie znów znalazła się na stoku Ben Blaira i podbiła strzelbę wymierzoną w rannego już dzikiego kota. Czyżby to ten wybór przywiódł ją aż do tego miejsca?

„To był wybór” - podsumowała ów strzęp wspomnienia uskrzydłona kobieta. „Są inne i będzie ich więcej. Odważyłaś się wstąpić na jedną z prastarych Dróg, odważysz się wejść i na inną... i jeszcze inną...”

„Czy mi źle życzysz?” Kelcie zareagowała impulsywnie. „Nie rozróżniam dobra od zła. Ale przebudziliście moc w tym miejscu, które ona niegdyś zamieszkiwała. Uwolniliście więc coś, co jest istotą walki. To coś nie rozruszało się jeszcze po długim odrętwieniu, bądź ostrożna, kiedy się z tym zetkniesz, kobieto z innego świata. Bądź bardzo ostrożna”.

Różdżka opadła ostrzem w dół; iluminacja, która sprawiła, że stworzenie przybrało ludzką postać, gdzieś zniknęła. Kelsie znowu widziała szary szkielet, wycelowane w siebie

ni to pszczele, ni to nie pszczele oczy. Odległość pomiędzy dziewczyną a stworzeniem stanowiła przeszkodę nie do przebycia. Gdy Kelsie błysnęła myśl, by zwrócić się do owej istoty z prośbą o pomoc, ptaszycy poczęła szybko zanikać, aż szczyła. Nie pochodziła ani ze Światłości, ani z Ciemności, świadomie unikała walki. Ale kto jeszcze przebudził się w wyniku tego, co zdarzyło się w Escore, w wyniku owej natarczywości Kelsie i Yonana?

„Co zamierzasz?” Ośmieliła się teraz zapytać to obce stworzenie przycupnięte jak przedtem wewnątrz połyskującej gwiazdy.

Odebrała coś na kształt chłodnego rozbawienia. „Ach, wybór należy do mnie. Ale jeszcze nie wybrałam...” Pomieszczenie wewnątrz murów, uskrzydłone stworzenie - cały ten wyrazisty sen przepadł w jednej chwili. Zastąpiły go ciemność i dojmujące zimno. W tej ciemności coś się poruszyło, pochylając do przodu, by się jej przyjrzeć, coś, co się ocknęło z letargu trwającego wieki. Kelsie odniosła wrażenie, iż w tym miejscu panowała równowaga. To stworzenie, do którego stała teraz przodem na wpół oślepta,

było przeciwieństwem tamtego ze skrzydłami. Nie próbowało ono porozumieć się z nią, po prostu odnotowało jej obecność w swoim umyśle jako stały element tego świata.

To coś było groźne! Nie pozwól się rozszyfrować... wystąp przeciw temu czemuś! Jej jedyną bronią stanowił klejnot. Wciąż się wahała, czy go tu użyć. Znajdowała się w miejscu, które było całkowicie wrogie jej i wszystkim z jej rodzaju, temu zaś, co tak ospale i leniwie ją obserwowało, nie mogła się przyjrzeć... czuła jedynie na sobie ośliźle dotknięcie czyjejś ciekawości.

Pomyśl o klejnocie... nie! Kelsie wierzyła, że byłaby to ostatnia rzecz, jaką mogłaby teraz uczynić. Myśl o... wyniosłym Ben Blairze znajdującym się w innym świecie... świecie spokojnego życia, twoim własnym świecie. Kelsie uczepiła się kurczowo swoim umysłem wyobrażenia góry, usiłując przywołać jej zapachy, jej istnienie.

Czy to stworzenie w ciemności było podstępne? Nie potrafiła tego stwierdzić, ale oddaliła się stamtąd pośpiesz

nie. Przebudziła się, znajdując u swego boku klęczącego Yonana, z ręką na jej ramieniu, jak gdyby używszy siły fizycznej, wyciągnął ją właśnie własnoręcznie z tego obrzydliwego i groźnego miejsca.

- Śniesz... - W jego głosie pojawił się słaby ton oskarżenia.

- Przerwałeś go!

Czuła wokół siebie ciepło, może nie tyle ciepło nocnego powietrza, ile raczej ciepło płynące z towarzystwa bliskiej osoby. Odkąd Yonan dobił do nich w trakcie wędrówki, Kelsie wielokrotnie uzmysławiała sobie, iż jego umiejętności gwarantowały niejako osiągnięcie celu, cokolwiek to miało być, którego spełnienie nałożył na nią klejnot. To przebudzenie było jednak czymś więcej niż zwykłą przysługą.

- Przybywając tutaj coś obudziliśmy - wyrzuciła z siebie ze skwapliwym pośpiechem, pragnąc podzielić się swoimi przeżyciami z kimś innym i uwolnić się zarówno od strachu, jak i uczucia, iż niezamierzenie wzięła udział w czymś, czego nie rozumie.

W świetle księżyca Kelsie widziała, jak Yonan zmarszczył brwi. Następnie błyskawicznie wyciągnął palec w kierunku klejnotu, który spoczywał na jej piersi, nie dotykając go.

- Tego rodzaju symbol może istotnie coś przywołać... Początkowe uczucie ciepła zanikło. W końcu czy to nie jego miecz zamienił się w klucz, który odemknął te drzwi?

- Klucz znajdował się w twoim ręku - odparowała. Na twarzy Yonana pojawił się rumieniec, który Kelsie dostrzegła w świetle księżyca. Z początku wydawało się jej, iż nie zamierza nic odrzec, ale on po chwili się odezwał:

- Za każdym razem, gdy używamy mocy, możemy naruszyć równowagę. A wtedy rezultat takiego działania obejmuje nie tylko nas. - Ręka Yonana spoczęła na żelaznym quanie umieszczonym na rękojeści miecza. Śniłaś... czy odpowiadałaś na czyjeś zawołanie?

Opowiedziała mu więc... o stworzeniu ze skrzydłami, a potem o tym, które poruszało się w ciemności. W trakcie tej opowieści jego usta wyciągnęły się w prostą linię, a ręka mocniej się zacisnęła na głowicy miecza.

- Idźmy... To - machnął w kierunku ruin - stanowi ogniskową, za pomocą której cię osiągnięto. Jeśli pójdziemy... - Ale już się obrócił, by zebrać ich szczupły dobytek.

Ledwie uwędzone mięso umieścił w zgrzebnym worku, który utkał wtedy, gdy namawiał ją usilnie do tego, by nałożyła na stopy okrycie, niewygodne i trudne do umocowania.

Horyzont począł szarzeć, gdy ukończyli proste przygotowania do dalszej drogi. Yonan wyciągnął rękę w kierunku owego północnego szczytu, który już przedtem wskazywał. - Gdybyśmy obrali go za cel...

- Jaki i ku czemu? - przeciwstawiła się, wciąż mocując się z trzcina, która uczyniła z jej stóp niechlujne toboły. Z powrotem do Doliny?

Twarz Yonana stężała.

- Dolina korzysta z własnych zabezpieczeń, nie ma jednak takiego miejsca, które byłoby niezwyciężone. Powinniśmy odciągnąć istotę, która zajrzała ci prosto do serca, od tego, co musi być strzeżone ponad wszystko. Utrzymujesz, że twój klejnot prowadzi nas... świetnie... idźmy więc według jego wskazań...

- Ciągnąc niebezpieczeństwo za sobą! - To nie było pytanie, lecz protest.

- Co ma być, to będzie...

Kelsie wybuchnęła gniewem. Kim był ten wojownik, który pragnął użyć jej jako przynęty, by ochronić własny kraj przed nieszczęściem? Nie poczuwała się do lojalności względem mieszkańców Doliny; przede wszystkim powinna zastanowić się nad tym, co jej samej zagraża. Wędrówka przez ten przeklęty kraj nie była wynikiem jej własnego wyboru... była czymś, do czego wydawała się zmuszona przez zły los, przez obecność w niewłaściwym miejscu w krytycznym momencie. Wszystko, czego pragnęła, to wrócić do Lormtu. Lormt? Wydawało się jej, że nigdy przedtem o nim nie słyszała. Jednak gdy na chwilę zamknęła oczy, ujrzała mroczne sale, po których poruszały się z wolna podobne do duchów postaci, otumanione tym, co je otaczało.

Kolejny sen, a może tylko jakiś jego fragment...? Gdzie znajdował się Lormt i czemu czuła potrzebę powrotu do niego...? Powrotu? Przecież nigdy tam nie była!

Nie, ale ktoś już tam był. Usta jej ułożyły się na kształt imienia Roylane, ale nie wypowiedziała go głośno. Czyżby nosząc klejnot nosiła również w sobie jakieś kruche resztki jego prawdziwej właścicielki? Kelsie zatęskniła za kimś, komu mogłaby zaufać, kogo mogłaby pytać bez ogródek. Dahaun byłaby odpowiednią osobą, ale znajdowali się tak daleko od Doliny i jej współwładców.

- Dokąd podążasz? - Kelsie wydłużyła krok, by zrównać się z Yonanem.

- Tam, gdzie ty, pani - odparł jak najzwięźlej.

Kelsie wypuściła klejnot z ręki. Był ciepły. Następnie ściągnęła łańcuch i pozwoliła mu poruszać się wahadłowym ruchem na środkowym palcu. Pojawiły się jakieś strzępy wspomnień i zniknęły tak chyżo, że nie zdołała ich pochwycić. A więc to ona stała niegdyś przed... nie, to nie ona... to tamta druga.

Bez żadnych bodźców z jej strony klejnot począł się poruszać, ale... nie tak jak przedtem, na wzór wahadła, raczej do przodu i do tyłu, wskazując to w jej, to w przeciwnym kierunku. A droga, którą w ten sposób wyznaczył, biegła na wschód. Stąpając tak mocno, jak gdyby wydała rozkaz, któremu nie mogła się sprzeciwić, Kelsie odwróciła się w obranym kierunku i ruszyła przed siebie. Znała już tę granicę, jaką sobą stanowiła, i tylko drogocenny kamień sprawował rzeczywisty nadzór nad ich ścieżkami.

Gdy szli między pradawnymi polami po czymś, co niegdyś było zapewne drogą, na niebie stały jasne chmury chorągwiane zapowiadające brzask. Grona jagód zwisały z ciemnych gałęzi ponad kruszejącymi murkami. Kelsie naśladując Yonana zbierała ich tyle, ile zdołała pomieścić w dłoni, i wpychała do ust. Były cierpkie i zarazem słodkie, orzeźwiające, zjadła ich jednak zbyt mało, by poczuć sytość jak po spożyciu dobrego śniadania.

Zapomniana droga cięła przestrzeń w poprzek dopóty, dopóki znów nie doszli tam, gdzie niewielkie zagajniki rosły coraz gęściej i gęściej, tak iż w końcu stanęli naprzeciwko lasu. Niewielkie zwierzątko o ciemnoczerwonej sierści wyszło z ukrycia i zniknęło, nim Yonan zdołałby je upolować, puszczając w ruch swój latający powróż. Były tam i ptaki; nie latały, siedziały na gałęziach, przyglądając się im, gdy je mijali; ćwierkały nawołując się i otrzymywały odpowiedź od tych znajdujących się dalej, jak gdyby nadejście Kelsie i Yonana było oznajmiane jakimś opierzonym suzerenom, do których należały te włości.

Wciąż podążali drogą, która zwęższy się była teraz ledwie szersza od ścieżki. Ze wszech stron otaczał ją gęszcz leśny i porastała wszędybilska trawa. W pewnym momencie Yonan wyciągnął gwałtownie rękę, by uchronić Kelsie przed otarciem się o krzak z pojedynczymi, wyglądającymi, jakby je ktoś postrzępił, liśćmi i kwiatami ciemnozielonej barwy, które rozstaczały ledwo wyczuwalny, odurzający zapach.

- Farkill - wyjaśnił. - Jego zapach usypia, a dotknięcie okrywa ciało wrzodami, które nawet za pomocą illbany trudno uleczyć. A to... - wskazał ponury, szary szkielet drzewa, usadowionego w pobliżu ścieżki - jest również groźne. Szybko! - Ręka mężczyzny tak niespodziewanie i z taką mocą opadła na ramiona Kelsie, iż ta zwała się z nóg w momencie, kiedy posłyszała jakiś szelest w powietrzu.

- Czołgaj się... na brzuchu - rozkazał jej towarzysz. Nie chciałabyś, aby coś takiego jak to cię ugodziło? wskazał szare ostrze, które utkwilo, drżąc jeszcze, w krzaku. Gdyby w dalszym ciągu stała prosto, znajdowałoby się mniej więcej na poziomie jej ramion.

To coś miało kształt ciernia, było jednak tak długie jak jej przedramię i Kelsie wywnioskowała, że mogłoby ją przeszyć na wskroś, gdyby w nią trafiło. Ostrze zostało wystrzelone w jakiś sposób z wyglądającego na umarłe drzewa.

Czołgali się, a Kelsie marszczyła nos z powodu cierpkiego zapachu błočka, powstałego z długo butwiejących liści, opadłych na ścieżkę. Jeszcze dwukrotnie minęli strzelające

drzewa, nim wreszcie wydostali się na otwartą przestrzeń polanę taką jak ta, na której Yonan uczynił ze swego miecza klucz.

Kiedy znaleźli się już na środku, Yonan zdecydował się zatrzymać, zjedli mięso i napili się wody z dyni, jednak oszczędnie, bo tego dnia nie dostrzegli nigdzie żadnego źródła.

Kelsie ogarnęła senność i zapragnęła najzwyczajniej rozciągnąć się na ziemi i odespać całe znużenie. Tyle że Yonan nie dawał żadnych znaków, by pozostali tam, gdzie byli, a jej duma i uporczywe pragnienie dorównania mu nie pozwoliły zaproponować dłuższego wypoczynku.

Chociaż Kelsie sprawdzała od czasu do czasu klejnot i nie wątpiła, że podążali tam, gdzie on ich prowadził, coraz bardziej pragnęła go uronić, pozwalając mu skryć się w wysokiej trawie, i wrócić... Dokąd?

W środku dnia, tutaj, Ben Blair wydawał się bardzo odległy. Całe jej życie aż do przejścia przez to, co Simon Tregarth nazwał bramą, przypominało sen bardziej niż koszmary ostatniej nocy. Kelsie zaczęła rozmyślać o Yonanie. Z pewnością nie znajdował się tak jak ona pod przymusem wybierając się w tę drogę. Mimo to dzięki jego wiedzy wydostawali się za każdym razem z opresji. Nie urodził się w Dolinie. Tyle wiedziała. Nie był nawet podobny do większości ludzi tam zgromadzonych. Włosy miał jaśniejsze, a oczy na opalonej twarzy niebiesciły się niepokojąco. Kim był Yonan? Formułując to pytanie, po raz pierwszy oddaliła się myślami od ich obecnego położenia. Najwidoczniej Dahaun miała o nim dobrą opinię, skoro wysłała go w charakterze strażnika... a może przewodnika. Kelsie widziała jeszcze jednego z Tregarthów Kyllana, ale nie dostrzegła nic, co świadczyłoby o pokrewieństwie Yonana z tym rodem. Zazwyczaj przebywał on w towarzystwie Urika, wojownika uzbrojonego w potężny topór. No i jeszcze ta dziwna wymiana zdań, którą posłyszała, a która sugerowała, iż Yonan wierzył w reinkarnację i podejrzewał, że był niegdyś Tolarem, rozgrywającym z zaciętością jakąś partię w tej krainie.

- Jak daleko zapuszczałeś się w głąb tej krainy? Kelsie zapytała Yonana nieoczekiwanie.

Zawahał się, poprawiając sznur przy swoim skleconym naprędcie tobołku, a kiedy odpowiadał, nie podniósł na nią wzroku.

- Ta kraina jest czymś nowym dla mnie. Nie jest też zaznaczona na żadnej mapie w Dolinie.

- Mimo to idziesz ze mną...

- Idę z tobą - odparł - odkąd nałożono na mnie ten obowiązek. Kiedy czarownice z Estcarpu nawiązały kontakt z Doliną, spierały się co do przewodników. Nie rozumiały, iż oddziaływanie Światłości zaznacza się w wielu miejscach, ale tylko w owych miejscach, i że istnieją moce nad mocami, o których nigdy nie słyszały i o których nie mogły nawet przeczytać w zapiskach przechowywanych w Lormcie.

Lormt! Miejsce z pół snu, pół jawy. W tym momencie Kelsie zapragnęła prostej odpowiedzi.

- Co to takiego Lormt?

- Miejsce, w którym zgromadzono Prastarą Wiedzę. Kiedy Kemoc Tregarth udał się do Lormtu, dowiedział się o Escore... albo co najmniej o tym, że gdzieś tutaj na wschodzie jest kraj, o którym kazano zapomnieć Starej Rasie, gdy umknęła przed wojną wtajemniczonych.

Podniósł się i stał patrząc na Kelsie z góry. - Co powiada twój klejnot? W którą stronę?

Przeniósł wzrok na otaczające ich drzewa. Kelsie nie pragnęła zagłębić się ponownie w tym posępny, pełnym niebezpieczeństw lesie, ale jakież był sens pozostawać tutaj, na otwartej przestrzeni? Machnęła więc pośpiesznie kamieniem. Wskazał znowu... niemal wprost na północ, pomyślała, choć nie była ani człowiekiem lasu, ani mieszkańcem tej krainy, by ocenić prawidłowo ów sygnał.

Okrycie z trzciny i illbany na ich butach sięgających łydki zdarło się w strzępy podczas drogi i w większości odpadło, pozostały więc z niego tylko niewielkie kawałki. Nie rosły tutaj żadne zioła, nie mogli więc uzupełnić strat w ochronnym okryciu obuwia. Po przeciwnej stronie polany

ponownie zanurzyli się w las. Znikły najmniejsze ślady drogi i Yonan zwolnił kroku. W pewnym momencie znieruchomiał z głową uniesioną do góry, jak gdyby złapał wiatr - niby jakieś zwierzę, posuwające się ostrożnie po nie znanym sobie terytorium i poddające próbie choćby najmniejszy ślad obecności czegoś, co mogłoby stanowić niebezpieczeństwo dla jego gatunku.

I tu rosły strzelające drzewa, a także farkill. Z tego właśnie powodu nie mogli się posuwać po linii prostej. W pewnym momencie, po raz kolejny pełznąc na brzuchu po ziemi w obawie przed ciernistymi strzałami, Kelsie umieściła rękę na czymś, co było, jak się jej zdawało, zwyczajnym okraglakiem. Ledwie dotknęła, a przedmiot obrócił się pod ciężarem jej dłoni i wyszczerzył się złośliwie - czaszka! Bez wątplenia ludzka, chociaż Kelsie dostrzegła różnice w kształcie łuków brwiowych i ogólnej wielkości. Dziewczyna jęknęła z obrzydzenia i Yonan zwrócił głowę w jej kierunku. Tymczasem Kelsie dostrzegła jeszcze dwa szare wybrzuszenia odrobinę dalej... i dalej... Przypadkowo natknęli się na trakt z czaszek.

Yonan potrząsnął głową, kiedy Kelsie zapytała go, jakie stworzenia zmarły tutaj - tutaj - i tutaj - i tam - tworząc ten ohydny trakt. Ale on trzymał się go, choć Kelsie wzbraniała się tędy podążać. Raptem doszli do pierwszego monolitu.

To samo szarawe lśnienie, co na czaszce i na strzelających drzewach - obelisk stał do połowy zanurzony w zaroślach, przypominając z dala olbrzymi, skręcony paluch wycelowany w niebo - jeśli ponad tym pułapem ze splątanych gałęzi było jeszcze jakiegokolwiek niebo.

Posąg był wyższy od Yonana, kiedy ten się przed nim zatrzymał, i potężniejszy. Choć tu i ówdzie zielenił się na jego powierzchni mech, nietrudno było spostrzec, iż celowo nadano mu kształt czegoś, co przycupnąwszy pochylało się nieco ku przodowi - z jednym ciężkim ramieniem uniesionym i wielką opazurzoną ręką czy też łapą, wyciągającą się za jakąś łatwą do pochwylenia zdobyczą.

Kelsie wciągnęła powietrze. Widziała wiele najróżniejszych form życia od momentu, kiedy z niechęcią rozpoczęła tę wędrówkę, ale to musiało być coś nadzwyczaj złośliwego. Ramiona miało tak przygięte, iż odniosła wrażenie, że owo wyobrażone stworzenie jest zgarbione. Na ramionach, na ledwie widocznej szyi, siedziała ogromna głowa; łysa czaszka przybrała stożkowaty kształt. Najgorszy rys w tym zniekształconym stworzeniu stanowiły jednak oczy. Były tak głęboko osadzone, jak gdyby znajdowały się na dnie dołu. Ale nie były z kamienia... nie były też wstawką ze szlachetnego kruszcu.

Zajrzała w nie i zamarła. Zupełnie jak u ogara, który pojawił się przy bramie, doły owe wypełniał żółtawy blask. To potworne stworzenie mogło nawet sobie być kamienną rzeźbą, ale... jego oczy żyły! Czyżby w tym kamieniu osadzono jakąś istotę - więźnia pozbawionego wszelkiej nadziei na uwolnienie?

Kelsie nieświadomie uniosła klejnot czarownicy. Nie patrzyła na niego, albowiem usidlił ją blask kamiennych oczodołów.

- Nie! - Yonan dopadł do niej z wyciągniętą ręką, strącając w dół klejnot. - Nie!

Skręciła się pod jego uściskiem, strach, który ją opanował, wzmógł się stukrotnie. Ale Yonan tak mocno przyparł jej rękę do boku, że nie mogła użyć tego, co zaczęła już uważać za swą jedyną broń.

- To obserwator, nie pozwól mu się niczego dopatrzeć - dodał. Po czym odepchnął ją na bok, przerywając tym samym ów kontakt oko w oko z potworem, i Kelsie wyzwoliła się od tego, co, jak teraz sądziła, stanowiło w rzeczywistości jedno z bardziej przemyślnych niebezpieczeństw w tej krainie.

Wciąż trzymając dziewczynę za ramię, jak gdyby się bał, iż nie wzięła jego ostrzeżenia do serca, Yonan pociągnął ją za sobą. Ich buty z resztkami illbany ślizgały się i ślizgały po trakcie z czaszek.

- To patrzyło... to było żywe!

- Nie to, tylko to, co patrzyło... - sprzeciwił się Yonan. - Gdybyś użyła klejnotu, zapewne przepędziłabyś obserwatora, wszczęłabyś jednak alarm, który...

Zatrzymał się niemal w pół słowa. Przy przerażającym trakcie pojawiło się inne stworzenie. Miało ono z tym pierwszym wiele wspólnego, ale nie było wyrzeźbione z kamienia - nie, było wyrzeźbione w drewnie. Jakiś potężny kawał drewna został tak obrobiony, iż resztki kory, porośnięte niszczącym grzybem, tworzyły skórę. To coś również patrzyło. Miało takie same oczodoły... takie same... rzuciwszy krótkie spojrzenie Kelsie z trudnością powstrzymała się przed, ponownym zajrzeniem w oczy owego drewnianego potwora. One także były żywe.

Kelsie, wpadłszy w panikę, uwolniła się z uścisku Yonana i pomknęła, jak tylko mogła najszybciej, w dół wyłożonej czaszkami drogi, chcąc uniknąć jeszcze jednego spotkania z tym, co ich w ten sposób śledziło. Kiedy biegła, spozierała gwałtownie na boki, by się upewnić, czy nie wynurza się gdzieś następny obserwator.

Powietrze znieruchomiło pod drzewami, wzmagał się odór idący z blocka, w którym spoczywały czaszki, zgniły, przyprawiający o mdłości. Pod okapem z gałęzi również panowało ciepło... nie to opiekuńcze ciepło, z którym Kelsie się stykała, kiedy zaczynał ożywać klejnot, ale raczej to duszne, lepkie ciepło wrzynające się w duszę i drażniące ciało.

Trakt biegł wszakże prosto. Kelsie widziała prastare szczątki drzew świętych u korzeni celem oczyszczenia miejsca pod drogę. Tu i tam młode drzewka ośmieliły się wyciągnąć ponownie w górę, wypychając na wierzch czaszki, które leżąc szczyrzyły zęby. Nie mijali już więcej posągów, dopóki szli przez las.

Wreszcie przedarli się przez ostatni pas zarośli i znaleźli się na otwartej przestrzeni. Droga z czaszek biegła jednak dalej, kości zaś wydawały się solidniej osadzone w ziemi.

- Trakt pokonanych - odezwał się po raz pierwszy Yonan od momentu, kiedy to ostrzegał ją w lesie. Dawno temu wierzono, że osadzenie w ziemi głów wrogów tak, by można było w każdej chwili po nich przejść, czyni zwycięstwo większym.

Kelsie jednak ledwo go słuchała, wpatrywała się przed siebie w coś masywnego, co wznosiło się w oddali.

Jeśli uważała te dwie rzeźby, które widziała w lesie, za solidnie wykonane, to cóż mogła powiedzieć o tym, co zobaczyła?

Droga z czaszek biegła bowiem prosto w kierunku ciężkiego, obwisłego brzucha siedzącego w kucki posagu wytworu ręki ludzkiej, tak wielkiego albo niemal tak wielkiego, jak owe ruiny, w których się wcześniej znajdowali. Rozłożone ręce wspierały się o ziemię niczym ogromne słupy, podtrzymując potężne cielsko, pochylone do przodu, jak gdyby badające to wszystko, co się ku niemu posuwało.

12

Tam, gdzie krzywizna zwisającego brzucha dotykała ziemi, widniała ciemna dziura. Miała tak regularny kształt, iż mogła stanowić wejście...

Wejście dokąd? Kelsie odważyła się rzucić krótkie spojrzenie w oczodoły owego stworu. Ale nie dostrzegła w nich piekielnego ognia. Zobaczyła tylko ciemne jamy.

Na dźwięk chrapliwego odgłosu Kelsie wydała zduszony krzyk. Z pewnością to coś przed nią nie było żywe, nie mogło wydać takiego odgłosu. Nie, ten dźwięk wyszedł od kogoś z uskrzydłonych stworzeń krążących nad głową rzeźby. Nawet o wieczornej porze stworzenia te polyskiwały szkarłatem, z wyjątkiem dziobów i nóg - które miały czern wylotu otwierającego się przy końcu drogi z czaszek.

Przestawszy zataczać doskonale koła nad głową owego przykucniętego potwora, wyciągnęły się sznurem prosto w ich kierunku. Yonan wydał wówczas okrzyk, który miał może dodać ducha nie tylko jemu, ale i tym, którzy go słyszeli. Cisnął ponad głowę obciążonym powrozem, którego używał do polowania. Ale to było nic w porównaniu z atakiem, jaki powinien odeprzeć.

Powróż poleciał tak szybko, iż Kelsie ledwie go widziała, gdy owijał się wokół długiej szyi jednej z latających istot, ściągając ją na ziemię. Stworzenie spadłszy walczyło trzepocząc skrzydłami.

Yonan był na to przygotowany i za jednym zamachem ściął mieczem rzucający się we wszystkie strony łeb. Ale musiał się zaraz okręcić, by odeprzeć następne latające stworzenie, które runęło na niego z gotowym do walki sztyletem dzioba. W chwilę później i ono uderzyło z głuchym łomotem o ziemię, skrócone o głowę, jakimś sposobem jednak nadal żywe.

Kelsie krzyknęła i wyciągnęła gwałtownie klejnot, gdy trzeci stwór, wycelowawszy prosto w nią, mknął z góry z ogromną szybkością. Miała nikłą nadzieję na odparcie ataku; stworzenie było mniejsze od niej o połowę, a jego rozpostarte skrzydła - niewyobrażalnie duże.

Klejnot ożył migocząc i ptak się oddalił. Kelsie, śledząc jego lot, z przestachem dostrzegła coś jeszcze. Z szerokiego nosa, który stanowił niemal trzecią część twarzy demonicznego stworu, wydostały się dwie niewielkie chmurki czerwonego dymu, rzadkie, bez płomienia, i popłynęły przed siebie nie rozpraszając się, lecz tworząc wyraźną chmurę czy też plamę. To wszystko działo się już w mglistym zmierzchu, ale dym - a może oddech - był wciąż dostrzegalny.

Ptaki znowu zaatakowały Yonana. Wydawało się, że uważają go za wroga, którego można by najłatwiej pokonać. Yonan krzyknął do Kelsie, zmachany już co nieco, ponieważ przeciwstawił dziobom miecz, usiłując nie stracić przy tym równowagi i odeprzeć atak.

- Nie pozwól im krążyć! Przerwij krążenie...

Kelsie machnęła klejnotem, nie mając zupełnie nadziei na osiągnięcie któregośkolwiek ze stworzeń, spostrzegła jednak, iż uciekały one przed skrami, które unosiły się w powietrzu wyleciawszy z jej jedynej broni. W końcu wsparła się plecami o plecy Yonana.

- Z powrotem do lasu? - wyrwało się jej pytanie. - Nie z nadchodzącą nocą - odparł mężczyzna. Zrozumiała całą zawartą w tej wypowiedzi mądrość.

Choć zdołaliby uciec przed ptakami, chroniąc się w cieniu drzew, pozostałoby jednak w zasięgu działania Ciemności. Na otwartej przestrzeni mogli przynajmniej widzieć atakujących.

Trzy z ptaków opadły na miecz Yonana, ale inne wciąż próbowały zatoczyć koło ponad ich głowami. Tylko uporczywe pchnięcia mieczem powstrzymały je od utworzenia zamkniętego kręgu.

Czemu nie uniosły się po prostu, by wydostać się spod uderzeń broni Yonana, Kelsie nie potrafiła zrozumieć. Ale czymkolwiek się kierowały, oznaczało to, że muszą trzymać się blisko ziemi i jeszcze bliżej tych dwojga, których chciały osiągnąć.

Kelsie odetchnęła głęboko i zakasłała, drapała ją w gardle, paliły oczy. Osiadł na nich oddech owego latającego potwora. Energicznie wywijiała łańcuchem, z którego zwisał klejnot. Mógł on trzymać ptaki z dala, ale nie mógł rozwiać kłębow karmazynowego dymu. Kelsie zakasłała znowu, niemalże dusząc się własnym oddechem, kiedy próbowała zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Pojawiło się ohydne palenie w nosie i gardle. Zaczęły jej łzawić oczy, tak iż ledwie widziała. Ale wciąż usiłowała utrzymać się na nogach i opędzać przed tym nowym niebezpieczeństwem - tyle że nie reagowało ono na klejnot. Czyżby nie polegała na nim dość mocno, skoro zawiódł ją tak srodze? Wszystko ma swój koniec, wreszcie i oni dotarli do kresu wytrzymałości.

Yonan również głośno kaszał. Postąpił do tyłu i jego ramiona ponownie oparły się o ramiona Kelsie, tak iż dziewczyna czuła wyraźnie męczące dreszcze, które nim wstrząsały. Ptaki rozwrzeszczały się na nowo, tak jak podczas pierwszego ataku - w przykrym dla ucha skrzeczeniu zawierała się doza triumfu.

Kiedy Kelsie poczuła, że Yonan osuwa się na ziemię, obróciła się wywijając klejnotem, by powstrzymać zły dziób wymierzony w padającego mężczyznę. Na tej części jego twarzy, którą mogła dojrzeć, pojawiła się krew, hełm zaś wgniótł się od uderzenia. Ptak, który przypuścił frontalny atak na Yonana, zawisł nad ziemią, swe długie nogi trzymając jak najwyżej, i cofnął łeb, by zadać ostateczny cios niemrawo ruszającemu się, próbującemu powstać mężczyźnie.

- Nie... krag... - wysapał.

Ale było już za późno. Kelsie kasłała tak boleśnie, iż myślała, że zaraz wypluje płuca, jeśli nie przestanie się krztusić. Pochyliła się jedynie nad Yonanem, unosząc w górę

klejnot czarownicy. A ptaszysko, należące do owego strasznego stada, co omal nie zadźgało jej towarzysza, wycofało się schodząc z toru, po którym atakowało.

Coś mokrego skapywało jej z nosa. Kelsie stwierdziła, że to krew opadająca kropelkami na kolczugę Yonana. W gardle drapało ją tak okropnie, iż w tej chwili niczym się nie interesowała z wyjątkiem tego, gdzie by znaleźć jakieś schronienie przed trującą chmurą.

Poprzez łyż, poprzez tańczące czerwone pyłki, które utworzyły wokół mgiełkę, Kelsie widziała otwór. Na kolanach, z drogocennym kamieniem w jednej ręce, drugą wczepiwszy się w pas Yonana, usiłowała dotrzeć do owej obietnicy schronienia.

Kelsie nie rozumiała, w każdym razie jeszcze nie wtedy, iż ją w ten sposób popędzano. Ale przejrzała, nim nadszedł koniec. Chmura uniosła się - dziewczyna dostrzegła przed sobą czarną szczelinę otworu; tylko tam, jak jej się zdawało, mogłaby odetchnąć, znalazła się już bowiem na granicy życia i śmierci. Jeszcze jeden wysiłek i nagle przecucie niebezpieczeństwa... Kelsie dotarła do złowrogiego otworu w ogromnym brzuchu potwora; wprost do tej jamy pełznąca za sobą Yonana.

Gdy usiłowała zawrócić, czerwona mgła osiadła jeszcze niżej. Kasłając i plując krwią dziewczyna rzuciła się w ową najciemniejszą ciemność i straciła przytomność.

Gdy się ocknęła, ciemności wybiegły jej na spotkanie. Przez chwilę nic nie mogła sobie przypomnieć - po czym uświadomiła sobie, gdzie ich zapędzono, i przerażenie odezwało się z wielką siłą. Nie znajdowała się w tym ciemnym miejscu, ku któremu rzuciła się zrozpaczona i samotna. Nie, obudziła się w takim miejscu, które bez wątplenia przynależało do tego świata. Jej myszkujące po obu stronach obitego i obolałego ciała ręce trafiły na kamień, szorstki i wilgotny. Kelsie poderwała z obrzydzeniem palce pokryte śluzem.

Gdy przelykała, paliło ją boleśnie gardło, podrażnione jeszcze przez ostatni podmuch czerwonego dymu. Ciemność była jednak tak intensywna, że aż zmroziło ją ze strachu - może oślepa? Opuściły ją, jak się wydawało, i gdzieś przepadły wszystkie siły; z ledwością uniosła rękę i przetarła powieki, jeszcze raz otwierając oczy - prosto w ową zgęstniałą ciemność.

Zgęstniała... ponieważ wydawała się wyróżniać swoistymi cechami... dusiła ją i więziła. Jakoś przycisnęła ręce do ziemi i podźwignęła się z wolna. Było cicho jak makiem siał - czyżby słuch stępsiał i zanikł tak jak wzrok?

- Yonan! - Na ów okrzyk nie nadeszła żadna odpowiedź. W cokolwiek dała się schwytać, została sama. W pewnym momencie dotknęła tego, co leżało na jej piersi... tego, od czego była zależna. Palce zacisnęły się na zimnym kamieniu. Mógłby to być jakikolwiek otoczek, który podniosła z ziemi. Życie, przejawiające się w postaci ciepła, które czuła w nim od samego początku, zagasło. Klejnot był martwy...

Martwy? Może nastąpiła śmierć, a ona przeszła niepostrzeżenie z życia do wiecznej ciemności.

Dopiero wówczas, kiedy strach przed głuchotą zaczął opanowywać jej umysł, Kelsie po raz pierwszy uświadomiła sobie coś, co nie przypominało żadnego dźwięku, ale raczej pewien rodzaj wibracji, narastającej coraz silniej i wsiąkającej w jej ciało. W ślad za nią szły regularne serie uderzeń, nie odznaczające się jednak jakimś specjalnym

rytmem, jak to się działo w przypadku Thasów walących w bębny w kształcie mis. Uderzenia te bardziej przypominały miarowe, głuche bicie serca - tak silne, że aż odbijające się echem poza ciałem, do którego owo serce należało.

Czarna dziura w brzuchu potwora... czyżby zanurzyła się w czymś, co żyło własnym życiem? Kręciło się jej w głowie od tych myśli... jakby w tej krainie dziwadeł i przywidzeń coś takiego nie mogło zdarzyć się naprawdę.

Rozsiadła się w ciemności i badała rękami ciało. Resztki illbany okrywającej jej stopy gdzieś przepadły, ale przy pasku, skryty w pochwie, wciąż tkwił nóż z długim ostrzem, stanowiący element wyposażenia mieszkańców Doliny. Wysunęła go nieco z pochwy, bojąc się go upuścić w tej nieprzeniknionej ciemności i tym samym stracić jedyną swą broń, od kiedy odeszła od niej, jak mniemała Kelsie, moc zawarta w kamieniu.

Nie próbowała wstawać. Trzymając nóż w pogotowiu, machnęła ręką przed sobą. Przez cały czas w głębi świadomości bała się, iż naprawdę oślepla i że jej poczynania były obserwowane przez tych, którzy zorganizowali tę pułapkę. Przecież nie mogła pozostać tam skulona, oczekując nie wiedzieć jakiego ataku.

Rozległ się nikły, drażniący dźwięk, kiedy jej nóż ciął zamasyście po kamieniu, co jakimś sposobem złamało rytm owych uderzeń, które wydawały się wzmacniać, im energiczniej się ruszała. Raptem jej ręka o coś zawadziła i Kelsie z miejsca wyczuła, iż była to kamienna przeszkoda tak wysoka, jak tylko mogła sięgnąć, i tak szeroka, jak jej rozłożone na boki ręce.

Wreszcie podźwignęła się, przebiegając palcami wzdłuż ściany, w miarę jak się unosiła. Podłoże było zimne, upstrzone płatami śluzu, na swój sposób odpychające. Ściana tym się od niego różniła, iż tworzący ją kamień stawał się cieplejszy, im wyżej Kelsie sięgała... Ciepło rozprzestrzeniało się daleko ponad jej głowę nawet wtedy, kiedy stała na czubkach palców.

Wibracja, która dotarła do niej przez podłoże, była tutaj wyraźniejsza i Kelsie pomyślała, że w jakiś sposób uderzenia jej serca poddały się harmonijnie temu rytmowi.

Po chwili Kelsie poczęła się ostrożnie przesuwac w prawo. Macała czubkiem buta podłoże, nim stanęła na nodze całym ciężarem, przebiegając jednocześnie palcami wzdłuż ściany. Bezustanne napieranie zewsząd ciemności czyniło ją podwójnie niepewną, toteż wciąż i wciąż swym ośleplym zmysłem poddawała próbie to, co się wokół znajdowało.

Wtem ręka ześliznęła się jej z kamienia w pustkę... przejście? Obróciła się z wolna z tak wielką ostrożnością, na jaką tylko mogła się zdobyć. Podłoże wydawało się wystarczająco solidne. Za pomocą noża Kelsie usiłowała wybadać, co też się znajdowało z prawej strony, i nie tylko wyczuła, ale również posłyszała, jak ostrze wsparło się o kolejną przeszkodę. A więc... otwór. Mimo to nie pojawiło się jeszcze światło, by ją wspomóc, tak czy siak musiała więc posuwać się do przodu z równą ostrożnością, jak robiła to przedtem. Może lepiej byłoby zbadać resztę pomieszczenia, nim spróbuje zagłębić się w owo przejście, które przecież może ją tylko zaprowadzić do jeszcze gorszej pułapki.

Przesunęła się ukradkiem obok owego otworu i jeszcze raz natknęła się ręką na ścianę. Od tej chwili poczęła liczyć; liczyła nawet wówczas, kiedy odkryła ostry róg i

zmieniła kierunek wędrówki, podążając wzdłuż nowej ściany. Trzy kroki dalej znajdował się inny otwór, z którego doszedł ją podmuch powietrza. Nie była to rzeźwa, oczyszczająca płuca bryza, którą można spotkać na otwartej przestrzeni... podmuch był wilgotny i niósł ze sobą fetor rozkładu. Bez wątplenia - droga, w którą NIE NALEŻAŁO się zapuszczać.

Kelsie ustaliła wkrótce, iż ocknęła się w pomieszczeniu, które miało otwory w trzech spośród czterech ścian, a trzeci z nich bardzo przypominał pierwszy. Ów zaś, z którego zionęło smrodem i wilgocią, znajdował się między tymi dwoma. I właśnie któryś z tych musiała wybrać:

Zawróciła do pierwszego i zapuściła się w coś, co jej zmysł dotyku uznał za pasaż. Powstrzymała się jednak przed wspomaganiami się rękami, gdyż plamki śluzu, które wcześniej znalazła na ziemi, stały się tutaj liczniejsze, często łącząc się jedne z drugimi, co stwierdziła przesuwając po nich palcami. Próbowła usilnie zbudować w swym umyśle obraz miejsca, w którym się znajdowała, ale bez pomocy wzroku wyobraźnia jej była ograniczona. Kelsie musiała sobie w końcu uświadomić, iż nic nie może zrobić poza tym, co właśnie robiła - zapuścić się po omacku w ciemną plątaninę owej drogi.

Tak jak w powietrzu, które napływało podmuchami z drugiego otworu, Kelsie czuła tu woń rozkładu, w pewnym momencie zaś jej palce, nim zdążyła je cofnąć, przebiły coś, co uczepiło się ściany i z czego strzyknął jakiś płyn, który parzył ją, kiedy pośpiesznie wycierała rękę o spodnie; zły zapach przywarł do niej na dobre.

Wibracja potężniała z minuty na minutę... Kelsie zamruwała powiekami raz i drugi. Nie, nie mogła się mylić, gdzieś bardzo daleko przed nią musi znajdować się źródło światła, ciemności bowiem nie były już tak nieprzejrzane. Przyśpieszyła kroku westchnawszy jakby z ulgą, kiedy szarość zastąpiła całkowitą ciemność. Teraz już widziała ściany i nie musiała bać się kolejnego zetknięcia z plamami matowoczarnej substancji, która zdawała się rosnąć tam niczym mecl~~ na posagach w lesie.

Yonan! W głębi jej świadomości przez cały ten czas spoczywał obraz wojownika z Doliny, takiego, jakiego widziała po raz ostatni, dławiącego się mgłą. Jednego przynajmniej była pewna - badanie celi, w której się przebudziła, wykazało, iż nie dzielili jej wspólnie. Gdzież on się podziewał?

W pewnej chwili szare światło podbarwił nikły czerwony blask i Kelsie wystraszyła się na myśl o kolejnym spotkaniu z owym dymem, który ich omal nie zabił. Nie mogła już jednak zawrócić z obranej drogi, by znów zanurzyć się w całkowitych ciemnościach. Czerwień pojaśniała. Ręce dziewczyny wyglądały niemal tak, jak gdyby krew z żył wydostała się na powierzchnię. Zrobiło się również cieplej, znacznie cieplej. Choć smród jeszcze się wzmógł, nie było w nim jak dotąd śladu duszącego gazu, o ile właśnie gazem zionął latający potwór.

Jeszcze dziesięć kroków i Kelsie zbliżyła się do następnego otworu. Przyklększy zajrzała do pomieszczenia, w którym jarzyło się czerwone światło. Za chwilę wyczołgała się na coś, co okazało się balkonem czy też górnym krużgankiem biegnącym wzdłuż jednej ze ścian wysokiego pomieszczenia, które leżało w dole, i zmartwiła ze strachu przyciskając brzuch do kamienia, usiłując widzieć, nie będąc widziana. Nie była tu sama.

Musiało ich być co najmniej pół tuzina, Kelsie nie miała pewności, ponieważ kręcili się w kółko, a tylko trzech z nich pozostawało stale na swoim posterunku. Znajdował się on na podobnym balkonie jak ten, który zajmowała dziewczyna, tyle że po przeciwnej stronie tego spoczywającego w dole pomieszczenia.

Poniżej było coś, co Kelsie zdumiało najbardziej. Naprzeciwko kręciły się postaci w ludzkiej skórze, w dole zaś mieściła się ogromna okrągła wanna, a może basen, tak wielki jak sporych rozmiarów sadzawka. Basen ów po brzegi wypełniała jakaś materia, która wyglądała jak tłusty czerwony śluz i która wrzała nieustannie, jak gdyby podgrzewano ją na jakimś gigantycznym piecu. Kiedy któraś z baniek po wydostaniu się na powierzchnię pękała, ulatywała z niej czerwona mgła i unosiła się w powietrze niczym chmura, po czym rzednąc przybierała postać śluzowatego płynu, który lał się z powrotem strumieniem do tego czegoś na kształt basenu.

Pełniący straż kręcili się tu i tam. Kelsie wzięła głęboki oddech, usiłując stać się jeszcze mniejszą i jeszcze mniej widoczną. Ów czarno odziany jeździec, który szczał przeciw niej ogara na zewnątrz kamiennego kręgu... ten osobnik był do niego podobny i tamten, i jeszcze tamten. Sarnowie...! Tego, jak byli straszni, nie oddawały żadne przekazy z Doliny, opowiadające zarówno o nich, jak i ich czynach... Nie pozostawiały one jednak najmniejszej wątpliwości, iż były to istoty całkowicie oddane Ciemności, lubujące się w rozpaczach innych. Nosiły płaszcze sięgające uda na ściśle opinających ciało ubraniach, które wydawały się modelowane na ich kształt i podobieństwo. Płaszcze te miały kaptury, które tak szczelnie okrywały twarze, iż tylko niewielkie otwory odsłaniały oczodoły. Skryte w rękawiczkach ręce poruszały się w sztywnych, szarpanych gestach, jak gdyby tym sposobem się porozumiewali.

Kelsie sięgnęła po klejnot czarownicy. Ale tak jak wtedy, gdy się tutaj obudziła, drogocenny kamień był zimny i martwy. Moc, w której poczęła mieć oparcie, opuściła ją.

Dwukrotnie jeden z zamaskowanych Sarnieńskich Jeźdźców spojrział do góry, tam gdzie Kelsie przywarła do kamienia. Dziewczyna spłaszczyła się jeszcze bardziej, ale jakoś wciąż nie miała ochoty wycofać się z owego miejsca w labirynt ciemnych pasaży. W dole powstało jakieś poruszenie i Kelsie ujrziała czterech nowych- jeźdźców wychodzących z bocznego otworu, prowadzących przed sobą kilku jeńców. Kelsie nigdy nie widziała Thasów w pełnym świetle, nie miała jednak żadnych wątpliwości, iż to ich wleczono na sznurze tworzącym samozaciskowe pętle wokół każdej szyi, ciągnięto w ciemną czerwień blasku okrywającego występ ponad basenem: Jeńcy przypadli do ziemi, musiano ich ciągnąć. Kelsie była pewna, iż ponad sykiem każdej pękniętej bańki słyszała cieniutkie, rozpaczliwe piski.

Ale Thasowie opowiadali się za Ciemnością - czemuż więc Jeźdźcy Sarnów brali jeńców pośród tych, co stali po tej samej stronie? A może to jest tak, iż poplecznicy Zła nie trzymają się razem z byle powodu, współpracują ze sobą jedynie wtedy, kiedy jest to w jakiś sposób na nich wymuszone.

To, czego Kelsie była świadkiem, wstrząsnęło nią potwornie. Uwolniona z pierwszej pętli kosmata postać Thasa została wypchnięta do przodu przez dwóch jeźdźców za pomocą grubszego końca długiego drąga. On... a może to... chwiała się przez jedną czy

też dwie oszalałe sekundy na samym skraju basenu, po czym spadło. Rozległy się głośne, drażniące krzyki znikającego w misie płomieni stworzenia. Reszta Thasów rwała sznury wokół własnych gardeł, ciągnąc linę straceń do tyłu, choć Sarneńscy Jeźdźcy trzymali mocno. Nieszczęsny, którego pochłonał gorejący płyn, nie wychynał więcej na powierzchnię.

Kelsie przelykała wciąż i przelykała cierpką wydzielinę podchodzącą aż do gardła. Jeśli ci Jeźdźcy Sarnów zwykli tak traktować swoich sprzymierzeńców...: jakąż śmierć obmyślili dla wrogów? Kelsie poczęła wycofywać się cał po calu tą drogą, która ją tu przywiodła... nie pragnęła jednak utknąć w ciemnościach. Na drugim końcu balkonu, w pobliżu otworu, przez który przeszła, znajdował się jeszcze jeden. Toteż po chwili wątpliwości, kiedy sobie uprzytomniła, iż powrót do celi, w której ją porzucono, na nic się nie zda, postanowiła czołgać się w kierunku drugiego otworu, nie spuszczać przy tym oka z jeźdźców w nadziei, iż wcześniej się zorientuje, czy ją spostrzegli, czy nie. Ale oni wydawali się całkowicie pochłonięci popychaniem jeńców, jednego za drugim, ku ich przeznaczeniu.

Dziewczyna dotarła do otworu i wpełzła do środka, konstatując po chwili, iż pasaż ostro skręcał w prawo i chyba biegł równoległe do pomieszczenia z basenem. Zrobiło się ciemno. Kiedy Kelsie znalazła się już spory kawałek od wejścia, podniosła się, bo na ścianach pojawiły się łaty jakiegoś porostu wydzielającego ciemnożółtawą poświatę, a poza tym jej oczy przystosowały się już do ciemności. W ścianach nie było bocznych otworów i wkrótce Kelsie doszła do biegnących w dół schodów. Jeszcze raz się zawahała i dotknęła klejnotu, lecz on pozostawał martwy. Była zmuszona zdać się na własne decyzje i na własną siłę. Gdzież się podział Yonan? Kelsie robiło się słabo na samą myśl, iż być może został on już pożarty przez ową ognistą materię zamieszkującą okrągły basen. Teraz, kiedy znajdowała się już daleko od tamtego pomieszczenia, znowu odczuła mocną wibrację.

Nie pozostawało jej nic innego, jak zejść albo zawrócić, ale Kelsie wiedziała już, że nie ma czego szukać tam, gdzie była. Zaczęła więc opuszczać się w dół stopień po stopniu, jedną ręką szukając oparcia na ścianie, albowiem plamy owego żółtego porostu miejscami pochłaniały spore kawałki stopni.

Kelsie znów zaczęła liczyć, próbując zapamiętać położenie basenu i odgadnąć, czy schody sprowadzą ją poniżej jego poziomu, czy nie. Dotarła do dwudziestego stopnia, kiedy przyszło jej na myśl to, co przemknęło przez jej umysł w sali jeźdźców.

„Na prawo... Zawsze na prawo...” - posłyszała, kiedy nierówność stopni sprawiła, iż się potknęła i przytrzymała obiema rękami ściany, bojąc się przez chwilę, by nie zsunąć się i nie polecieć głową w dół po tych nie kończących się schodach.

Yonan? Czyżby ta wskazówka wyszła od niego? Ale jakoś nie umiała nic powiedzieć na ten temat. Miała

wrażenie, jak gdyby głos, który dotarł do jej umysłu przynosząc tę wiadomość, skrywał się między jakimiś zniekształconymi odgłosami. Przynęta wewnątrz pułapki? Nic nie mogła na to poradzić, lecz bez przerwy o tym myślała. A gdyby sygnał ów był prawdziwy i jakiś inny jeniec szukał pomocy, mogłabyż go zignorować? Zawsze istniała nadzieja, iż

ów ktoś wie więcej o tej budowlu niż ona, gdyby zaś zawróciła, mogłaby udaremnić osiągnięcie celu, który skłaniał ją do wędrówki poprzez te ciemności, „W prawo...!”

Słowo zanikało z wolna, aż wreszcie przepadło zupełnie. Kelsie zrobiła dwa kroki niezwykle ostrożnie, jako że żółty porost przecinający stopnie okazał się galaretowatą masą woniejącą smrodem rozkładu. Wreszcie dotarła do następnego pasażu, który rozdawał się przed nią w prawo i w lewo. Po raz pierwszy od momentu, w którym się tutaj ocknęła, poczuła nikłe ciepło w klejnocie, toteż chwyciła go w rękę. W samym jego sercu pojawiła się isierka światła, ale jeszcze zbyt mała, by pomóc. Jednak sam fakt, iż klejnot był w stanie rozświetlić się choć tak, dodał jej otuchy. Skręciła w prawo, jedną ręką ująwszy mocno kamień; podążyła we wskazanym przez tamten milczący teraz głos kierunku. Spróbowała w identyczny sposób sformułować w myśli pytanie, jednak niemal natychmiast przerwała tę czynność. Pośród okropności tego miejsca mogło przecież istnieć coś, co jakimiś metodami potrafiłoby wychwycić porozumiewanie się umysłów, a nie miała wystarczająco mocnego wsparcia w klejnocie, by tylko za jego pomocą zbudować swe zawołanie.

Droga ponownie się rozszczepiła i Kelsie jeszcze raz spróbowała skrócić w prawo. Niesamowita poświata idąca od galaretowatego porostu wzmogła się dzięki światłu z przodu... Nie była to tamta przerażająca czerwień z pomieszczenia z basenem, ale raczej blask właściwy owemu rozkładającemu się porostowi, tyle że stokrotnie pomnożony. Raptem Kelsie stanęła naprzeciwko dziury w ścianie, ale by się przez nią precyzyjnie, musiała opaść na czworaki. Trzęsło ją i zbierało się jej na wymioty od zapachów wydostających się z tajemniczego pomieszczenia, już nie pasażu, leżącego z przodu.

Rosły w nim porosty, które osiągały wysokość niewielkich drzewek. Pomiędzy nimi znajdowały się roślinne grudki czy też grzybopodobne bryłki w najróżniejszych kolorach, jak gdyby owe. bezkształtne ciała małpowały kwiaty czystego, leżącego powyżej świata.

Była tam również woda - a może był to jakiś inny płyn - która tworzyła niewielki strumyczek wijący się poprzez to ogromne pomieszczenie. Jego wezbrane wody lśniły czerwoną barwą, a na całej długości unosiła się mgiełka.

Poprzez nią Kelsie dostrzegła jakiś ruch. Ktoś lub coś przechadzało się tam i z powrotem na skraju mgły, która zalegała niewielką przestrzeń po obu stronach strumienia.

Yonan! Nie ośmieliła się zawołać go po imieniu ani nawet o nim pomyśleć. Ruszyła jednak naprzód wielkimi krokami, próbując omijać niewielkie porosty, z których każdy zgnieciony jej stopami wzmagał ogólny smród tego miejsca.

13

Pośród mgły zawieszanej nad strumieniem nie było mężczyzny w ochronnej kolczudze wojownika... Ten ktoś nosił szare odzienie, nie czarne jak Jeźdźcy Sarnów. Długa suknia świeciła dziurami... Strąki włosów zwisały aż na ramiona przechadzającej się postaci. Chociaż gdzieś się zapodziała metalowa siateczka na włosy i znikła cała stateczność stroju, Kelsie nie miała kłopotów z rozpoznaniem - Wittle!

Czarownica zatrzymała się, gdy tylko dziewczyna zbliżyła się do strumyczka, i stała ściskając obiema dłońmi własny klejnot z taką intensywnością, aż kostki palców wycisnęły się w postaci guzów na jej bladej skórze.

- A więc to ty... - W jej głosie nie było śladu powitania, nie pojawiło się też ono na chudej twarzy.

- Jak tu się dostałaś? - odzajemniła się Kelsie. Czy Wittle była w stanie korzystać ze swego klejnotu...? Jeśli tak, jak do tego doprowadziła w tym obrzydliwym miejscu Ciemnych Sił.

- Prowadził mnie szlak... okazał się fałszywy - odparła krótko czarownica. - A jak ty tu dotarłaś?

- Zniewolono nas na zewnątrz. - Kelsie przypuszczała, że to dzięki otworowi w brzuchu potwora doszła aż tutaj. - Czy twój klejnot wspomaga cię jeszcze?

Na szczupłych policzkach Wittle wykwitł rumieniec, ale nie w wyniku uderzenia krwi do głowy. Może przez jakieś dwa oddechy Kelsie myślała, że Wittle nie zamierza jej odpowiedzieć. Wreszcie czarownica się odezwała.

- Jego moc zmniejszyła się poważnie, ale nie zamarła. A co z tym, który ty z taką obłudą nosisz, ty z innego świata?

- Wciąż żyje! -- Kelsie nie miała wątpliwości, iż zatliła się w nim iskra ciepła; kiedy jui opuściła jaskinię z basenem. - Mimo to nie mogę go przywołać.

- A więc nie możesz! - rzekła oschle Wittle. - Czyżbyś chciała, aby te stworzenia Ciemności uświadomiły sobie, kogo pojmały? Chodź tu do mnie, połączmy swe siły, być może drogocenne kamienie, jeden obok drugiego, dadzą nam prawdziwy obraz tego, co nas otacza.

Kelsie nie miała ochoty przechodzić w bród przez parujący strumień. Zawróciła i ruszyła wzdłuż brzegu, chcąc sprawdzić, czy nie zwęża się on na tyle, by spróbować go przeskoczyć. Po krótkim czasie stwierdziła, iż tak jest rzeczywiście... chociaż rząd porostów po drugiej stronie nie obiecywał równego lądowania. Ale to, o czym Wittle napomknęła, warte było próby.

Kelsie znowu zawróciła, po czym biegiem zbliżyła się do strumienia i przeskoczyła go. Wylądowała na grzybach, które połamały się pod jej ciężarem, oblepiając ją cuchnącymi, lepкими plamami. Powstrzymała się jednak od próby szczyśczenia z siebie owej mazi ze strachu przed jakimś jadem - trudno było jej uwierzyć, by takie ohydne zbiorowisko śWierdzających plam nie okazało się trujące. Wiole oczekiwała jej, ale usunęła się na bok krok czy dwa, z każdym bowiem ruchem Kelsie wzmagął się cuchnący zapach:

Czarownica wskazała podłoże, po którym się przechadzała. Był to skrawek pokryty żwirem. Kelsie ostrożnie zgarnęła go nieco, by sczyścić tę wstrętną masę ze swego ciała.

- Klejnot! - Wittle nie pozostawiła jej wiele czasu na doprowadzenie się do porządku. Postąpiła do przodu, ułożywszy własny klejnot w obu dłoniach, i Kelsie posłusznie zrobiła to samo ze swym drogocennym kamieniem zawieszonym na łańcuchu na szyi. Gdy tylko klejnoty się zetknęły, natychmiast pojawił się niewielki błysk, a po chwili w każdym z nich zaśnił zaczątek światła.

- A więc... możemy je wykorzystać! - Wittle nie posiadała się z radości. - Spróbujmy!

Czarownica usadowiła się na splachetku czystego żwiru, wciąż zważając, by jej poszarpana suknia nie dotknęła oślizłego odzienia Kelsie. Jedną ręką nadal trzymając kamień, ułożyła go na ziemi i skinęła ku Kelsie, by ta zrobiła podobnie. Dziewczyna zawahała się.

- A gdy obudzimy Ciemności? - zapytała. - Sama przecież mówiłaś, że tak mogłoby się stać...

- Czekalabyś tutaj, aż przyjdą? Jaki pożytek miałybyśmy z tego? Już wiedzą, że mają w swych rękach czarownicę z Estcarpu. - Wyprostowała się z dumą. - Nie spodziewają się niczego ponad to, iż spróbuję się z nimi zmierzyć. Moc jest teraz podwojona... a więc może będzie jej dość, by przeniknąć niektóre z ich zapór.

Z wolna Kelsie umieściła swój klejnot obok klejnotu Wittle, uważając, by oba kamienie się zetknęły. W rezultacie powstał niewielki płomień, albowiem wewnętrzny blask każdego z klejnotów wystrzelił w górę, oślepiając obie kobiety na mgnienie, i zaraz przygasał, odsłaniając dwa połyskujące z jednakową mocą kamienie.

- Droga na zewnątrz... - Wittle pochyliła się do przodu, język jej przesunął się pieszczotliwie po dolnej wardze, jak gdyby właśnie ugasiła pragnienie jakimś odświeżającym napojem.

Ale Kelsie okazała się równie szybka w żądaniu: - Yonan!

Czarownica warknęła i wyciągnęła rękę, jak gdyby próbując pochwycić swój klejnot, ale nie przerwała całkowicie połączenia.

- Droga na zewnątrz! - Wittle wysunęła twarz do przodu tak mocno, iż kropelka śliny trafiła Kelsie w policzek. - Mężczyzna jest bezużyteczny... musimy iść własną drogą.

- Yonan - powtórzyła Kelsie z determinacją. Gdyby musiała wybierać między towarzyszami wędrowki, nie miałaby wątpliwości, kogo by wybrała.

Wydawało się, iż Wittle nie czuła się dość silna, by się jej teraz przeciwstawić, albowiem gdy Kelsie skupiła spojrzenie na dwóch połyskujących kamieniach i zbudowała w swoim umyśle wyobrażenie Yonana, takiego, jakiego ostatnio widziała, czarownica nie zaprotestowała po raz wtóry. Ale czy dodała własną moc do tych poszukiwań, Kelsie nie była w stanie stwierdzić.

Światło jakby ścięło się nad kamieniami. Klejnoty zniknęły, ponad nimi pojawiła się bowiem gładka powierzchnia, świecąca niczym lustro, i na niej to utworzył się cień, który wkrótce przemienił się w wyraźny obraz. Z głębokich ciemności błysk światła wydobył rękę ściskającą rękojeść miecza. Światło to przedzierało się między palcami i Kelsie stwierdziła czy też odgadła, iż skrawek Yonanowego żelaza quan wciąż pozostawał żywy. Czarny cień poruszał się w ciemności, dziewczyna sądziła więc, mimo że obraz był bardzo zły, iż wojownik z Doliny sunie takimi samymi pozbawionymi światła pasażami, jakimi ona sama ośmieliła się iść po przebudzeniu tutaj.

Kelsie pochyliła się ponad klejnotami i po prostu wysyczała do czarownicy:

- Przywołuj! Wołaj wraz ze mną, jeśli kiedykolwiek chciałabyś, abym ci w czymkolwiek pomogła.

„Yonan!” Zaledwie we własnym umyśle nadała kształt owemu słowu, poczuła nagły przyptyw wsparcia. Mimo wszystko zdołała zjednać Wittle. „Yonan!”

Kelsie spostrzegła, jak ciemny cień zatrzymał się, jak palce ześliznęły się z rękojeści miecza aż ku ostrzu. Quan nabrał mocniejszego blasku, a cień, który z pewnością należał do Yonana, skręcił w prawo. Kelsie dotknęła dłonią ręki czarownicy i poczuła, jak palcami wbija się głęboko w szczupłe ciało.

- Wołaj!

„Yonan!” Po każdym zawołaniu, wspomaganym przez

obraz utrzymujący się w jej umyśle, cień ów poruszał się nieco żwawiej, jak gdyby coś zmiotło z jego drogi ryzyko przypadku.

W ciemności coś świeciło, blado, ledwie dostrzegalnie... Dziewczyna pomyślała o połyskujących na ścianach grzybach. Ujrzała mężczyznę z miezem. Pozostawiono mu kolczugę i broń. Pewnie była to jedna z tych rzeczy, których porywacze się bali, nie tyle z powodu ostrza (choć Kelsie wiedziała, iż Yonan potrafił zrobić z niego dobry użytek), ile z powodu wprawionego w rękojeść talizmanu. Jej również nie zabrano klejnotu.

„Yonan!” Nadeszła nieśmiała odpowiedź. „Idę!”

- Głupiec! - Jeśli Wittle początkowo wspomagała Kelsie, teraz przestała już to czynić.

- Do czegoż on nam potrzebny? Te - dotknęła lekko swego klejnotu - wystarczą nam, by odnieść zwycięstwo.

- Przywołuję tego, który jest jednym z nas... - zaczęła Kelsie, a jej gniew przemieniał się w owo wewnętrzne uniesienie, które mogłoby skłonić ją do takiej lekkomyślności jak ta, co rzuciła ją do tego niebezpiecznego kraju. - On...

- Jest mężczyzną! - przerwała jej czarownica. - Jakaż rozporządza mocą poza mocą własnego ramienia? Niepotrzebna nam broń...

- Z wyjątkiem tego... - przypomniała jej Kelsie, wskazując dwa leżące między nimi klejnoty.

Wittle skrzywiła się.

- Ich moc jest nam przypisana. Musimy użyć wszelkich swoich zdolności, by ją przywołać. Byłaś jedną z sióstr... Głos jej zamarł, a z oczu wciąż wyglądała uraza, którą Kelsie zawsze w nich widziała.

- Nie jestem! - zaprzeczyła szybko Kelsie. Nie wiedziała, czemu klejnot ożył w jej rękach, odrzucała myśl, by jakaś jej częśćka była pokrewna tej chudej, zgorzkniałej kobiecie.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała.

Wittle zasznurowała usta, jak gdyby wątpiła w sens pytania Kelsie. Potem odpowiedziała.

- To miejsce należy do Sarneńskich Jeźdźców. Wiemy cośkolwiek o nich, ale niewiele...

- I żadna z tych wieści nie mówi o nich nic dobrego dokończyła Kelsie, kiedy czarownica się zawahała. - Kim są więc?

- Służą znaczniejszym spośród Ciemności. A kim są i czemu im służą... - Wittle wzruszyła ramionami. Zarówno Światłość, jak i Ciemność przyciągają najdziwniejszych partnerów. W Estcarpie wiedziałybyśmy. Tutaj... - Uczyniła nieznaczny gest

ręką zawieszoną nad klejnotem. - Nie potrafię powiedzieć. Tym z Doliny przewodzi tylko jeden wtajemniczony z prawdziwego zdarzenia. Może ich tam pozostawiać więcej. Nie wszyscy zostali zniszczeni przez swych wrogów lub odwołani do innych światów.

Po raz pierwszy Wittle zdawała się zmuszona do mówienia. Kelsie z zadowoleniem na to przystała. Im więcej zdoła się dowiedzieć, tym lepiej, nawet gdyby większość z tego, co mówi Wittle, była tylko domysłami.

- A ci wtajemniczeni...? - zachęciła.

- To ci, którzy są w stanie rządzić wszystkim. Niektórzy wycofali się i nie trzymają ni ze Światłością, ni z Ciemnością, lecz podążają swoimi własnymi ścieżkami. Inni wdali się w walkę o moc i nastąpiły wojny, ach, jakie wojny! Nawet ziemia została obrócona do góry nogami przez siły, które przywołali. Tkanka życia może być bowiem zmieniona, jeśli tylko wola jest wystarczająco wielka.

Kelsie wspomniała opowieści, które zasłyszała w Dolinie. - Czyż to nie twe własne siostry sięgnęły po taką moc? Czyż to nie one ruszyły z posad góry za pomocą rozkazu, dzięki czemu wróg nie zdołał do nich dotrzeć?

- Dlatego też pomarły - zauważyła posępnie czarownica. - Albowiem moc, którą wtedy przywołałyśmy, wypaliła do szczytu wiele sióstr. A zatem... zatem musimy znaleźć to, co znów nasyci nasze klejnoty taką wielką Mocą, jakiej nigdy nie zaznały.

- I sądzisz, że tę wielką moc tutaj znajdziesz?

- Ciągnęła nas... bo podobne przyciąga podobne, a mając klejnoty nasycone tą samą energią co Moc, dotrzemy ~ końcu do jej źródła. Nie, głupia, ono nie znajduje się tutaj, żaden z nich - ponownie uczyniła niewielki gest ręką - nie byłby w stanie tu żyć. Tutaj... - Sięgnęła za siebie i ściągnęła wyplamioną podróżną sakwę, bardzo podobną do tej, którą Kelsie zostawiła przy jamie Thasów. - Jedz i pij...

Jak gdyby te dwa słowa stanowiły sygnał, zarówno wysuszone gardło Kelsie, jak i jej pusty żołądek dały znać o sobie. Dziewczyna wyciągnęła metalową flaszeczkę i pozwoliła sobie na kilka łyków mdłej, cuchnącej stęchlizną wody.

Wiole znowu pochyliła się do przodu, wpatrując się bacznie w aureolę przymglonego światła, otaczającą oba kamienie. Światło wydobywało się z miejsca, w którym stykały się klejnoty. W końcu czarownica poczęła inkantację głosem ledwie wyższym od szeptu, kreśląc wskazującym palcem jakieś symbole w powietrzu. Tym razem jednak nie pojawiła się odpowiedź w postaci niebieskich linii.

Kelsie przesunęła się do przodu, by zobaczyć obraz, który wymalowały klejnoty. Ale to, co dostrzegła, składało się z szeregu linii, które mogłyby tworzyć jakiś nieznaną rękopis. Kelsie zmartwiła się tym, iż Wittle przywołała coś takiego w samym sercu wrażej twierdzy.

Czarownica mrużąc powtarzała wciąż rytmicznie dziwaczne słowa, Kelsie tymczasem obróciła raptownie głowę, usiłując spojrzeć ponad ramieniem. Uczucie, że jest obserwowana, ogarnęło ją dość nieoczekiwanie, było jednak tak silne, iż wcale się nie zdziwiła, dojrzawszy niewyraźną postać posuwającą się pośród mgły unoszącej się znad czerwonego strumienia.

Kelsie trzymała w ręku nóż gotowy do obrony. Na jej ostrzegawczy syk Wittle nie tylko nie podniosła oczu, ale nawet nie przerwała koncentracji nad kamieniami. W chwilę później jednak Kelsie skoczyła na równe nogi i szarpnąwszy z ziemi drogocenny klejnot, ruszyła w mgłę wołając ku owej postaci:

- Yonan! Tutaj!

Jej krzyk niemal zatonął w pisku Wittle, kiedy połączenie między kamieniami zostało przerwane. Czarownica rzuciła się na Kelsie, tarosząc łańcuch zwisający z ręki dziewczyny. Kelsie musiała się odwrócić, by odeprzeć atak, nie widziała więc, jak Yonan wykonał skok, który przyniósł go na ten skrawek ziemi wolnej od cuchnącej roślinności.

- Kamień... Oddaj mi kamień! - krzyczała Wittle. O mało się nie dowiedziałam... głupia dziewucho. Prawie otarłam się o tego, kto tu rządzi.

- Bądź zadowolona, żeś go nie dotknęła naprawdę. , To powiedział Yonan. Jego twarz okrywały plamy skrzepłej krwi. Gdy mówił, odpadała mu płacem ze skroni. Jedną rękę złożył na piersi, dłoń zatknąwszy za pas, z którego zwisał miecz. Drugą ścisnął brzeszczot w pobliżu głowy, dzięki czemu żelazo guan było zupełnie odsłonięte. Usta ściągnęły mu się w ból.

- Jest nim Nexus... - dodał, gdy podszedł bliżej. Kelsie słowo to nic nie mówiło, myślała więc, iż Wittle jest podobną ignorantką, dopóki cień nie przeciął nagle spiczastej twarzy czarownicy.

- To legenda - powiedziała tym samym cierpkim głosem, jakiego zawsze używała, gdy rozmawiała z Yonanem.

- W Escore wiele legend okazuje się prawdą - odparł. - Gdy zmierzałaś tu... nie widziałaś Foogera...?

- Spałam, bo byłam zmęczona... obudziłam się tutaj... - rzekła czarownica. - Fooger...! - Wyglądała tak, jakby coś chropawego ją oparzyło.

- Fooger. Znajdujemy się w jego wnętrzu, czarownico! I nie sądzę, by jakkolwiek przypisana ci moc zdołała nas stąd wyciągnąć.

Wittle wskazała drogocenny kamień wciąż kołyszący się w ręku Kelsie. - Mamy dwa - skinęła w kierunku miecza - a co ty masz u boku?

- To przeciwko tym, co uformowali Foogera... - Usta młodego mężczyzny wygięły się w kącikach w coś, co z pewnością nie było uśmiechem, natomiast niewątpliwie sugerowało drwinę.

- Niewielkie kamienie rozbijają w puch wroga nie tylko dobrze uzbrojonego, ale dysponującego również takim orężem, o którym przedtem nie mogliśmy nawet słyszeć. Jak się tu dostałaś, lady? - Zwrócił się tak gwałtownie ku Kelsie, iż ta odpowiadając zająknęła się przy pierwszym słowie. Jednak opowiedziała możliwie prędko, jak wędrowała w dół ciemnymi pasażami i dotarła ostatecznie do tego oto miejsca dzięki pośrednictwu czarownicy.

Yonan ściągnął mocniej brwi.

- Zatem i ja również zostałem tu ściągnięty... przez twe wołanie. Czyżbyś sądziła może, że to, co trzyma nas w swych łapach, zapragnęło widzieć nas razem, aby od-

czekawszy przekonać się, co też zrobimy, jaką moc jesteśmy w stanie przywołać, aby się stąd wydostać?

Kelsie zaakceptowała logiczne przesłanki takiego rozumowania, ale Wittle potrząsnęła głową energicznie.

- Coś takiego, jak to, co stworzyłeś w swym umyśle, wojowniku, nie życzyłoby sobie, aby w jego twierdzy użyto nawet najsłabszej broni właściwej Światłości. Utrzymanie równowagi świadczy o mocy, a jeśli ta równowaga zachwiała się choć odrobinę, nie więcej niż na szerokość palca, nawet mniej, wówczas wszystko w jej granicach jest naruszone. Jak myślisz, czemu pozostawili nam to? Machnęła klejnotem w kierunku twarzy Yonana. - Ponieważ nie potrafiąc obchodzić się z czymś, co mogłoby być pobudzone do życia, nie chcą się do tego wtrącać. Tak, to prawda, że mogli połączyć nas dla jakiegoś swojego celu, ale może to być również coś w rodzaju próby... chcą sprawdzić, czy odważymy się zmierzyć z ich potęgą.

- Wciąż powtarzasz „oni” - rzekł Yonan. - Kim więc ci oni są? Jeźdźcami Sarnów czy Thasami? Znamy im podobnych. Ale Fooger...

- Najprawdopodobniej leży martwy! - warknęła Wittle. - A czym jest śmierć, jak nie Bramą, my zaś, wtajemniczeni, znamy wiele bram. Czyż Hilarion, jeden z wtajemniczonych, nie został przywołany z powrotem właśnie przez taką bramę, którą jeszcze sam sobie otworzył, kiedy zdrajczyni, córka Simona Tregartha, poczęła mieszać się do nie swoich spraw. Tak więc powiadam „oni”, a ty powinieneś wiedzieć, kim czy też czym ci oni mogą być. Przypomnij sobie najczarniejsze zmyry nocne i stawiaj na Światłość w walce z tym, co nadchodzi z Ciemności, wojowniku.

- Jeśli poddają nas próbie, po cóż zebrali nas razem? - zapytał Yonan w zadumie, tak jakby zadał to pytanie sobie, a nie Wittle. Kelsie zaś pomyślała, że mogłaby na nie odpowiedzieć.

Usadowiła się znowu na splechietku czystego żwiru, przerzucając klejnot z jednej ręki do drugiej.

- Chcą się przekonać, czego możemy dokonać, kiedy spróbujemy bronić się... we troje...

Wittle zaszczyliła ją wykrzywieniem ust.

- Czyż już o tym nie mówiłam? Czyż już nie daliśmy pokazu siły SCHODZĄC SIĘ tutaj?

Yonan stał rozglądając się po jaskini. Była prawdopodobnie większa niż ta, w której znajdował się ognisty basen, ale znaczną jej część zapełniały porosty. Ich uporczywy smród przyprawiał Kelsie o mdłości, tak iż niewiele brakowało, by dziewczyna zrzuciła te kilka kęsów pożywienia, które zjadła. Yonan pierwszy zaczął działać. Nie uprzedziwszy Wittle ani słowem, końcem swej zaczarowanej broni narysował wokół całej trójki pięcioramienną gwiazdę, żłobiąc głęboko w piasku i żwirze i starając się nie przerywać linii. Wittle obserwowała go i po raz pierwszy Kelsie spostrzegła cień zdziwienia na twarzy czarownicy.

- Co robisz? - zapytała rozkazująco.

Yonan ani jej nie odpowiedział, ani na nią nie spojrział,

ale z woreczka przy pasie wyciągnął coś, co było owinięte w zeschnięty liść. Kelsie dobiegł niezapomniany aromat illbany. Przy każdym wierzchołku ramienia gwiazdy młody mężczyzna zwracał się twarzą na zewnątrz i nabijając kawałki zgniecionej rośliny na czubek miecza, wtykał ją w ziemię.

- Głupi! - Wzłote ożywiła się i ruszyła z miejsca, jak gdyby chciała zmazać rysunek najbliższej siebie. Yonan obrócił się niespodziewanie i błyskawicznym ruchem smagnął tuż przed nią w dół mieczem, unieruchamiając ją w ten sposób.

- Przyjdą - zapiszczała, obiema dłońmi ujmując klejnot. - Cóż to za pomysł, by zakładać miejsce chronione przez moc w ich własnej twierdzy... Jesteś szalony.

- Jestem tym - odparł - który chce ujrzeć swego przeciwnika. Walka na ślepo jest daremna. Weź - zwrócił się wprost do Kelsie - swój klejnot i... - obrócił się odrobinę ku Wittle - znasz symbole... zrób z nich użytek i pozwól się jej naśladować. Jesteśmy uwięzieni w tej twierdzy, lepiej, byśmy się dowiedzieli, co nas czeka.

Przez długą chwilę Kelsie myślała, że Wittle odmówi. Potem sztywno, jak gdyby każdy gest, który wykonywała, był na niej przez kogoś wymuszony, ukłękła i wyciągnęła długą, chudą niczym kij rękę, by czubkiem własnego klejnotu narysować na sypkiej ziemi tu linię, tam koło... a jeszcze gdzieś indziej jakiś bardziej skomplikowany znak. Kiedy zakończyła czynności w pierwszym z ramion gwiazdy, Yonan skinął na Kelsie i dziewczyna przysiadła na piętach próbując odrysować symbole... choć mocno wątpiła w swe umiejętności dokładnego kopiowania. Gleba była bardzo miękka. Wewnątrz gwiazdy obie kobiety pełzały na czworakach, a Kelsie, najlepiej jak umiała, powieliała wszystko to, co nakreśliła Wittle.

Dziewczyna była niemal pewna, że czarownica sprzeciwi się całkowicie poleceniom Yonana, ale ona potulnie go posłuchała. Być może pomyślała, że to, co robią, mogłoby przyczynić się do utworzenia - choć na jakiś czas wyspy bezpieczeństwa.

Ale to nie miało działać w ten sposób. Bo kiedy czarownica zrobiła, co do niej należało, i powstała - a Kelsie tuż za nią - błysnęła w kierunku Yonana żółtawymi zębami, co z pewnością nie miało nic wspólnego z uśmiechem.

- A więc... przynęta założona, wojownika. Co spodziewasz się ożywić lekceważąc panującą tu równowagę?

- To, co i ty, tak jak i ja, pragniesz ujrzeć - odparł. Nie walczę na ślepo, kiedy mogę walczyć otwarcie.

- Doigrasz się - zachichotała. - O tak, doigrasz się! Kelsie poczęła obracać się z wolna wokół miejsca, gdzie stała, starannie badając roślinność ze wszystkich stron. Porosty wydawały się groteskowe, a w takim gąszczu mogłoby się coś czołgać w ich kierunku, niewidoczne, dopóki nie dotarłoby na sam skraj otwartej przestrzeni. W to, iż stali się przynętą, Kelsie mocno wierzyła.

Ale w miarę upływu czasu serce jej się uspokajało. Nie zauważyła, by się coś ruszało, porosty pozostały, jakie były. Nic nie wynurzyło się też z rzeki. Wittle odezwała się pierwsza.

- Wiedzą, iż jesteśmy bezradni - zauważyła ponuro. - Czemuż się nami kłopotczą?

- Równowaga - rzekł Yonan stanowczo. - Równowaga. W sercu ich własnej twierdzy pojawiło się oto coś takiego. - Mieczem wskazał gwiazdę. Kelsie wydało się, że czuje rozkoszną woń świeżej illbany zmieszanej z odorem porostów.

Wąs mgielki wychynał z mroku otulającego strumień. Przypominał niemal powróż, którego Yonan używał do ściągania w dół ptaków podczas polowania, tyle że wąs ów był wycelowany w ich kierunku. Wił się w powietrzu niczym błyskawice biczów. Ale kiedy dotarł do gwiazdy, odskoczył do tyłu.

Wiole ponownie wydała chrapliwy dźwięk, który oznaczał śmiech.

- Czyżbyś myślał, że to już wszystko, co mają do wysłania przeciw nam? - zapytała.

Yonan nie odpowiedział. Pochylił się i podniósł jeden z niewielkich kamieni, które gęsto okrywały piasek u jego

stóp. Chuchnął nań, a potem splunął i roztarł ślinę kciukiem. Skończywszy przesunął trzykrotnie kamieniem po żelazie guan na rękojeści swego miecza i wywołał imię, które już kiedyś - jak Kelsie słyszała - przywoływał.

- Ninutra!

Yonan cisnął owym kamieniem prosto w myszkujący jęzor mgły i przebił ramię oparu, który uniósł się na chwilę, dzięki czemu Kelsie widziała, jak kamień wpadł do czerwonej rzeki. Płyn w strumieniu zmaścił się, wzburzył, pojedyncze krople wzbily się do góry, zraszając wokół roślinność, która z miejsca zamieniła się w czarną, cuchnącą płynną masę. Mgła wróciła .z powrotem do swego źródła.

- Dziecinne igraszki! - podsumowała Wittle. - Kim jest Ninutra? Którąś spośród tych od dawna zaginionych przedstawicielek Starych?

- Gdyby nawet zaginęła - odparł Yonan - pozostawiłaby po sobie z pewnością jakieś siły. Służę pani, która tutaj i teraz jest jej wybranym głosem. L..

- Spójrz! - przerwała mu Kelsie.

Z rzeki, stamtąd gdzie spadł kamień, wynurzyło się coś, co przeszło ją zimnym dreszczem i przyprawiło o mdłości. To coś prawdopodobnie było niegdyś żywą istotą - musiało być - teraz jednak przedstawiało się jako coś znacznie gorszego niż poddane śmiertelnemu rozkładowi własne wcielenie. Wysyłając jakby w ten sposób do walki jednego ze swych niewolników, rzeka wyrzuciła na brzeg istotę, która przypominała półszkielet obciążony rozgotowanym i przypalonym mięsem. Byłże to mężczyzna, a może ongiś był to mężczyzna? Kelsie nie chciała na to patrzeć, zapragnęła zamknąć oczy, ale nie mogła.

Z wolna, niezdarnie istota podniosła się i obróciła po raz pierwszy kuleczkę głowy w ich kierunku. Kelsie krzyknęła. Te zgrubiałe, nalane rysy należały do kogoś, kogo znała... do Yonana.

Usłyszała obok siebie szept młodego mężczyzny. - Urik... NIE!

Wittle tymczasem chwyciła klejnot i krzyknęła wielkim głosem:

- Makeease!

Na pół zżarte rysy owego stworzenia wykręciły się i zmieniły... dziewczyna ujrzała zmarniałą, uwiędłą Dahaun, w chwilę później Simona Tregartha. Od czasu do czasu słyszała, jak jej towarzysze nadawali owej zmorze zupełnie inne imiona.

To coś ruszyło na niepewnych nogach, obdartych aż do kości, w kierunku gwiazdy. Kelsie ścisnęła klejnot, odmawiając w swym umyśle temu czemuś wiarygodności to nie mogło być prawdą. To nie była prawda! I gdy owo stworzenie jeszcze raz przeistoczyło się w Yonana, Kelsie krzyknęła:

- Nie, to nieprawda!

Yonan... nie było już Yonana, Dahaun ani najstarszego Tregartha. Jej własna uwięźla twarz wieńczyła powłóczącą nogami postać.

Kreatura chwiała się tam i na powrót na swych kościstych nogach posuwając się, a Kelsie, skulona, rzuciła się do tyłu. Wittle jednak, wysunąwszy rękę, chwyciła ją, nim dziewczyna zdążyła przekroczyć gwiazdę.

- Iluzja! - zaskrzeczała czarownica. Kelsie dostrzegła, jak jej wąskie usta drżą, jak gdyby Wittle ledwie co stłumiła jakiś sobie tylko znany okrzyk. - Igrają iluzjami! - Wyciągnęła rękę, kierując klejnot w stronę stworzenia ze strumyczka.

Głowica miecza nie rozjaśniła się od uderzenia mocy, jak to się działo w podobnych wypadkach, jedynie wokół kamienia, przywierając doń, rozlała się nieznacznie niebieskawa mgiełka. A owa okropność wciąż posuwała się do przodu. Yonan przygotował broń. Kiedy stworzenie dotarło jednak do gwiazdy, poczęło przestępować z nogi na nogę, jak gdyby znalazło się naprzeciw jakiejś przeszkody nie do przebycia.

- Ach... - Wittle wydała dźwięk przypominający długo ciągnięte westchnienie ulgi. - Jak dotąd Stara Wiedza działa... jak dotąd?

Powłócząc nogami postać zwróciła się najpierw w prawo, a potem w lewo, jak gdyby próbowała znaleźć jakiś przesmyk, chcąc dosięgnąć swej zdobyczy. Kelsie wydawało się, iż z każdą chwilą owo stworzenie stawało się masywniejsze i rzeczywistsze. Wciąż obnosiło jej twarz. Dziewczyna

sądziła jednak, że to coś ukazywało inne oblicze każdemu z dwojga jej towarzyszy. Wszystko wokół zadrżało w posadach, stworzenie kiwnęło się tam i sam, a potem poleciało głową do przodu, jak gdyby jakaś olbrzymia pięść trafiła je w plecy i skłoniła tym sposobem do walki. Stwór padł w poprzek jednego z ramion gwiazdy; buchnęło światło, oślepiając Kelsie. Po chwili dziewczyna przejrzała co nieco.

Tam, gdzie upadła owa istota, pojawiła się kupa jakiejś cuchnącej substancji, poruszającej się niemrawo bezustannie, jak gdyby siła, która stworzyła takie pseudożycie, wciąż je do czegoś ponaglała. W chwilę później substancja przeobraziła się w czarny popiół. Całe to zdarzenie było kluczem, który otworzył wzniesioną przez Yonana fortecę, toteż Kelsie poczuła chłód zupełnych ciemności, przez które jeszcze nie tak dawno szła, napływający z impetem z przerwanego ramienia. Zimno przyłgnęło do niej, spowijając ją ze wszystkich stron, i choć dziewczyna niczego nie dostrzegła, wyczuła lepką materię, która ją zniewoliła. Wittle ręką, w której dzierżyła klejnot, uderzyła w owo otaczające Kelsie powietrze, a Yonan trzasnął w nie głowicą miecza, brzeszczot ściskając palcami. Ale nadaremnie.

Kelsie została pozbawiona możliwości jakiegokolwiek ruchu. Niewidoczna pajęczyna miała ją teraz całkowicie w swej mocy, dziewczyna nie była nawet w stanie przeciągnąć palcem po powierzchni własnego klejnotu, Widziała, jak ramię Wittle opada do boku zwalone jakimś potężnym podmuchem, jak zawodzi obrócony miecz Yonana. Wszyscy zostali pojmani przez coś, co przedarło się przez granice gwiazdy. Później, wbrew woli dziewczyny i bez jakiegokolwiek jej udziału, ręka, którą trzymała łańcuch z klejnotem, poczęła drżeć i trząść się. Ale palce Kelsie zaciśnięte na ogniwach łańcucha ani drgnęły. To w te, to wewte coraz to gwałtowniej rzucało jej ręką, drogocenny kamień podrygiwał, nie zerwał się jednak ani nie stracił kontaktu z jej ciałem. Raptem Kelsie wyobraziła

sobie, jak klejnot leci i opada łagodnie na dno czerwonego strumyka, będąc przy tym mocno przekonana, że jeżeli ma uratować swe życie, coś takiego musi się wydarzyć. W chwilę potem nasunęło

się kolejne wyobrażenie: młoda czarownica umierająca na stoku wzgórza, jej usta układające się na kształt własnego, strzeżonego przed innymi imienia, kiedy przekazywała je Kelsie. W wyobraźni dziewczyny pojawił się również łeb kota, dziki kot z rozwartym groźnie pyskiem, rzucający wyzwanie McAdamsowi, gotów poświęcić życie dla kocia i wolności.

Coś rzucało ramieniem Kelsie we wszystkie strony, a ból spowodowany owymi gwałtownymi machnięciami szarpał jej mięśnie i stawał się coraz intensywniejszy. To coś zaczęło także wykręcać rękę dziewczyny, gdzieś ją ciągnąć. Łańcuch zaś wciąż do niej przywierał, jak gdyby stanowił jej część, i nic nie mogło go od niej oderwać, dopóki wróg, kimkolwiek czy też czymkolwiek miałby on być, nie oderwałby go razem z ciałem od kości. Kelsie dwukrotnie krzyknęła z powodu nagłych uderzeń bólu, pomimo danej sobie obietnicy, że wytrzyma, na pewno wytrzyma.

Widziała zarówno Yonana, jak Wittle. Stali oboje sztywno niczym posągi i żadne z nich nie wydawało się napastowane. Czyżby to, co ich wszystkich zaatakowało, sądziło, że z całej tej kompanii ona była tą najsłabszą, tą jedyną, która załamie się niezawodnie? Gdzieś pod warstwą strachu, który opanował ją z chwilą, kiedy tylko owo stworzenie wynurzyło się spośród mgły, wrzała w niej złość. Uczucie to wzmoгло się, gdy atak się podwoił w swym szaleństwie.

Rozmyślnie przywołała w tym momencie obraz umierającej młodej czarownicy. Nie mogła zwrócić się do Wittle być może ta odpierała właśnie podobny szturm... ale Wittle przeszła przez liczne progi wtajemniczenia, wspomagana przez swój kamień była kimś, kim Kelsie zupełnie się nie czuła. Jak kocica naprzeciw McAdamsa, Kelsie protestowała głośno, próbując jednocześnie wyrwać owej mocy kontrolę nad własnym ciałem.

Kelsie czuła się zła i sfrustrowana... ale uczucie to nie należało do niej, nadciągnęło skądś z daleka. W chwilę później otrzymała niespodziewanie cios między łopatkami i osunęła się na kolana, otoczona zewsząd owym przejmującym smrodem oznaczającym Zło.

Coś ryknęło wysokim, skrzekliwym głosem i w tym samym momencie Kelsie otrzymała cios w tył głowy, padając jak długa pod jakimś ciężarem przygniatającym jej plecy. Żwir zgrzytał pod policzkiem, ciało wstrząsało się od ciosów. To coś chwyciło ją za rękę, wyginając boleśnie do tyłu. Usiłowało energicznie potrząsać nadgarstkiem. Łańcuch jednak pozostał taką samą jej częścią, jak palce zaciśnięte na jego ogniwach. Kelsie próbowała zrzucić z siebie ów ciężar, a gdy zdołała obrócić twarz, zobaczyła jednego z tych, którzy przysiedli na niej okrakiem - kosmatego, pokrytego czymś w rodzaju korzeni - Thasa.

To sługa Sarnów chwycił ją za rękę. Kelsie poczuła ostre ugryzienie, a potem konwulsyjne drgawki usadowionego na niej stworzenia. Wreszcie Thas stoczył się z niej i leżał obok; jego podobne do korzeni palce, jego chude ręce wyginały się gwałtownie w powietrzu. Dziewczyna pochwyciła spojrzenie czerwonych oczu w przerażająco

nieforemnej twarzy; w sekundę później oczy te zmętniały. Kończyny Thasa opadły na żwir bezwładnie i nie zdołały się już unieść.

Yonan... Czyżby ją uwolnił używając swego miecza? Wittle widziała zapewne wszystko, wciąż stojąc i patrząc szeroko rozwartymi oczami nie na to, co działo się na ziemi tuż u jej stóp, lecz na mgiełkę osłaniającą strumyczek, jak gdyby spodziewała się kolejnego ataku z tamtej strony.

Kelsie próbowała podciągnąć nogi, unieść się na kolana. Skorupa zimna trzymała ją jeszcze częściowo w uścisku, ale atak Thasów wydawał się nadwerężyć ową powłokę, bo w tej chwili Kelsie miała wrażenie, jak gdyby opadła z niej sieć podarta w strzępy.

Dziewczyna z trudem obróciła rękę i zobaczyła ślady zębów na nadgarstku. Powoli sączyła się z niego krew, zalewając strugami zarówno łańcuch, jak i kamień. Bolało ją wszystko, z wolna udało się jej jednak unieść na kolana i przycisnąć zraniony nadgarstek do ciała.

Yonan stał, tak jak Wittle, zwrócony obliczem na zewnątrz gwiazdy. Kelsie wszakże widziała jego twarz, nie

tak spiętą jak twarz czarownicy, młody mężczyzna usiłował bowiem pochwycić jej wzrok.

Usta miał otwarte, jak gdyby wydawał wojenny okrzyk, którego Kelsie nie~słyszała.

Pod wpływem jakiegoś impulsu dziewczyna wyciągnęła ociekającą krwią rękę i oparła ją o kolczugę okrywającą udo Yonana. Dreszcz przebiegł przez jego ciało, Yonan obrócił głowę i przyjrzał się Kelsie. W chwilę później pochylił się, by ją podtrzymać, po czym pomógł jej wstać, martwego Thasa zaś kopnął gdzieś w bok, chcąc bardziej się do niej zbliżyć. Jeśli Wittle nadal tkwiła w więzach, on był wolny.

Wyciągnął rękę, by dotknąć ugryzionej dłoni dziewczyny, palce jego jednak zaraz odskoczyły, jak gdyby ktoś w nie uderzył. Czymkolwiek było to, co usiłowało odebrać jej łańcuch z kamieniem w czasie ataku, jeszcze nie zrezygnowało. Yonan obrócił swój miecz, ostrożnie wysuwając rękojeść, tak iż ta znalazła się w pobliżu niezwykniętego łańcucha.

Żelazo guan z łatwością przesunęło się przez to coś, zaczepiło o pętlę łańcucha i ściągnęło go z wciąż krwawiącej rany.

Kelsie czuła, że jej drugie ramię i dłoń mrowią, powracając jakby do normy po ustąpieniu paraliżującej siły. Wyciągnęła palec i dotknęła łańcucha. Z chwilą kiedy to uczyniła, przeciwnicy puścili, była więc w stanie wziąć łańcuch z klejnotem do drugiej ręki.

W końcu przysiadła. Pulsowanie w nadgarstku w niczym nie przypominało właściwej temu miejscu wibracji. Zraniona ręka spoczywała na kolanie, tam gdzie ułożył ją Yonan, owinąwszy ranę kawałkiem koszuli Kelsie i przysypawszy pyłem z illbany, który zdołał jeszcze wytrząsnąć ze swego woreczka. Wittle zamrużyła powiekami, jak gdyby obudzona ze snu, a potem obróciła głowę, by się im przyjrzeć. Yonan kopnięciami usunął ciało Thasa poza obręb gwiazdy. Choć później odrysował ją ponownie ostrzem miecza, nie miał już wystarczającej porcji ziół, by móc powtykać je w ziemię na opiekuńczych ramionach gwiazdy.

- Nie odniosłeś zwycięstwa... - Wittle przerwała milczenie, które trwało od momentu ataku Thasów. - To był jedynie próbny manewr. Chcieli się dowiedzieć, jakimi rozporządzamy mocami.

A wybrano mnie, pomyślała Kelsie, chociaż nie zdradziła się głośno ze swym podejrzeniem, jako najsłabszy punkt obrony. Yonan odgadł zapewne jej przypuszczenia, bo powiedział:

- Wysłali Thasów. Nie użyliby siły tego rodzaju, gdyby sądzili, że mogą pojmać nas jedynie za pomocą woli czy też mocy. Oni...

Kelsie ponownie opuściła na szyję łańcuch z klejnotem; spoczął on na jej piersi akurat powyżej miejsca, na którym ułożyła pogryzioną rękę.

Kim o n i są? - Mimo że wcześniej próbowała dowiedzieć się tego od Wittle, teraz zapytała młodego mężczyznę.

- Jednymi ze Starych... może nawet któryś z wtajemniczonych związał się jakoś z tą krainą. Ale pochwyił on za pomocą swych sił coś, czego nie może ani w pełni pojąć, ani poskromić. - Yonan znów znalazł się wewnątrz gwiazdy, odrysowując linie. - W samym sercu swych włości ma bowiem... nas!

Wittle obróciła głowę. Jej twarz była pozbawiona wyrazu, za to oczy błyszczały. Kiedy się odezwała, mówiła prosto do Kelsie, ignorując wojownika.

- Czym ty, cudzoziemko, która występujesz przeciwko Ciemności, rozporządzasz? Co to za moc, nad którą sprawujesz władzę?

Kelsie potrząsnęła głową.

- Żadna z tych, o których wiem cośkolwiek. Czy oni wrócą? - Za pierwszym razem stanęła do walki; nie była pewna, czy zdołałaby stawić czoło po raz drugi.

- Tak jak powiedział - Wittle wskazała podbródkiem w stronę, gdzie stał Yonan z nogą nieznacznie odsuniętą na bok, jak gdyby tuż przed przystąpieniem do walki, całą uwagę skupiwszy w owej chwili na mgielce otulającej strumień - znajdujemy się na terytorium, którego władca,

kimkolwiek czy też czymkolwiek on jest, mógłby nas zniszczyć... albo przegnać. Wojownik! - Czarownica podniosła nieco swój drażniący głos. - Spójrz na miecz. Będziemy zmuszeni zmierzyć się jeszcze z najgorszym, a ono dopiero nadciągnie. Co robi się z kawałkiem kamyczka, który uwiera w bucie... wytrząsa się go. Może równie dobrze stać się i tak, iż on czy też ono... albo ona... nie zechce użyć całej swej siły, by nie narazić na szwank umocnień chroniących to miejsce. Dlatego... owo coś wpierw nas stąd wytrząśnie...

Jak gdyby jej słowa były czarodziejskim zaklęciem, w paśmie mgły nadrzecznej zaszła nagła zmiana. Opary rozstały się na boki, odsłaniając wąski skrawek brzegu na który Kelsie wcześniej przeskoczyła, chcąc się tu dostać - i zapraszając najwyraźniej do wyjścia.

Opuszczając w ten sposób owo miejsce, mogliby z łatwością zostać wytropieni w którymś z pasaży wychodzących z jaskini. Nadgarstek Kelsie pulsował, toteż dziewczyna obejmowała klejnot drugą ręką, właściwie przytrzymała zmatowiały kamień, który nie dawał żadnej odpowiedzi na to zaproszenie.

Yonan posuwał się z wolna ku miejscu, z którego tamto obrzydliwe stworzenie, wynurzywszy się ze strumienia, przypuściło atak. Ostrożnie obszedł podsychającą na piasku substancję i zatrzymał się na samym brzegu strumyczka. Wyciągnawszy rękę przytknął rękojeść miecza do najbliższej kępy grzybopodobnego porostu.

Grzyb poruszył się, odchylając się od żelaznego guana. Wiole, jakby nie pozostając w tyle, machnęła swoim klejnotem, a jego mgliste promieniowanie, owa mglista mglistość, odniosło taki sam skutek na jakiejś innej bulwowej roślinie. Pod ręką Kelsie jej własny kamień poruszył się i odrobinę rozgrzał.

- Czy jesteś w stanie przewidywać? - Yonan okręcił się ku czarownicy. - Czy ten twój drogocenny kamień mógłby prowadzić nas niczym busola podczas wędrówki? Wittle wzruszyła ramionami.

- Kto wie? Jeśli jednak pozostaniemy tutaj, nigdy się tego nie dowiemy, prawda?

Kelsie przygryzła wargę. Opuszczać tę niewielką przystań bezpieczeństwa... nie była w stanie wydobyć z siebie głosu, by powiedzieć tak. Ból umiejscowiony z początku w nadgarstku ogarnął jej ramię, powoli torując sobie drogę do reszty ciała. Nie była nawet pewna, czy zdołałaby jeszcze raz podnieść się i iść dalej. Mimo to czarownica, jak gdyby chcąc pokazać zarówno siłę swych zaklęć, jak i potęgę własnej mocy, minęła Yonana i wysunęła się na czoło, wymachując we wszystkie strony kamieniem, a potem podkasła poplamioną spódnicę i przeskoczyła strumień. Yonan zwrócił się do Kelsie, wyciągając wolną rękę, i jeszcze raz poprowadził ją za sobą.

- Ma rację - powiedział - pozostać tutaj i czekać na to, co jeszcze mogą przeciw nam wysłać - to szaleństwo. Kelsie pozwoliła Yonanowi zaprowadzić się na brzeg, pragnąc jednocześnie zamknąć oczy i nie widzieć tej nowej okropności, która wynurzy się ze strumienia, gdy będą go przekraczać. Przebyli go jednak bez żadnych przeszkód ze strony tego, co w nim mieszkało. Ale wydostać się stąd to była już inna sprawa, i w najskrytszej tajni umysłu Kelsie nigdy nie uwierzyła, że mogliby tego dokonać czy że tego dokonają. Będą wędrować niezliczonymi pasażami, aż głód i pragnienie tak ich osłabiają, iż staną się łatwym łupem, a może wcześniej wytropią ich jeszcze jacyś inni słudzy Ciemności. Kelsie pamiętała bardzo dobrze zarówno ogary Samów, jak i tych groźnych jeźdźców.

Wittle kroczyła dumnie do przodu i weszła do jednego z otworów rozpoczynających pasaż, nim Kelsie z Yonanem ją dogonili. Ból, który wcześniej palił w żyłach niczym ogień, opuścił już nie tylko nadgarstek dziewczyny, ale również słabe i odrętwiałe ramię. Kelsie ślaniała się co jakiś czas, ale ręka Yonana była zawsze gotowa ją wspomóc.

W pasażu znowu zrobiło się ciemno, jedynie rozsiane tu i tam łaty porostów dawały nikłe światło, a przybywało ich i przybywało, w miarę jak posuwali się do przodu. Kelsie nasłuchiwała w czasie drogi, pewna, iż wkrótce posłyszysz odgłosy pogoni, nic jednak nie dobiegło jej uszu. Może pędzono ich w kierunku takiego miejsca, w którym łatwiej byłoby się z nimi uporać. Czemu Wittle poruszała się tak pewnie, wydając się z łatwością wybierać między pasażami - nie raczyła nawet wyjaśnić.

Nagle gdzieś z przodu pojawiło się światło. Nie był to oślepiający czerwony blask ani słabowite migotanie grzybowatej roślinności - był to raczej szary błysk, który wyprysnął zza zakrętu i znikł. Yonan cały czas prowadził Kelsie za sobą. Raptem natknęli się na

otwór. Kelsie krzyknęła i cofnęła się dwa, trzy kroki. Wszystko mogłoby się zakończyć okropnym upadkiem.

Cała trójka stłoczyła się na niewielkiej przestrzeni, która ledwie ich mieściła. Znajdowali się wysoko ponad czerwonym kamieniem. Kelsie przytrzymała się zdrową ręką skraju otworu, z którego właśnie się wynurzyli. Yonan natomiast przesunął się ostrożnie do przodu, by przyjrzeć się temu, co ich otaczało.

Po chwili cofnął się. Wiole zdawała się zapadać jeszcze raz w jeden z tych swoich stanów, kiedy nic wokół niej się nie liczyło.

- Znajdujemy się w głowie potwora - oznajmił wojownik. - Musimy zejść na dół.

Kelsie ujęła swą zdrętwiałą rękę, przypominając sobie dokładnie owe monstrualne rzeźby czy też budowle górujące ponad drogą z czaszek, po której dażyła razem z Yonanem. Nie miała nadziei, iż odważy się zejść po zewnętrznej stronie tego potwora. Nic dziwnego, że nikt nie zaczepił ich podczas tej drogi. Kelsie nie wątpiła, iż wróg wie dokładnie, gdzie się znajdują, i ma dobry sposób, by się z nimi uporać na tej wysuniętej pozycji. Oczywiście atak Thasa z głębi gardzieli, o której skraj się teraz opierała, mógł posłać ich w przepaść. Nie mówiąc już o tym, czego mogliby dokonać Sarneńscy Jeźdźcy za pomocą swych ognistych strzał.

- Nie ma drogi w dół - odezwała się głucho.

Yonan znów stanął nad nią, ciągnąc ją do góry mniej delikatnie, niż zwykł był to czynić przedtem.

- Jest droga! - Jego głos był tak władczy, jak gdyby krzyczał jej do ucha. - Spójrz! - Wskazał w chwilę później.

Poniżej znajdował się występ i zaokrąglone wgłębienie. W wyniku wielowiekowego wietrzenia cała ściana pokryła się dołkami, których można by się przytrzymać palcami rąk i stóp. Ale czy coś takiego nadawało się dla jej pulsującego stępieniem bólem nadgarstka? Kelsie uznała, że nie jest w stanie zejść w dół. Z jedną ręką nie mogłaby nawet podjąć takiej próby. Lecz wydawało się, że Yonan i to wziął pod uwagę.

Pogmerał przy klamrze pasa, z którego zwiisał miecz, i zdjął go, nim Kelsie zdążyła zaprotestować. Ponownie wyciągnął ku niej dłoń.

- Twój pas! - zażądał.

Spróbowała go usłuchać, wspomagając się jedną ręką, ale w końcu pozwoliła mu usunąć na bok swoją dłoń i odpiąć klamrę. Yonan spiął ze sobą dwa pasy, wypróbowując je o zgięte kolano. Potem na końcu jej pasa zawiązał pętlę, którą polecił Kelsie ruchem ręki przełożyć przez chore ramię, i pociągnął dziewczynę na brzeg uskoku. - Na dół!

Ponieważ Kelsie wewnętrznie wzdrzyła się przed czymś takim, zacisnęła zęby i przeczołgała się ponad uskokiem. Zawisła w powietrzu omal nie wymiotowawszy, wzbraniając się równocześnie spojrzeć na cokolwiek poza dziobatą kamienną ścianą tuż przed sobą. Wreszcie z głuchym łoskotem uderzyła butami prosto w białką policzka owej ohydnej twarzy i z konieczności zajrzała w jeden z oczodołów. Drgnęła i odsunęła się, jak tylko mogła najdalej. Bo w głębi, a może to tylko pamięć wycięła jej taką sztuczkę, dojrzała odbicie płomieni, które tańczyły w okrągłym basenie tamtego wysłedzonego przez nią pomieszczenia śmierci.

Yonan nic nie mówił Wittle, ale widocznie czarownica sama uznała, iż ucieczka jest możliwa, schodziła bowiem w dół krok za krokiem. Młody mężczyzna wyprzedził ją jednak, a potem znów zajął się Kelsie, opuszczając ją niżej - na pękate ramię potwora.

Dziewczyna była mokra od potu, kiedy wreszcie ostatni ruch Yonana osadził ją na ziemi; wołała nic nie wiedzieć

o upływie czasu. Dwukrotnie uderzyła się w łokieć zranionej ręki, a ból przyprawił ją niemalże o mdłości. Trudno było nawet sobie wyobrazić, jak się czuła, dopóki nie zesłała ze zgiętego kolana potwora i nie stanęła słabymi i trzęsącymi się z wysiłku nogami na suchej ziemi. Wreszcie Yonan znalazł się obok i Kelsie poprzez zamglone łzami oczy dostrzegła plecy czarownicy, która oddalała się wielkimi krokami, jak gdyby dłużej nie chciała być ich towarzyszką.

Yonan pomógł wstać Kelsie i poprowadził ją za czarownicą, trzymając dłoń zaciśniętą na pasie, który wciąż zwisał z ramienia dziewczyny. W momentach, kiedy w ogóle mogła myśleć o czymś innym niż o bólu w ręce, Kelsie spodziewała się usłyszeć gdzieś z tyłu ochryple wycie ogarów, a może nawet krzyk Jeźdźca Sarnów ponaglący je do łowów. Ale nie działało się nic.

Obróciła się do wojownika, który ją na wpół podtrzymywał.

- Nie pozwolą nam ujść... - wyrwał się jej ten protest z głębi jestestwa.

- Czy rzeczywiście? - odparł. - Szukają tego; po co ta - skinął głową w stronę czarownicy, idącej teraz sporo przed nimi - tutaj przybyła. Cóż im szkodzi dać jej złudzenie wolności i pozwolić zaprowadzić się do tego, co mogliby również objąć w posiadanie? Czyżbyś myślała, iż odłożą na bok wszystkie swe sprawy tylko dlatego, że wędrujemy tam, gdzie stronnicy Światłości nie zapuszczali się przedtem zbyt często?

- A zatem... sądzisz, że to wszystko było naigrawaniem się z nas? - powiedziała niepewnie. - Trzy myszy i ospały kot, który zezwoli umknąć nieco swej zdobyczy, by potem walnąć łapą i zakończyć całą zabawę.

- Niektóre z tych igraszek stanowią, jak sądzę, próbę. Ale jestem także przekonany, że gdyby tego nie chcieli, nigdy nie uszlibyśmy stamtąd z życiem.

Próbowała odepchnąć na bok groźne myśli, ale logika tej odpowiedzi była oczywista. Stali się myszami, którym pozwolono biec. Są również ci - a może TO - co będą ich obserwować uważnie już od teraz.

Ale bez względu na to, czy Yonan wierzył w słowo, które wypowiedział, działał tak, jak gdyby naprawdę uciekali, i parł do przodu, pomagając Kelsie dotrzymać kroku. Dziewczyna celowo nie oglądała się do tyłu, bo w jej umyśle tkwił obraz przykucniętego potwora unoszącego się nieśpiesznie i ruszającego ich śladem, gotowego, jeśliby tylko tego zapragnął, zrzucić na nich ociężałą stopę albo zaciśniętą pięść.

Zbliżyli się do płataniny porostów - nie były to mięsiste grzyby z ciemnych pasażów, lecz jakaś wybujała materia z cierniami pokaźnych rozmiarów, tak spleciona i poprzerastana, iż wydawało się, że nie ma sposobu, by się przez nią przedrzeć.

Jedynie Wittle, nieustannie ich wyprzedzając, wymachiwała swym klejnotem, który błyszczał jak nigdy dotąd w ciemnych pasażach. Jego iskry opadały na tę masę, wydobywając z niej niewielkie sploty dymu ze spopielałymi odpadami owych roślin.

Jeśli czarownica również sądziła, iż pozwolono im poruszać się swobodnie aż do momentu zakończenia poszukiwań, nie okazywała tego; nie robiła też nic, by zatrzeć własne ślady. Zarośla szybko przeistaczały się w płaty popiołu, rozstępując się przed nią, pozostała dwójka zaś podążała tam, gdzie ona stąpnęła. Kelsie zastanawiała się, jak długo jeszcze będzie mogła stawiać stopy tak, by się nie potykać. Ból dotarł do ramienia i szedł już przez pierś, tak że ledwo mogła zaczerpnąć tchu. Niczego nie pragnęła tak bardzo, jak położyć się, zamknąć oczy i zapaść w czarną nicość.

Nie spostrzegła nawet, kiedy zarośla wokół przestały tworzyć spletaną gmatwaninę i przemieniły się w spore jasnozielone krzaki, niektóre z taką masą kwiatów, że aż pachniały. Wreszcie uwolniła się od fetoru pasaży. Kelsie była obojętna na wszystko z wyjątkiem tego, czego domagało się od niej własne umęczone ciało. Oprzytomniała, kiedy coraz bardziej zniewalający uścisk Yonana zelżał co nieco, i opadła na ziemię.

Skądś dobiegł ją odgłos huczącej wody - wody czy ognia? Usiłowała podnieść się z wielkim trudem, by się upewnić, czy nie znalazła się z powrotem w jaskini. Wittle, pochyliwszy się nad nią, pchnęła ją; dotknięcie to przyprawiło ją o taki paroksyzm bólu, iż zapadła w końcu w ciemności.

Po pewnym czasie niezbyt daleko zapłonęło ognisko. Kelsie zdawała sobie sprawę, iż pas nie obejmuje już jej zranionej ręki, lecz tę zdrową. Na chorej ręce i ramieniu legł tak potworny ciężar, iż wrzeszczała wniebogłosy, widząc przez łzy, jak Yonan z wahaniem odwraca się od ognia z mieczem w dłoni.

Ostrze zanurzyło się w jej nadgarstku. Ale to, co teraz nastąpiło, nie miało nic wspólnego z przypiekaniem rozpalonym żelazem. Mękę powodowało zimno, lodowate zimno, jak gdyby dziewczyna leżała na pół zamarznęta w jakiejś zaspie śnieżnej. Rozbudziła się wewnątrz powłoki z własnego ciała i kości, ciało jednak nie było jej posłuszne, nie mogła się nawet poskarżyć, by uśmierzyć torturę zimna.

Ostrze cofnęło się i Kelsie poczuła nawrót ognia, znacznie dotkliwszego po owym zimnie, którego miecz stał się przyczyną. Kelsie słyszała poszczególne słowa, ale nic nie rozumiała.

- Trucizna rozchodzi się... ona umrze...

Czyżby to Yonan? Co za różnica? Umrze... być może, iż już jest martwa albo w takim stanie jak koło tamtej bramy, przez którą przeszła w trakcie walki.

- Gdzie jest twój klejnot, pani...? - Nie służy takim celom.

- Nie? Czyżbyś pozwoliła jej umrzeć wiedząc, jak wiele znaczy dla twych poszukiwań?

- Mogę szukać sama...

- Czy o to prosiła cię Rada?

- Jesteś mężczyzną... Cóż możesz wiedzieć o Mocy? - Dość, by sądzić, iż możesz jej użyć nie tylko dla jednej sprawy, pani. Powiadam... użyj jej tu... i teraz!

Jeszcze raz zimno... powróciło bolesne odrętwienie... zapadła się w głębiny potwora... być może... na dnie panowała całkowita ciemność.

Kelsie szła - nie było to jednak nic więcej ponad bezwolne potykanie się - wspomagana czyjąś mocną ręką. Kiedy usiłowała ustawić wzrok, widziała przed sobą jedynie powiewającą szarą suknię. A może było to coś innego? Futro? Zadarty ogon kota spotężniałego do rozmiarów pantery i poruszającego się przed nią z godnością. Kot... tam był kot... i brama... a za nią łańcuch burzliwych zdarzeń, których jakaś część jej osobowości nigdy nie uznała za rzeczywiste. Dziewczyna uniosła rękę, co wymagało ogromnego wysiłku. Znikł łańcuch wbity w ciało wokół nadgarstka... pojawiły się natomiast blizny, których z pewnością nigdy przedtem nie miała.

- Pani...

Jakby skądś z daleka doszło ją to wezwanie. Próbowwała udąć, że go nie słyszy. Pojawiło się akurat w momencie, kiedy próbowała rozkazać swym nogom, aby się zatrzymały i pozwoliły jej odpocząć.

- Pani!

Męski głos zabrzmiał bardziej ostro, niemal rozkazująco. Jakimś sposobem Kelsie zdobyła się na wysiłek i obróciła głowę, by zająrzeć w twarz na pół skrytą pod wojennym hełmem. Szara poła sukni przed nią drgnęła i zawirowała, jakby osoba, która ją nosiła, zatrzymała się i odwróciła, by się jej przyjrzeć.

- Dziewczyno! - W okrzyku tym nie było cienia troski, jedynie żądanie. - Spójrz na klejnot!

Skądś dotarł do niej jasny blask. Pochyliła nieco głowę i dostrzegła na swej piersi migocącą świetlną plamkę. Uniosła okaleczoną dłoń, by ścisnąć owo światelko. Ogień! Natychmiast opuściła rękę... parzył ją ów przeklęty ogień, z którym nie chciała mieć do czynienia.

- Ktoś podąża naszym tropem... - Słowa te zostały wypowiedziane jakby ponad nią i ich znaczenie w ogóle do niej nie dotarło.

- Czy możesz pomóc? Co z klejnotem, czy nie podtrzyma tej, która go nosi?

- Tę, która nosi go zgodnie z prawem, tę, która nie weszła w jego posiadanie w niezgodzie z prawem, tak jak to się stało w tym przypadku... może...

Czy to kot udzielił odpowiedzi? Kelsie naprawdę o to nie dbała. Gdyby ją tylko pozostawiono samą!

- Pozwólcie... mi... odejść... - wydobyła te słowa z siebie z ogromnym wysiłkiem.

Leciała przez ręce tego, kto ją prowadził, kot tymczasem stał i patrzył, i nie potrafił nic temu zaradzić.

- Chodź... Pani... obudź się! Węszą za nami, nie możemy pozwolić dać się złapać.

Ręka Kelsie przemieszczała się po omacku na piersi, by w końcu zacisnąć się na klejnocie. A wtedy...

Znalazła się w miejscu, w którym było wiele kolumn, kilka z nich wciąż podtrzymywało resztki jakiegoś sklepienia. Czarne ślady prastarego ognia znaczyły ścieżki aż do zewnętrznych kolumn. Nie przybyła tu jednak po to, by oglądać pozostałości jakiejś katastrofy... przybyła tu, ponieważ musiała. Znajdowało się tutaj to, co mobilizowało jej

umęczone ciało. I znów jakby z jakiejś ogromnej odległości doszły do niej głosy, które nie miały dla niej żadnego sensu.

- Dokąd ona idzie?

- Puść ją, głupi. Powoduje nią kamień, a tam dokąd idzie... prowadzi nasza Droga.

W miejscu tym było wiele kolumn, minęła pierwsze, ale wciąż znajdowały się przed nią rząd za rzędem kolejne, ciągnąc się niezmiernie daleko, tak iż nie mogła wypatrzeć końca biegnącej pośród nich drogi.

W pewnym momencie droga zwężała się do podwójnej linii kamiennych pali, przy której Kelsie dostrzegła kilka ogromnych krzesel tronowych. Każde z nich zajmował to pełgający, to znów kłębiący się dym, jak gdyby to, co na nich siedziało, nie pasowało całkowicie czy też nie mogło się przypasać do owego światła. Mimo iż te cienie cieni zamierzały wyrządzić jej krzywdę, nie poruszyły się, by ją zatrzymać lub zawrócić z drogi. Przeszła obok nich z płonącym klejnotem w ręku, nic jej bowiem nie pozostawało, jak tylko szukać tego, co zostało zagubione i musiało być znów odnalezione.

Ile mil miała droga pośród kolumn? Kelsie szła już może godzinę, a może dzień cały, i wciąż nie widziała końca. Pomiędzy pionowymi kolumnami z kamienia przycupnęły tu i ówdzie dziwne, groteskowe bestie, ale żadna z nich nie położyła na niej swej łapy ani nie zanurzyła w jej ciele kłów, kiedy się obok nich prześlizgiwała. Wtem zaprzestała tej wędrówki i...

Ocknęła się! Nastąpiło to gwałtownie, prawdopodobnie wyrwał ją ze snu jakiś podmuch... Wiedziała, kim jest... Wiedziała, kto idzie w szarej sukni z lewa. Wiedziała, kto podtrzymując ją kroczy obok z prawa. Była noc i księżyc zaczął właśnie zachodzić, kładąc na ziemi ostre światło pomiędzy cienie.

Nie znajdowali się już w lesie, lecz na otwartej przestrzeni, gdzie każdy, kto podążałby za nimi, musiał widzieć ich zupełnie wyraźnie, toteż Kelsie obróciła głowę, by zapytać swego przewodnika, co tutaj robią...

Ale już wiedziała. Musiała iść tam, dokąd prowadził ją klejnot. Chociaż już nie kołysała go w dłoni, ciągnął on właściwie łańcuch do przodu, pozostając w pewnym oddaleniu od ciała. Nie czuła nawet, by ogniwa wpijały się jej w szyję, jak gdyby klejnot uwolnił się z miejsca swego zakotwiczenia, by odnaleźć własną drogę, a potem pośpieszyć nią i dotrzeć do tego, co go przyzywało.

Jaśniał jeszcze jeden klejnot. Inny drogocenny kamień, ten, który nosiła Wittle, również się ożywił. Nie ciągnął on jednak swego łańcucha, toteż Kelsie podejrzewała, iż blask jego nie jest tak wielki, jak tego, który sama nosiła.

- Gdzie jesteśmy? - zdołała sformułować pytanie, a jej głos był mocniejszy, niż, jak to czuła, powinien. Wittle odparła niemal bez tchu.

- To jest ścieżka, którą sama wybrałaś, to twa odpowiedź. Gdzie jesteśmy? Szliśmy cały dzień, a gdy przyszło nam odpocząć, musieliśmy powściągać cię niczym znarowionego konia. Szliśmy dłużej niż noc. A ci, co nas tropili, już tego nie robią. Sprawiają jednak, by inni ruszyli naszym śladem. Nigdy nie zostałeś poślubiona kamieniowi, a zatem jak to się dzieje, iż żyje on takim życiem, jakiego nigdy przedtem nie widziałam? Co ty z nim zrobiłaś, cudzoziemko?

- Nic nie zrobiłam. To jest kamień...

- Zawsze nam powtarzano - Wittle ciągnęła dalej, jak gdyby Kelsie w ogóle się nie odezwała - że kiedy umiera czarownica, ginie również moc zawarta w jej kamieniu. Choć Makeease nie żyje, ty, która nie masz prawa do klejnotu, jesteś przez niego kierowana. To jest coś, co przekracza granice pojmowania.

Kelsie zapragnęła unieść rękę, ściągnąć klejnot z szyi i cisnąć go w ocean wysokich traw, który przemierzali wielkimi krokami.

- Ten wybór nie należy do mnie - rzekła głucho. - To jest sprawa, która...

- Czemu dręczysz nas takim gadaniem? - wtrącił się Yonan. - Mówiłaś już to tyle razy. Tak nie powinno być, ale jest. Dlatego to zaakceptuj.

Czarownica odwróciła głowę, a błyszczące spojrzenie, które posłała wojownikowi, buchało najczystsza złością. - Zamilcz, mężczyzno. Cóż twój rodzaj może wiedzieć o Tajemnych Misteriach?

Kelsie mignęło coś w pamięci, ale było to tak niejasne, jak gdyby przydarzyło się nie jej, lecz komuś innemu. Przyciśnięcie żelaznego guana znajdującego się na głowicy miecza do rany na nadgarstku, ssanie warg... a potem chłód klejnotu nad raną.

- Uratował mi życie... - Dziewczyna wydobyła otwarcie tę myśl z zakątków pamięci. - Cóż zatem dobrego przyniosły twe zaklęcia, Wittle? Myślę - zmarszczyła trochę czoło - iż natknęliśmy się na coś, co jest silniejsze od klejnotu. - Głowę miała pochyloną do przodu, bo klejnot ciągnął ją tak, jak gdyby chciał się całkowicie od niej uwolnić. Częściowo rozumiała jednak, że działa się tak dlatego, iż klejnot zamierzał szybko pokonać ścieżkę, którą odnalazł, kiedy ona zgubiła jej ślad. Nawet klejnot czarownicy stał się jaśniejszy i uniósł się nieco ponad szarą suknię.

Morze dość wysokich traw, tak wysokich, iż smagały ich po kolanach, przełamało coś, co pojawiło się z przodu jakiegoś cienie, które były zapewne wzniesieniami. Nie było to jednak pasmo gór, jedynie miękko falujące wzgórze.

Dwukrotnie jakieś ptaki pikowały w ich kierunku, a potem wzbijały się wysoko - wyraźnie- okazując nawet w tym przyćmionym świetle czarne i czerwone pióra. A kiedy nie uczyniły żadnego ruchu, by ich zaatakować, Kelsie nabrała pewności, że byli to wysłannicy Ciemności, może zwiadowcy Sarnów albo im podobnych. Mimo to nikomu z całej ich trójki nie przyszło do głowy, by się gdzieś skryć; wszyscy razem skierowali się prosto ku owym wzgórzom przez otwartą przestrzeń.

Wittle powtarzała jakieś słowa, sądząc po dźwiękach wciąż te same. Yonan maszerował nie odzywając się wcale, lecz zawsze przy boku Kelsie, dość blisko, by móc wyciągnąć rękę i dotknąć jej, gdyby zaszła taka konieczność.

Księżyc ostrą linią oddzielał światło od ciemności. Tu i tam ponad zielenią równiny wznosiły się krzaki, a Kelsie każdemu z nich przyglądała się z obawą, wydawało się jej bowiem, że rzucane przez nie cienie zupełnie nie przypominają krzewów. Cienie owe charakteryzowała osobliwa ruchliwość, jak gdyby coś niewidzialnego, lecz wciąż reagującego na moc księżyca przyczaiło się w nich.

Pierwsza smuga bladego świtu pojawiła się już na niebie, kiedy zmieniło się podłoże, po którym maszerowali. Nie szli już traktem z na pół zagrzebanych w ziemi czaszek,

lecz po białych kamiennych blokach, które niewątpliwie tworzyły kiedyś drogę, obramowanych wątlymi kępami trawy. A kiedy wkroczyli na tę wyboistą powierzchnię, z której wiele bloków wystawało pod najróżniejszymi kątami, Kelsie stała się świadoma jeszcze czegoś. Nie mogła tego ani usłyszeć, ani zobaczyć, mogła jedynie wyczuć - ów ogromny przymus, i świadomość, iż to, co musi być spełnione, musi być spełnione szybko, wypełniła ją całkowicie i dziewczyna poczęła biec. Wiole i Yonan dotrzykali jej po chwili kroku.

Droga wiodła przez przełęcz w pierwszym paśmie wzgórz, a po obu jej stronach stały kamienne kolumny z gruba ciosane, nadżarte przez czas, pozostały więc na nich jedynie fragmenty tego, co zapewne układało się niegdyś w jakieś wzory czy też desenie.

Gdy tak szła między owymi kolumnami, podążając za dwójką towarzyszy, coś się w głębi niej poruszyło. Nie miało to z pewnością nic wspólnego z zasobami jej własnej pamięci, niemniej Kelsie uniosła obie ręce w powitalnym geście ku wschodowi i ku zachodowi. Ogarnęło ją również podniecenie.

Biegli teraz drogą, która była w lepszym stanie, toteż mniej trawy wchodziło na jej powierzchnię. Po zewnętrznej stronie kolumn ciągnęła się linia pagórków czy też niewielkich zaokrąglonych gładów, które prawdopodobnie nigdy nie miały takiego znaczenia jak boczne ściany kamiennej przełęczy, ale bardziej wyraziście wyznaczały drogę. Dwukrotnie pokonali zakręt, raz w prawo, raz w lewo. W końcu całą drogę zablokował w poprzek ogromny pagórek. Kelsie ruszyła ku niemu, a klejnot ciągnął ją tak, jak gdyby była na smyczy. Raptem dziewczyna stwierdziła, iż leży rozciągnięta na kształt orła na ziemi, a drogocenny kamień, ten niewielki ogień, znalazł się między jej piersią a darnią, do której mimowolnie przyciskała ciało, jak gdyby mieszcząca się w niej siła była w stanie wciągnąć ją pod ziemię, by znaleźć to, czego szukał klejnot czarownicy.

Obróciła głowę i spojrzała na Wittle. Kamień również odstawał już od jej ciała, wskazując prosto w kierunku wzgórza.

- Wewnątrz... albo poza - powiedziała czarownica. Nieoczekiwanie Kelsie spostrzegła, iż rozgrzebuje darń i glebę zakrzywionymi palcami, próbując wykopać dół, niczym zwierzę szukające kryjówki. Widziała, jak palce Wittle wyciągają się, by ją naśladować. W chwilę potem Yonan odciągnął je na bok i sam zajął ich miejsce, rąbiąc mieczem pokrycie z twardych korzeni. Żelazny guan na rękojeści miecza buchał takim płomieniem, jakiego Kelsie nigdy przedtem nie widziała.

Yonan to podważał, to ciągnął, aż w końcu obluźnił ogromny kawał ziemi zmieszanej z korzeniami. Pod spodem, wyraźnie widoczny w świetle przedświt, tkwił kamień, cały porysowany i umazany ziemią. Yonan nacierał nieustannie, aż wreszcie pojawiła się naprzeciw nich kamienna płyta wielkości zwyczajnego otworu wejściowego.

Kelsie wydała mimowolny okrzyk. Niebywała siła pociągnęła ją do przodu, gdy jej własny kamień przywarł do owej płyty, i rzuciła na kolana, w wyniku czego buchający ogniem klejnot znalazł się tam, gdzie normalnie byłaby klamka. Przyłgnąwszy do kamiennej powierzchni, choć Kelsie próbowała go od niej oderwać rękami, a może tylko uchronić twarz od zetknięcia z szorstką skałą, klejnot począł z wolna obracać się miarowo w prawo, skręcając łańcuch. Tamował przy tym oddech dziewczynie i dusił ją

srebrnymi sznurami. Włożyła ręce między gardło i tę zaciskającą się pętlę, ale nie była w stanie jej rozerwać ani uwolnić klejnotu od kamienia, do którego przywarł.

Dusząc się, nie tyle krzyknęła o pomoc, ile właściwie zaskrzeczała, a Yonan z miejsca znalazł się obok niej

i uderzył sztyletem w łańcuch. Oddychała z trudem, kiedy akcja Yonana zakończyła się sukcesem, łańcuch pękł raptownie, a ona opadła na ziemię świszcząc, rozcierając gardło i usiłując nabrać w płuca jak najwięcej powietrza. W chwilę potem spostrzegła, iż Wittle przyklękawszy zajęła jej miejsce. Gdy kamień Kelsie toczył się w prawo, klejnot czarownicy zachowywał się podobnie, usadowił się obok tamtego i obracał w lewo.

Ostrzeżona doświadczeniem Kelsie, czarownica zdjęła łańcuch z szyi i trzymała go w ręce, nie stała się więc więźniem duszącego szeregu ogniów. W prawo, z góry do dołu, niczym wskazówka na tarczy zegara, przesunął się jeden z drogocennych kamieni, drugi zaś nakreślił taki sam wzór w lewo. Klejnoty jaśniały niesamowitym ogniem, tak iż Kelsie przysłoniła oczy, nie będąc w stanie na nie patrzeć.

Rozległy się odgłosy ssania, a potem przytłumione zgrzytanie. Yonan pociągnął szybko Kelsie do tyłu za ramiona. Dziewczyna podniosła się z kolan i ośmieliła zerknąć przez palce. Pojawił się otwór. Kamienna płyta uchyliła się, lecz nie odsłoniła całego przejścia. Jakimś sposobem, mimo światła zalewającego dolinę, zalegała w nim całkowita ciemność.

- Klejnoty szukają tego, co jest do znalezienia! - Wittle przysunęła się bliżej na kolanach. - Przybyliśmy do tego, co zostało niegdyś stracone, a w tej chwili jest odnajdywane.

Wyciągnęła rękę, zanurzając ją w blasku bijącym od obu kamieni. Ten, który do niej należał, uwolnił się od kamiennego podłoża i opadł jej w dłoń. Kelsie niechętnie poszła za jej przykładem i znów trzymała w ręku drogocenny kamień, z którego zwisał pęknięty łańcuch.

Jeśli nawet kamienna płyta oznaczała wejście, czas spoił ją z owym miejscem niemal na mur, toteż cała trójka, ciągnąc wspólnie, nie zdołała uchylić jej już ani o ułamek. Wiole w końcu precyzyjnie się między skrajem płyty a ramą, w której ta była osadzona. Jeszcze raz klejnot należący do Kelsie uniósł się wskazując prosto ową szczelinę. Dziewczyna była pewna, iż kamień nie pozwoli jej teraz usunąć

się na bok. Jej ciało, jej stopy poruszały się dzięki jakiejś innej woli i choć Kelsie pragnęła przytrzymać się płyty wejściowej i pozwolić łańcuchowi oddalić się razem z owym niebezpiecznym ciężarem, znowu nie miała żadnych szans, jej palce nie były bowiem w stanie uwolnić się od ogniów.

Naśladując Wittle, przesunęła się ostrożnie przez szczelinę, a słysząc drapanie metalu o kamień, wiedziała, iż Yonan ruszył ich tropem. Przed sobą dostrzegła iskrzące się pyłki, a wraz z nimi zarys szarej sukni czarownicy, ale dokąd szli, nie potrafiła powiedzieć. Na dodatek panowało tam bardziej lodowate zimno, niż to przywykła od dawna kojarzyć z Ciemnością i miejscami, które ona nawiedzała.

Kelsie czuła i ziemię, i kamień, czuła także jeszcze coś miała wrażenie, jakby znajdowali się tam nie tylko we troje - doznawała uczucia, jakby było tam jeszcze jakieś

stworzenie, które obserwowało ich ani wrogo, ani przyjaźnie, ani z dobrymi intencjami, ani ze złymi, lecz jakoś tak na pół ospale.

Postać Wittle wzniosła się niespodziewanie w górę; niebawem Kelsie zbliżyła się do pierwszego topornie ociosanego stopnia schodów i ruszyła jej śladem. Choć oba klejnoty świeciły, promieniowanie ich wydawało się ograniczone ciemnościami, które szczelnie okrywały nie tylko ściany pasażu, ale i to, co leżało z przodu. Zanurzyli się w inny pasaż, bliźniaczo podobny do tego poniżej, z tym że w odległym jego końcu połyskiwało światełko, które nie miało żadnego związku z drogocennymi kamieniami, było to światło dnia.

Wyszli na szeroką półkę skalną i spojrzeli w dół na rozciągającą się tam krainę, która sprawiała wrażenie całkowicie opustoszałej. W pierwszym momencie Kelsie pomyślała, iż znaleźli się ponad lasem, w którym wszystkie drzewa zostały ogołoczone nie tylko z liści, ale i z gałęzi, i z którego pozostały jedynie pionowe pnie podobne do rzędów podniszczonych zębów. Wkrótce uświadomiła sobie, iż są to po prostu kamienne kolumny wyżłobione przez czas. Nigdzie jednak nie pozostały jakiegokolwiek ślady, które by wskazywały, jakiego rodzaju sklepienie mogły niegdyś podtrzymywać - były to tylko szarobiałe linie okrągłych kolumn.

Od skalnego występu mocno zwietrzałe stopnie tworzyły długie, niczym nie zabezpieczone zejście z boku stromej ściany. Kelsie nie spostrzegła się nawet, kiedy Wittle znalazła się na pierwszych stopniach, podążając pewnie w dół. Kelsie nie zawróciła, lecz poszła w jej ślady, drogocenny kamień obrócił się bowiem w jej rękę i wskazał dziwne ruiny w dole.

Wypełniały one całkowicie dolinę trójkątnego kształtu. Znajdowali się w wąskim ramieniu owego trójkąta. Kelsie domyślała się, iż to, co zostało tu niegdyś wzniesione, miało w swoich dniach ogromną wagę - świątynia, pałac, twierdza czy co tam to było.

Ze stopni zeszli wprost na bruk, w którym osadzono kolumny. Szarość ich nie była zwykłą szarością, była sina, nieomal zielona - tak iż z pewnej odległości można by nawet sądzić, że cała ta dolina okryta jest darnią. Powierzchnię, po której stąpali, zdobiły z kolei jasnoniebieskie wzory, jakieś znaki czy też symbole, które układały się u ich stóp w zawile arabeski, choć tu i tam naniesione przez wiatr płachty ziemi przykryły owe linie. Na owych łąkach wysuszonej ziemi nie było żadnych śladów, żadnych oznak tego, iż ktokolwiek zajrzał tu przed nimi choć na chwilę.

I znów Kelsie nie doszukała się śladów tej Ciemności, która potrafiła zmrozić i ciało, i duszę. Odniosła jedynie nieuchwytne wrażenie, iż coś bardzo głęboko uspionego przebudziło się z chwilą ich nadejścia. Ale gdyby tylko sprawowała kontrolę nad własnym ciałem, popędziłaby z powrotem po schodach do góry, a potem przez pasaż ku światu bardziej normalnemu niż ten.

Jeśli Wittle miała jakieś podejrzenia, nie dzieliła ich z nimi. Maszerowała po prostu naprzód z wyrazem skupienia i oczekiwania na twarzy. Szli więc jedno za drugim między kolumnami, Wittle z przodu, Kelsie za nią, a Yonan zamykał tyły. Wyciągnął miecz z pochwy i trzymał go

w pogotowiu - ponieważ albo kierował się wskazaniem żelaznego guana, albo rzeczywiście obawiał się, iż wcześniej czy później natkną się na czynny opór.

Między kolumnami przeświecały zbocza doliny, stopniowo się poszerzającej, kolumny zaś stały tak, iż można było mieć pewność, że w swoim czasie pokrywały w takim samym porządku dno całej doliny. Odmienne niż działo się to w owej budowli, w której mieszkał potwór, Kelsie nie czuła tu wibracji, nie czuła też jakiegokolwiek innego życia poza własnym. Dopóty, dopóki nie znaleźli się dość daleko od wejścia do lasu kamiennych belek.

Zaspa z wysuszonej ziemi, która wdarłszy się do doliny pokryła tu i ówdzie niebieski kamień, pojawiła się na ich drodze. Wittle nie miała najmniejszego zamiaru przystanąć, ale Yonan zepchnąwszy Kelsie na bok, złapał w tym momencie czarownicę za szeroki rękaw sukni, zatrzymując ją niespodziewanie, i wskazał mieczem spłachetek ziemi.

Na jego powierzchni widniały głębokie ślady. Kelsie nie miała wątpliwości, że te najbardziej wyraźne, które pokrywały inne, wcześniej odcisnięte, zostały zrobione bosą ludzką stopą. Wiole spróbowała uwolnić się z uścisku Yonana ostrym szarpnięciem. Maska wyczekiwania pękła i czarownica spojrzała na niego z dziką złością.

- Co robisz? - Jej chrapliwy głos wzniósł się budząc echa, jak gdyby za każdą z tych niezliczonych kolumn stała jakaś inna Wittle, dołączając własne pretensje.

- Spójrz! - Znów wskazał ślady. - Te są świeże... popatrz tam, gdzie ziemia zasypuje już odciski. Nie jesteśmy tu sami. Czyżbyś chciała iść na spotkanie temu czemuś nie dbając o to, co nas czeka?

Czarownica wskazała przed siebie. - Czyżbyś widział coś, o co warto się spierać, wojowniku? Powtarzam... nie próbuj zajmować się czymś, czego mężczyzna nie może zrozumieć!

- Być może rozumiemy więcej, niż ty jesteś skłonna nam przyznać, czarownico. - W jego odpowiedzi pojawiła się iskra złości. - Czyżbyś nie zgadzała się z tym, iż pozwolono nam uciec? Byliśmy i zapewne będziemy śledzeni aż do tego miejsca, które ty tak potężnie wielbisz - do źródła prawdziwej mocy. Jeśli zastawiono na nas jakąś pułapkę, lepiej byłoby, gdybyśmy jednak o tym wcześniej pomyśleli.

Wittle ujęła kamień obiema dłońmi, uniosła go nieco i chuchnęła. Usta jej poruszyły się, ale żadne z nich nie usłyszało tego, co powiedziała - rytualnych słów, jak podejrzewała Kelsie. Drogocenny kamień rozjarzył się mocniej, a w chwilę potem jego promieniowanie, które wzmagало się podczas marszu, znikło. Dziewczynie wydało się, iż zamiast klejnotu Wittle ma w dłoniach pełno wody i rozmyśla nad tym ponuro.

W jej kamieniu również nastąpiła zmiana i Kelsie pośpieszyła ją zbadać. Mimo iż promieniowanie, które klejnot dotąd wydzieliał, miało białą barwę z odcieniem niebieskiego, teraz stało się zupełnie niebieskie - tak jasne i przyjazne, jak pogodny ranek w środku lata, bezchmurny, zapowiadający piękny dzień. Wnet przeciął je jakiś cień i Kelsie ujrzała wyraźnie, jak gdyby stała tuż przed nimi, sylwetkę dzikiej kotki, dwóch kociąt i małej śnieżnej pantery, którą kocica zaadoptowała swego czasu. Zwierzęta leżały w ciepłym słońcu na skale; kocica, ze ślepiami na pół przymkniętymi z zadowolenia, doglądała swej rodziny. W miarę jednak, jak Kelsie wpatrywała się w ten obraz, oczy kotki powiększały się, aż wreszcie jej powieki uniosły się całkowicie, jak gdyby zwierzę dojrzało ją tam, gdzie stała. Potem obraz zaczął drżeć, aż wreszcie zniknął.

Kot? Co dziki kot miałby jej tutaj i teraz do zaofiarowania? Doskonale pamiętała, iż kamień, który trzymała, nie trafił do niej wprost z rąk umierającej czarownicy, tylko za pośrednictwem kota. I... spojrzała w dół na ów splachetek ziemi z odciskiem bosej stopy. Tak! Kiedy wpatrzyła się uważnie, dostrzegła i inne ślady - jeden z nich należał do kogoś z kociej rodziny, kto przeciął ziemię ukosem poniżej odcisku obnażonej ludzkiej stopy. Kot... Nigdy nie widziała w Dolinie innego poza tym, który ściągnął na nią całą tę przygodę. Klechdy domowe - stare opowieści rodem z jej własnego świata o tym, jak koty przestawały w przeszłości z tymi, które uważano za czarownice... Ale co koty miałyby wspólnego z tym miejscem?

Wiole podniosła wzrok znad klejnotu.

- Nie ma tu śladu Ciemności! - wykrzyknęła. - Ani Światłości! - upierał się Yonan.

Czarownica zawahała się, jak gdyby ważyła prawdę przeciw kłamstwu, ażeby postawić na swoim. Potem przyznała niechętnie:

- Ani Światłości!

- A co z mocą? - nalegał Yonan. Spojrzała na niego z prawdziwą nienawiścią.

- Tam jest moc... Moc może istnieć i bez Światłości, i bez Ciemności. - Kelsie pomyślała, iż Wittle mówi tak, jak gdyby chciała siebie uspokoić. - Wielu było wtajemniczonych, którzy nie przystali ani do Światłości, ani do Ciemności, ale sami zmagali się z czystą nauką. Wspominają o tym nasze zapisy. Zapewne zbliżamy się teraz do miejsca, w którym taka neutralna moc się usadowiła. Jeśli dotrzemy tam w porę - oczy jej błyszczały, a w kąciку cienkich warg pojawiła się niewielka banieczka śliny - będziemy mogli przeciągnąć ją na stronę Światłości. Jeśli natomiast Ciemność dotrze tam pierwsza, wtedy...

- Wtedy uznałabyś, że wszystko stracone. A czy zastanawiałas się nad tym, co też już jej szukało, gdyby tak sądzić po śladach? - Yonan po raz drugi wyciągnął miecz w kierunku splachetka wysuszonej ziemi.

Czarownica pochyliła się nad owym skrawkiem, rozmyślnie pozwalając klejnotowi zawisnąć nisko, niemal dotknąć naruszonej ziemi. W barwie kamienia nie nastąpiła żadna zmiana, wychylił się on ku przodowi i znieruchomiał, wciąż wskazując w kierunku tego, co przed nimi leżało.

Wittle zaszczyliła Yonana złośliwym uśmiechem.

- Czy spostrzegłeś, wojowniku? Nie ma tam nic złego. Yonan nie schowawszy miecza do pochwy zajrzał jej prosto w oczy.

- Nie podaję w wątpliwość żadnej z mocy - ani twojej, ani tej z Ciemności, którą pozostawiliśmy za sobą. Zważ jednak, że możesz być nękana przez coś, czego nawet cała wiedza Lormtu nie jest w stanie wyjaśnić. Najlepiej być ostrożnym...

- Co znaczy być ostrożnym?! - warknęła czarownica. - Który mężczyzna może wiedzieć coś o tym, dopóki nie zostanie wystawiony na niebezpieczeństwo...? Gdy nadejdzie twój czas i ty zostaniesz na nie wystawiony.

Ruszając dalej Wittle z rozmysłem stąpnęła tam, gdzie widniał ślad bosej stopy.

Rzędy kolumn urwały się niespodziewanie. Jednak po drugiej stronie głębokiej zapadliny, która przecinała drogę, Kelsie dostrzegła ich przedłużenie, gęstniejące, ciągnące się w nieskończoność. Nie było jednak mostu. Wittle, którą tak pochłonęło wędrowanie, iż znacznie częściej spoglądała na klejnot niż pod stopy, zachwiała się na skraju zapadliska, ale Yonan odciągnął ją do tyłu.

Stali więc razem, patrząc w dół na inny świat, a może szybowali nad tym, który znali? Czyżby mieli tak potężne ciała, tak dalekosiężny wzrok, bo przeistoczyli się w olbrzymów, którzy mogliby zmiażdżyć tę krainę trzema czy czterema krokami? To zaś, co zobaczyli poniżej, przedstawiało się jako miniaturowy pejzaż. W sekundę później Yonan opadł na kolana i wychylił się poza skraj rozpadliny.

- Dolina! - wykrzyknął. - Góry na zachodzie... Estcarp... Escore!

Czarownica machnęła kamieniem, a może klejnot sam się poruszył. W wąskiej twarzy jej oczy wydawały się przenikliwie jasne.

- Lormt... Es...

To była rzeczywiście miniaturowa kraina. Wewnątrz niej wznosiły się góry, których szczyty, widziane w ten sposób, wydawały się równe, płynęły rzeki, rozlewały się jeziora, biły w niebo skupiska wież strażniczych. Rozsiadły się wsie, jedno czy dwa miasta, widniały lasy i polany, równiny

i wyżyny. Stały tam również kręgi pionowo osadzonych kamiennych bloków i inne monumenty wzniesione ludzką mocą - a może i ponadludzką. Jednak wszystko to wydawało się koncentrować wokół jednej przeogromnej budowli tkwiącej w centrum miniaturowego krajobrazu, pozbawionej sklepienia, otwartej ku niebu. Mogła być jedynie tą, w której się znajdowali. Wewnątrz niej leżało następne zapadlisko, a w nim kolejny, jeszcze mniejszy świat w miniaturze, w owym świecie zaś znowu jawiło się miejsce wypełnione kolumnami, i tak bez końca.

Kelsie potrząsnęła głową, by ochłonać z oszołomienia. Przypominało to jeden z tych bałamutnych obrazów, w którym znajdował się następny obraz, a w tym następnym jeszcze następny, i tak dalej aż do końcowej plamki, zbyt małej, by dała się wyraźnie rozróżnić. Myśląc o tym wszystkim Kelsie rozejrzała się w świetle wczesnego dnia, by sprawdzić, czy n i e p o j a w i ł y s i ę wokół nich jakieś mury i czy nie stali się z kolei częścią jeszcze większego świata.

Oba klejnoty, jej własny, a także czarownicy, kołysały się ponad owym małym światem, w pewnym jednak momencie poczęły wyszarpywać się z więżącego je uścisku. Mogły żyć i poruszać się zgodnie z wolą pozostającą poza ludzką kontrolą. Kelsie wypuściła swój klejnot. Pomknął on ponad owym miniaturowym światem i zawisł nad tą drugą świątynią z kolumnami, ponad tym drugim miniaturowym światem, z którego centrum strzelił prosto w jego stronę błysk światła. Klejnot stał się podobny do rozpalonego do białości słońca i Kelsie była zmuszona przymknąć oczy. Wittle przez niedbalstwo czy też celowo również wypuściła swój kamień, który poleciał jak na skrzydłach w tym samym kierunku. Rozległ się trzask, rozbłysło jasne światło, ale nie w owym miniaturowym świecie, lecz ponad ich głowami. W chwilę potem lunął deszcz

połupanych kryształów, każdy kawałek lśnił tęczo. Żaden jednak nie spadł na nich ani ich nie zranił.

Rozległo się także dzwonięcie, jakieś trele, gdy kawałki kryształów, kołysząc się w podmuchach bryzy, uderzały wzajem o siebie. Był to śpiew, który zaczął się w niezwykle radosnym nastroju, ale w miarę jak Kelsie wsłuchiwała się jak urzeczona w tę muzykę, opadał ku bardziej smutnym tonom. Niemal w tym samym momencie, płynąc w poprzek tego niewielkiego świata, pojawiły się również skrawki cienia. Tu i tam, gdzie przedtem płonęło światło, robiło się mroczno. Ciemność wciąż rozszerzała się i gęstniała, aż wreszcie trzeci z małych światów zatonął w niej. Muzyka kryształów stawała się zaś coraz smutniejsza.

Kelsie stwierdziła, iż wyciągnęła przed siebie ręce, jak gdyby odganiając najbliższe z cieni, by raz jeszcze obudzić jasne światło. Zorientowała się, iż nie potrafi odróżnić własnego kryształu od tego, który nosiła Wittle, albowiem oba kamienie wirując utworzyły kulę. Zwalczala ona cienie rozrzucając świecące iskry światła. A światło, które emitowały klejnoty, całkowicie chroniło ten drugi miniaturowy świat przed ciemnością. Mimo to Kelsie wiedziała, tak jakby oglądała to na własne oczy, iż cienie usiłują zawładnąć również i tym światem.

Wittle przyklękała, z jej ust wylały się słowa, które mogły stanowić jedynie jakieś zaklęcie albo pieśń modlitewną. Niespodziewanie Kelsie stwierdziła, iż także śpiewa tonami naśladującymi brzęczenie kryształu.

Światłość - ciemność,

*Ciemność - światłość,
Noc zastępuje słońca jasność,
Po nocy jasny ranek dzień,
Ze strachu rodzą się nadzieje.*

Kelsie widziała, jak Wittle wyciąga ręce, by przywołać z powrotem swój klejnot. Kamień jednak jej nie usłuchał. Łzy, których Kelsie nigdy nie spodziewała się oglądać, lały się rzęsście z oczu czarownicy, mocząc przód szarej sukni.

Dziewczyna rozumiała znaczenie owej straty i ta świadomość legła cieniem na wszystkich cudownościach, których była świadkiem. Jej śpiew przerwał najpierw jeden szloch, potem drugi. Ale nie sięgnęła po to, czego nigdy nie pragnęła, a co z czasem stało się jej częścią.

Raptem pole walki, na którym toczyła się bitwa pomiędzy Światłością i Ciemnością, stało się jakby ostrzej oznaczone, wyraźniej przedzielone, jedna partia leżącej w dole krainy odcinała się od drugiej. Spłachetki ciemności stawały się coraz mroczniejsze. Mimo to klejnoty, które przekształciły się w jedyne źródło światła ponad ową krainą, nie przestały wirować. A tam, gdzie spadała z nich jakaś iskra, ciemności ustępowały. Mimo to wsie pustoszały i popadały w ruinę, zmienił się też sam kształt krainy. Góry rozbijały się w takt smutnych dźwięków kryształu, uniosły i przekręciły. Tylko tu i ówdzie światło pozostało jasne i czyste.

Kelsie wiedziała, że to, czemu się przypatrywała, wydarzyło się naprawdę, że ciążyło nad ową krainą niczym fatum. Ale choć kraj się zmienił, Kelsie nie widziała ludzi - jedynie roślinność i zmiernych światła klejnotu. Niebawem blask znowu zaczął się wzmacniać, jak gdyby szybsze wirowanie klejnotów przyciągało większą moc.

Kelsie podniosło na duchu spostrzeżenie, że zanikł jeden z cieni, a drugi rozpadł się nagle na kawałki, jak gdyby był czymś konkretnym.

Wtem... Spomiędzy kolumn po drugiej stronie owego świata w zmniejszeniu wykwitł straszliwy czerwony promień, waląc z całej siły w wirujące kryształy klejnotów. Ich jasne światło zamgliło się - to, co było białe i złote, stało się przyćmioną czerwienią. Cienie z powierzchni świata dosięgły już jego serca, gromadziły się i rozciągały, zajmując coraz więcej miejsca. Kelsie krzyknęła żałośnie, wiedziała bowiem, że gdyby straciła swój drogocenny kamień, otworzyłaby drogę Ciemności, która gorliwie sięgała po tę krainę.

Dziewczyna zawisła niebezpiecznie nad brzegiem owego miniaturowego kraju, próbując dosięgnąć swego klejnotu, choćby jednego z końców rozciętego łańcucha. Ale klejnot pozostawał daleko poza zasięgiem jej ręki. Usłyszała, jak Wittle krzyknęła wielkim głosem, i zobaczyła, jak czarownica wygięła się i legła na ziemi, zwieszając jedną rękę i omiatając nią szczyty leżących w dole gór.

- Do mnie!

Czy to Kelsie wydała ów głośny okrzyk, czy tylko nadała mu kształt całym swym ciałem? Tak jak to czyniła już przedtem, wszystkie siły skierowała ku okręcającemu się klejnotowi. Nie należał do niej, zgodnie z prawem nigdy nie stanowił jej własności, służył jej już jednak, toteż była zdecydowana nie pozwolić, by rozplynął się w ciemnościach, ponosząc porażkę.

Skierowała ku niemu całą swą myśl, całą swą wolę. Widziała, iż klejnot obraca się tak, jak się obracał, i przytrzymała ów obraz w swym umyśle bez względu na to, co się działo. Klejnot musi się obracać - bo gdyby tylko się zawahał, przepadłby, a cała jego wewnętrzna moc stałaby się pożywką dla Ciemności, która po takiej uczcie spotężniałaby stokrotnie. Kelsie natężyła swą wolę... i natężyła...

Męska ręka opadła na ramię dziewczyny, która łąpczywie poczęła czerpać siłę z tego dotyku. Kelsie dostrzegła kątem oka, choć była pochłonięta bitwą w zapadlisku, że Yonan znalazł się między nią a Wittle i że jego prawa ręka spoczęła na jej ramieniu, a lewa na ramieniu czarownicy. Dziewczyna zaczerpnęła siły od mężczyzny, a gdy nabrała energii, natężyła się i skierowała ją ku klejnotowi... ach, jak się natężyła. Jednak jakaś jej częśćka, niewielka, głęboko skryta, dziwiła się temu, czego dokonała. I skąd wiedziała, co należało zrobić?

Istotę czerwonego promienia stanowił rozbestwiony ogień, który coraz bardziej wchłaniał jasne światło klejnotów. Ręka Yonana ześliznęła się z ramienia dziewczyny, Kelsie przestała być częścią owego sprzężenia, które dawało jej energię do dalszej walki. Raptem spostrzegła, iż wojownik biegnie skrajem zapadliny, w której leżał miniaturowy świat. Kierował się ku miejscu, z którego wystrzelał czerwony promień. Tamto muzyczne pobrzękiwanie, towarzyszące zbliżeniu się klejnotów, zagłuszył grzmot, który przypomniał Kelsie o wibracji w zwalistym potworze,

o bębnach Thasów. Wciąż walczyła, by utrzymać klejnot przy życiu, nakarmić go własną wolą.

Wiole poruszyła się i podźwignęła na rękach. Twarz miała wymizerowaną, wyglądała tak, jakby dziesiątki męczących lat upłynęły od momentu, kiedy spoczęła zemdlona. Ale raz jeszcze jej usta poruszyły się bezgłośnie, Kelsie sądziła więc, iż czarownica recytuje modlitwę.

Z oddali dobiegł do Kelsie krzyk, szcęk zbrojnych ramion. Yonan musiał dotrzeć do wroga! Mimo to Kelsie pomyślała, że niewiele zdoła on tam zdziałać. Raptem rozległ się krzyk, który wzbił się ponad odgłos bębna... - Glydys... Ninutra!

Wiole zaś, uniósłszy się już na kolana, wykrzykiwała: - Na wolę Langue, na moc Threesees, przez pamięć na Janderoth!

Ci - a może te - których ta dwójka wywoływała czy też przywoływała, nic dla Kelsie nie znaczyli - niemniej była zdecydowana nie ustąpić. I znowu owa niewielka jej cząstka zastanawiała się, czemu zwycięstwo było dla niej tak ważne. Cóż ten świat znaczył dla niej? Mimo to cała jej reszta drżała obserwując ów rozprzestrzeniający się cień.

Ale czy cień się rozprzestrzeniał? Dziewczyna była pewna, iż paluch ciemności, który przeciął jeden z zakątków, chcąc dotrzeć do przyładki wybiegającego w przedziwne morze, wycofywał się z wolna. Na owym przyładku przebudziła się płomienna iskra, gorejąc niebiesko. Pojawił się jeszcze jeden niebieski ognik, bliżej niej, jego płomień był jasny. Dwa bliźniacze słońca, czyli klejnoty, obracały się dalej, a krwistoczerwona mgiełka wokół nich zmniejszyła się nieco.

Kelsie skoncentrowała się, próbując usunąć ze swego umysłu te bitewne dźwięki, które docierały do niej z przeciwnej strony rozpadliny. Jej towarzysze przywoływali własnych bogów, sobie tylko znane postaci mocy. A coż ona mogła przywołać poza tym, co w niej tkwiło?

Jęknęła nie wiedząc, iż jej usta ułożyły się na kształt owego dźwięku, a gdzieś w trzewiach buzowała złość, której nie rozumiała, lecz która podniecała ją tak, jak tamten pierwszy wybuch protestu, co sprawił, iż przeszła przez bramę. Jak nie mogła świadkować śmierci zwierzęcia, tak teraz sprzeciwiała się śmierci świata. Albowiem ów miniaturowy kraj leżący poniżej był dla niej tak prawdziwy jak ten, co znajdował się poza kamiennymi kolumnami.

NIE! Kelsie nie wykrzyczała żadnej prośby do bogów ani nie wydała wojennego zawołania, po prostu przelała całą swą wolę na klejnoty. Być może Wittle również zrobiła to samo, bo drogocenne kamienie poczęły wirować tak szybko, iż jeszcze raz utworzyły ognistą kulę. Czerwony promień owinał się wokół niej, ale nie zdołał przeciwstawić się wybuchowi promieniowania, pokonać go.

Tym razem krzyk dobiegł ją z prawa. Pewnie Yonan został zmuszony do cofnięcia się przez potężniejszego od siebie przeciwnika. Mimo to czerwony promień począł pulsować, siła stanowiąca jego istotę działała z przerwami, załamywała się od czasu do czasu. Gdy zamrze jeszcze raz... wola - użyj woli! I Kelsie tak też postąpiła.

Czerwony promień nie atakował już klejnotów, usiłował trafić prosto w leżący w dole miniaturowy świat... Tkwiąca w nim siła dopadła niebieskiej skry połyskującej na morzu... i drugiej na łodzi. Klejnoty wirowały w oślepiającym blasku, iskry płynęły nieprzerwanym

strumieniem i rozpryskiwały się we wszystkie strony. Układały się w przedziwny wzór ponad tym światem w dole, a tam, gdzie uderzyły, zapalały się nowe niebieskie płomyki. Cienie odskakiwały od nich i pędziły to tu, to tam, usiłując stłumić każdą iskrę, nim ta wybuchnie płomieniem.

Rozległ się szczełk mieczy. Kelsie, wyrwana ze stanu koncentracji, spojrziała w prawo. Yonan niewątpliwie zmuszony był się wycofać. Związały go w walce dwie czeloko-kształtne postaci i stworzenie rodem z koszmarnego snu. Mimo to młody mężczyzna odparowywał i zadawał ciosy, jak gdyby nie pierwszy raz wznosił tego rodzaju mur ze stali.

- Klejnot... podtrzymuj klejnot! - Wittle przerwała śpiew i znalazła się koło dziewczyny, grzebiąc boleśnie w jej rękę zagiętymi palcami.

Tak... klejnot. Dziewczyna ponownie spojrziała na bitwę toczącą się ponad światem w dole. Od tego szaleństwa zaparło jej dech. Jeden z drogocennych kamieni począł zwalniać obroty, iskry przestały rozpryskiwać się na wszystkie strony i wzniecać ogień na ziemi leżącej poniżej. Czerwony promień światła nie usiłował dłużej walczyć ani z klejnotami, ani ze skrami, uniósł się natomiast mierząc prosto w Wittle i w Kelsie.

Dziewczyna poczuła się tak, jakby wchłonęła ją fala płynnych nieczystości. Wszystko stało się okrutne, przygnębiające, a nasiona zła w jej własnej naturze żywo reagowały na to, co niósł ze sobą czerwony promień. Teraz Kelsie musiała walczyć - nie z promieniem - lecz z tym, co się w niej znajdowało. Wszystkie małe podłości, do jakich kiedykolwiek była zdolna, jakim kiedykolwiek uległa, odżyły w jej pamięci, wszystkie dawne niepowodzenia i wątplenia omal jej teraz nie zadusiły. Co tu robi, narażając własne życie, a może nawet więcej niż zwykle swe fizyczne istnienie, w tej oto bitwie? Nie ma żadnych powodów, by bronić świata, w którym się nie urodziła i z którym nic jej nie wiąże. Nie, ten klejnot, który tak hołubi, przynależy do zmarłej kobiety, co poniosła karę za swe szaleństwo, a przecież ona, Kelsie, jest o krok od tego, by udać się w jej ślady.

Nie władała taką mocą jak Wittle, a to, czym rozporządzała, przepadło, od kiedy tu przybyła. Czegóż próbowała dokonać?

To coś w niej niewielkiego, coś, co się podwoiło, co szczydziło z niej przez wszystkie te dni i noce, kiedy wę= drowała, zepchnęło na bok przeszkody i niemal opanowało jej umysł. Wystarczyło tylko powstać, zerwać więz z klejnotem i wyjść stąd na wolność - nie, było to coś znacznie więcej niż zwykła wolność, albowiem ci, co stali po przeciwnej stronie, ofiarowywali nagrodę...

Ich nagrody! Być może zdołaliby ją przekonać, poszli jednak za daleko, chcąc ją przekupić. Jeśli nie uczyniła nic, co by im zaszkodziło, czemu oferują więcej, miast pozwolić jej po prostu wycofać się z tego miejsca? Potrząsnęła głową, by wyrzucić z umysłu obrazy, którymi ją mamili;

nie były to już tamte subtelne obrazy... korespondujące z jej własnymi przemyśleniami czy też obawami. Spostrzegła, iż poszczególne wyobrażenia poczęły prześlizgiwać się tak szybko, że ledwie mogła pochwycić każde z osobna. Pragnęła panować... być pewna, że ma tron. Pragnęła skarbów... drżąc przepłynął przez jej umysł obraz tego rodzaju. Pragnęła pomsty... mignęły okrutne i krwawe sceny. Pragnęła zabawić się tym

światem, co przed nią leżał, pozmieniać go według własnej fantazji, zawładnąć jego przeznaczeniem...

Jej wola wzmogła się ponownie i utkwiała w z wolna okręcającym się klejnocie. Kelsie nie była czarownicą, moc została jej użyczona z drugiej ręki. Ale też dziewczyna nie pragnęła tego, co jej ofiarowano. Pragnęła... pragnęła końca tej drugiej... tej, co przybrała postać czerwonego płomienia, otaczając ją teraz i docierając aż do tkwiących w niej nasion zła, by przeciągnąć ją na swoją stronę.

Nie wiedziała, czy Wittle była narażona na podobne pokusy, nie wątpiła jednak, iż widziała, jak klejnot czarownicy zawahał się przez chwilę, dwie. Ale czarownica długo uczyła się tego, co umiała. Być może, iż ci, co upletli tę pajęczynę, upletli ją dla ludzi rodem z tego świata, mimo to fakt, iż Kelsie nie tu się narodziła, stanowił nie o jej słabości, lecz o sile.

Drogocenne kamienie. okręcały się, kiedy czerwony promień ogarnął obie kobiety. Stał się teraz czymś więcej niż tylko bodźcem dla umysłu; szedł od niego żar, który przypalał ciało tak, jak gdyby wrzucono je do ognia. I ból ten sprawił, iż Kelsie uwolniła się od najmniejszej pokusy, która mogłaby skłonić ją do podjęcia wymuszonej decyzji. Zaciśnęła zęby i sięgnęła po klejnot, skupiając na nim całą swą potęgę. Taką mocą, o jakiej myślała Wittle, Kelsie zapewne nie władała. Ale może ta, którą przyniosła ze sobą, była również jakoś na swój sposób potężna i niezawodna.

Klejnoty już więcej się nie wahały, wirowały coraz szybciej, a iskry, które rozsiewały wokół, stały się jaśniejsze. Cienie ustępowały sponad świata leżącego w dole. Tu i ówdzie na dopiero co uwolnionych obszarach wykwitał świeży niebieski blask. Kelsie poczuła, iż czerwony promień silniej się koncentruje, że choć wciąż próbował zniszczyć moc klejnotów, skłonił się teraz również ku niej w tej ostatniej szalonej bitwie. Mogła była krzyknąć przeraźliwie pod biczem owego parzącego promienia, ale nie zrobiła tego - powstrzymała się ku swemu rosnącemu zdumieniu. Kelsie spostrzegła, iż Wittle poczęła dźwigać się z kamienia, posępną twarz obróciwszy ku kręcącym się drogocennym klejnotom.

Niespodziewanie, zamiast tylko starać się bronić swego klejnotu, Kelsie spróbowała odeprzeć atak - skierować iskry oczyszczającego światła do tych części zapadliska, do których przywarły najciemniejsze cienie w postaci szkodliwej i groźnej mgły. Niebieskie ognie stawały się silniejsze w innych miejscach, rozprzestrzeniały się. Tam! Zatriumfowała... albowiem rzeczywiście umieściła iskrę tam, gdzie sobie tego życzyła, i choć iskra została osłabiona przez ciemności, nie poszła w niepamięć. Pozostała. W jej pobliżu nadleciała inna.

- Ninutra!

Dzięki koncentracji, w jakiej się znajdowała, panowała nad sobą. Yonan jednak został zmuszony do wycofania się w kierunku obu kobiet. Napierały na niego jakieś powykręcane postaci, zarówno ludzie, jak i potwory, wyznaczając mu drogę odwrotu, a krew kapłała z przeciętej na boku kolczugi. Wciąż jednak dzięki niemu zyskiwały czas. Czas na co? Jak długo mogły utrzymać swe klejnoty ponad tym światem w dole i zwalczać coś, co imitowało Ciemności? Nie, żadna wątpliwość nie osłabiła stanu równowagi, w

jakim się znajdowała - musi się skupić na tym, co wciąż jeszcze wiruje ponad ową krainą leżącą w rozpadlinie.

Czerwona mgiełka gęstniała. Yonan zniknął Kelsie z oczu; nawet Wittle stanowiła tylko cień w krwistej mgle. Mgła nie potrafiła jednak skryć ani blasku klejnotów, ani faktu, iż cienie ustępowały przed ich światłem.

„Giń zatem!”

Groźba ta tylko dotknęła jej umysłu, wyłoniwszy się spośród mgły, ale była niby krzyk przeszywający do szpiku kości. Po chwili czerwony promień ograniczył swe zmagania z klejnotami, rzucono go tam, gdzie Kelsie i Wittle prowadziły tę część owego dziwnego pojedynku, która przypadła im w udziale.

„Umieraj!” Kelsie oddychała ciężko, usiłując złapać nieco czystego powietrza, mimo to płuca jej wypełniał gęsty prażący gaz. To się jeszcze nie ziściło - obwieściło coś, co stanowiło jej istotną część. Była to ostatnia broń, jaką posłużyły się cienie... a gdzie znajdowała się jej własna broń... tam!

Uczepiła się myśli o klejnocie, nie będąc zdolna widzieć go teraz, albowiem owinęła się wokół niej gęsta mgiełka. Podtrzymuj... tylko podtrzymuj...

Niezależnie od jej woli pojawił się jakiś inny rozkaz, którego nie potrafiła ani powstrzymać, ani pokonać. Walcz! Wymierz klejnot nie ku krainie, której strzeże, lecz ku promieniowi tworzącemu czerwoną zasłonę... zwalcz go jego własną bronią. Drogocenny kamień odpowiedział na ten impuls. Przestał się dłużej okręcać i snuć ów właściwy sobie rodzaj osłony ponad światem w miniaturze... zachybotał się natomiast na swej osi, a potem kreśląc wyraźny wzór pomknął w dół czerwonego promienia jak po torze.

Leciał swoją drogą niczym rzucony z całej siły kamień. Szedł od niego płaczący dźwięk, który rósł coraz wyżej i wyżej, aż w końcu Kelsie przestała go słyszeć, czuła jedynie w całym ciele.

Ale klejnot Wittle nie ruszył się ze swego miejsca, mimo że przestał sypać życiodajnymi skrami, i cienie znowu poczęły się zbierać.

Gwiazda-kamień, która została Kelsie użyczona, pędziła z ogromną szybkością. Nie dało się jej dostrzec gołym okiem, dziewczyna mogła jedynie we własnym umyśle śledzić jej straszliwy pęd. Wokół począł słabnąć srogi bicz ognia - kimkolwiek był ten, kto go stworzył, wycofywał wszystkie swe siły, gotując się do walnej rozprawy. Kelsie nie brakowało odwagi. Brakowało jej natomiast szalonej dumy i takiejże radości. Jak gdyby wydając bitwę wrogowi, wystawiła na zgubę swą własną sprawę.

- Ninutra! - Ponownie dobiegł do niej gdzieś z dala, z czerwonego mroku, wojenny okrzyk Yonana. Kelsie przykucnęła, całą wolę i siłę skupiwszy na zanikającym klejnocie.

Raptem spostrzegła coś, co oślepiwszy ją przyprawiło o mruganie powiekami. Po drugiej stronie zapadliny znajdowała się pojedyncza postać. Dziewczyna nie widziała jej wyraźnie, ale w swoim umyśle wytworzyła wyobrażenie migocącego białą ciała, wyginającego się i obracającego jakby w jakimś dziwnym uroczystym tańcu. Z każdym uderzeniem stopy tancerza o kamień pojawiał się nowy czerwony kłęb i kierował ku promieniowi. Ale klejnot już tam dotarł i zawisł nad głową owej postaci.

Kelsie wyrzuciła z siebie w tym momencie całą siłę woli. Klejnot, zachowując równowagę, począł wirować tak, jak wirował ponad krainą w zapadlisku. To widziała go w swym umyśle, to nie widziała, kiedy kolejny kłęb czerwonych oparów wznosił się do góry. Ale Kelsie wyczuła coś jeszcze - tancerz nie wziął pod uwagę tego, że musi mieć czas na przywołanie siły promienia we własnej obronie. Tego czasu nie wolno mu było dać. Jak przedtem za pomocą własnej woli Kelsie krzesła skry z gwiazdy zawieszanej nad rozpadliną, tak teraz próbowała osiągnąć to samo, wykorzystując wirowanie klejnotu nad miejscem, które sługa Ciemności uważał za bezpieczne. Wokół... tak! Wokół znów!

Czuła, jak rozżarzony promień przenika ją do szpiku kości, czuła, że już nie może przywołać miniaturowego słońca, które toczyło walkę w jej imieniu poza zasięgiem wzroku. Obracaj się... iskra... iskra! Tam!

Pierwsza drobina światła przerwała blask otaczający klejnot. Skoczne stopy tancerza układały nowy wzór, jeden z tych, któremu nie wolno było zezwolić na przybranie ostatecznego kształtu. Tam... następna iskra i tancerz zawahał się na chwilę - krótszą niż oddech, ale się zawahał! Teraz!

Wszystkie siły, jakie tylko zdołała przywołać, Kelsie skierowała w drugie uderzenie. Zapewne ostatnie swe uderzenie. Czerwona mgiełka tak ją omotała, iż czuła, że została całkowicie odcięta od realnego świata, schwytana w pułapkę udręki. Być może wizja, która powstała w jej umyśle, była również iluzją i Kelsie została wyprowadzona w pole.

U dołu owego promienia, który zamknął ją w sobie, pojawiło się jakieś drżenie. Po chwili następne. Kelsie mogła odetchnąć swobodniej, nic już nie męczyło jej drapiąc w gardle i płucach. Jej energia rosła. Tak! Tancerz nie był już tak pewny wzoru, który układał... pojawiły się nad nim skry... nie tak wielkie jak te, które klejnot rozsiewał ponad światem leżącym w zapadlinie, ale wystarczająco duże, by przeniknąć przez pajęczynę, którą tamten splótł, puszczając luzem to tu, to tam kawałki wypracowywanego przez siebie wzoru. Teraz!

Kelsie rzuciła się w lewo, przetoczyła ponad skałą i z głuchym odgłosem rąbnęła w Wittle. Jedną ręką wymachiwała wokół siebie, aż wreszcie zacisnęła ją na kościstym ramieniu czarownicy.

„Daj mi Moc!” Choć Kelsie nie wykrzyczała tych kilku słów, wypłynęły one jednak z jej wnętrza. Być może raptowność całego zdarzenia skłoniła Wittle do posłuszeństwa. Z ręki czarownicy do ręki dziewczyny popłynęła fala siły. W wizji, którą Kelsie miała, klejnot począł się swobodniej obracać, nie opuszczając tancerza ani na chwilę i śląc w dół deszcz iskier.

Kelsie czuła, jak z wolna pęcznieje jej ciało - jakby moc, którą przyjęła od Wittle, była zbyt wielka, by mogła ją zatrzymać albo sama spożytkować, toteż walczyła, by całą tę potęgę skierować do swego umysłu i wycelować prosto w oręż, którym posługiwała się Ciemność, a któremu nie zdołała przypatrzeć się jak należy.

Otoczająca je czerwona zasłona poczęła się rozpraszać; Kelsie widziała już czarownicę... ale Wittle nie obróciła głowy ani nie uczyniła żadnego gestu, by dać znać, iż również ją widzi. Wiole wpatrywała się z wielkim natężeniem w zapadlisko. Albowiem ponad nim znajdował się, ledwie widoczny wśród czerwonych oparów z wolna rozrywającego się promienia, jej własny klejnot - wciąż

zawieszony w powietrzu, ale już nie obracający się tak szybko jak przedtem, raczej chybotający się, jak gdyby to, co go podtrzymywało, przestało niemal istnieć.

Ale Kelsie nie zważała na nic. Bitwa trwała, musieli pokonać tancerza, a nie cienie zbierające się ponownie nad niewielkim światem w dole.

- Uwolnij... poślij! - zażądała dziewczyna. - Daj siłę... Kelsie wciąż czuła przyływ Mocy, którą otrzymała od czarownicy, ale Moc ta malała. Wizja tancerza, jaka powstała w jej umyśle, stawała się coraz bardziej mglista i mglista, aż w końcu dziewczyna nie była pewna, czy tancerz ów w ogóle istnieje, czy nie została wciągnięta w pułapkę, w której oba klejnoty dożyją końca swoich dni, pozostawiając świat w rozpadlinie na pastwę Ciemności.

17

Było ciemno, dusząco ciemno, opary wypełniały wszystko. Tancerz nadal się poruszał w owych ciemnościach, ale jego zwinne stopy, układające sobie znany wzór, zaczęły rozpaczliwie szurać.

Kelsie otworzyła oczy. Leżała na skraju zapadliny, tuż obok spoczywała jakaś szarość, mocno podniszczona w czasie wędrówki, z pewnością była to Wittle. Skądś z wysoka dochodziły nikłe dźwięki krystalicznej muzyki, którą pierwszy raz usłyszała wtedy, gdy uwolnione klejnoty znalazły się ponad miniaturowym światem. Z wysiłkiem obróciła głowę i podciągnęła się z wolna ku krawędzi zapadliska. Czerwona fala opadła, w oddali kręcił się i obracał pojedynczy klejnot - Wittle, pomyślała. Dziewczyna dotknęła ręką piersi, miała bowiem jeszcze nadzieję, iż nie straciła tego, co wydawało się jej ciężarem, czego nigdy nie pragnęła nosić, a co stało się jej częścią.

- Yonan? - zawołała głosem, który brzmiał ochryple z powodu udręczenia gorącem. Nie było odpowiedzi. Kelsie uniosła się więc na kolana i zaczęła patrzeć w tę stronę, gdzie widziała go w czasie walki. Spoczywały tam ciała... dwa ciała... jedno w kolczudze.

Jakoś podniosła się i pochyliła w tamtą stronę. Wokół ziało pustką, jak gdyby coś wycofało się samorzutnie czy też zostało wyrzucone siłą z owego świata wewnątrz świata. Nie tylko klejnot, pomyślała.

Chwiejąc się przystanęła obok owych ciał i pochyliła się nad nimi, chcąc się upewnić, czy to w kolczudze nie należy do wojownika z Doliny. Ale ciało należało do Ciemności, okrutna twarz napotkała jej wejrzenie. Kelsie obeszła potwora, nie mając ochoty przyglądać się mu dokładniej.

Kamienie były zbryzgane krwią, dziewczyna trzymała się tego krwawego szlaku. Musi iść tam, gdzie przepadł jej klejnot. Choć już wiedziała, że nie ma swego talizmanu, swego oręża, pragnęła go teraz.

Trzecie z kolei ciało, również w kolczudze, leżało zwrócone twarzą do ziemi. Kelsie pochyliła się nad nim i podniosła jego głowę, obracając ją jednocześnie, by zajrzeć w jeszcze dziwniejsze rysy. Gdzie podział się Yonan? Wykrzyknęła jego imię podniesionym głosem, odbiło się ono echem od świata w rozpadlinie. Wlokła się mozolnie od jednej kolumny do drugiej. Raptem natknęła się na mocno zakrwawione, pocięte ciało jakiegoś

potwornego stworzenia, całkowicie owłosionego, ze szponami. W chwilę potem dostrzegła jeszcze coś nieco dalej.

Ktoś siedział, wsparłszy się plecami o kolumnę, z głową opadłą na pierś.

- Yonan!

Puściła kolumnę, którą właśnie obejmowała, i potykając się ruszyła do przodu. Kamienne podłoże było osmalone, wokół unosił się odór przypalonego ciała. Jednak Kelsie nie miała wątpliwości, iż dostrzegła, jak ten ktoś się poruszył. Niemalże dotarła już do siedzącego, kiedy jeszcze coś zauważyła. W pobliżu leżało dziecko, którego ciało było tak skręcone, jak gdyby cała siła wyciekła z niego w jednej chwili.

Nudności podeszły Kelsie do gardła. Pośród na pół osmalonych, na pół nadpalonych ciał te białe kończyny wydawały się nie tknięte, nie było na nich najmniejszego śladu ognia, który musiał tu szaleć.

Mężczyzna oparty o kolumnę obrócił z wolna głowę. Yonan! Odnalazła go naprawdę. Miecz, od którego czubka odłamało się nierówno ostrze mniej więcej na szerokość dłoni, leżał obok pustej ręki wojownika. Żelazny guan zdobiący rękojeść ściemniał, tworzył czarną plamę podobną do gnijącego owocu.

Mężczyzna wznosił nieco głowę, by spojrzeć na dziewczynę. Po raz pierwszy Kelsie dostrzegła mglisty uśmiech błędzący na jego wargach, ujmujący lat jego posępnej twarzy.

- Jesteś ranny? - Stała nad nim niepewnie, nic nie wiedząc o sztuce uzdrawiania ludzi; знаła tylko to, z czym się zetknęła lecząc zwierzęta. Wreszcie przykłęka i usiłowała uwolnić go od zbrukanej krwią kolczugi, chcąc dotrzeć do rany na boku.

Niezdarnie poruszając palcami, próbował jej pomóc. Wreszcie Kelsie odłoniła zięjącą w jego ciele szczelinę, która powoli krwawiła. Z własnej koszuli oddarła pas materiału i zabandażowała ranę, jak umiała najlepiej. Nim jednak okręciła go tym mocnym kawałkiem materii, wysypała nań resztki sproszkowanej illbany, które przywarły do wewnętrznych szwów woreczka Yonana.

Poddał się biernie jej rękóm, leżąc z zamkniętymi oczami. Dziwna słabość, która spłynęła na niego wcześniej, stała się znacznie bardziej widoczna, tak że Kelsie nie mogła go dłużej uważać za samodzielnego wywiadowcę, który prowadził je i ochraniał, ale jedynie za młodego człowieka, który walczył z nieustraszoną odwagą, by doprowadzić do celu poszukiwania, co z początku zdawało się niemożliwością.

Kiedy ułożyła go wygodnie, jak potrafiła, ciekawość podszyta strachem zmieszonym z nieśmiałością popchnęła ją ku owej białej postaci, -która wciąż jeszcze leżała w pobliżu. Jasne ciało należało do młodziutkiej dziewczyny, jej ciemne włosy spływały w dół osłaniając twarz. A bosa stopy były tak małe... z pewnością pasowały do śladów, które wcześniej widzieli. Jednak otaczało ją coś nieuchwytnego. Czyżby była owym tancerzem, który usiłował sprowadzić koniec na klejnoty... na nich?

Chociaż wzdrygała się przed tym, odłoniła twarz zmarłej, unosząc na bok ciężkie pasmo włosów. Rozległo się dzwonienie kryształu... Kelsie, przyjrząwszy się uważniej martwej dziewczynie, dostrzegła na jej ręce, na białej skórze, kilka niewielkich kawałków kryształu - jeden czy dwa wciąż połyskiwały słabym niebieskawym światłem. Klejnot! Znowu Kelsie poczuła ból straty. Nigdy do niej nie należał, mimo to nosiła go i nawet

odważyła się użyć. To końcowy wybuch jej woli zabił to dziecko, zakończył całą tę batalię i... cóż takiego jeszcze sprawił?

Zbliżyła się do skraju zapadliny i spojrzała w dół. Klejnot Wittle nadal się obracał, znacznie jednak wolniej, rozsiewając wokół siebie niebieskie iskry, które opadały na świat leżący w dole. Cienie, jak spostrzegła Kelsie, nie zostały całkowicie przepędzone, lecz zebrały się tu i tam w ponure sadzawki ciemności, wydawały się jednak rzadsze i mniej liczne.

Wittle przybyła tu, by odnaleźć Moc. W pewnym sensie wszakże to Moc ją odnalazła i wykorzystana - jak wykorzystana i Kelsie. Tego, czego tu dokonały, Kelsie nie rozumiała - zapewne jakiś wtajemniczony, jeden z tych, o których ludzie tak często rozprawiają, mógłby zmierzyć to, co zostało zrobione, i orzec, czy dla dobra, czy też dla zła.

- To był Eftan. - Yonan odezwał się po raz pierwszy od dłuższego czasu, a ona odwróciła się od tego świata w dole. - Przekupili go dla swoich celów.

- Eftan?

- Żywiół powietrzny - wyjaśnił Yonan. - Należą do niego ci, którzy potrafią wytańczyć, jeśli tylko zapragną, nawałnicę. Ta tam, tańczyła według wzoru ustanowionego dla tego miejsca... - Wskazał osmalony i pokiereszowany bruk. Wokół tej, co spoczywała w środku, wały się martwe ciała.

Spoczywała w środku?

Na owym kamiennym bruku wciąż jeszcze widać było jedną czy dwie nikłe linie. Ale... Kelsie przytknęła obie dłonie do ust, by powstrzymać krzyk. Ciało nikło w oczach... wijąc się wyciekały spod niego wąsy białawego dymu. Dziewczyna patrzyła, jak znika ciemność... Podmuchał chłód - niczym ów dym, co zebrał się w długi paluch, nadleciał z okrytych śniegiem górskich grani. Kelsie wzdygnęła się i cofnęła o krok czy dwa czekając, kiedy ten lodowaty chłód natrze na nią - zmrozi na kość tam, gdzie jej wrogowie zginęli od ognia.

Biała plama ciała nabrała niebieskiego zabarwienia, dym zaś wznosił się prosto do nieba ponad kolumny pozbawione sklepienia, mknąc niczym jakieś stworzenie wypuszczone niespodziewanie na wolność. Wreszcie ciało zniknęło, pozostały po nim jedynie niewielkie kryształowe okruchy.

- Co...? - Kelsie nie zdołała dobrać właściwych słów. Tancerka z pewnością nie żyła.

- Wróciła tam, skąd przybyła - rzekł Yonan i skrzywił się przykładając rękę do boku.

- Może do tego, czego tu dokonała, zmuszono ją zaklęciami i teraz jest wolna. Ci z jej rodzaju rzadko mieszają się w sprawy ludzi czy demonów... - Spojrzał na jedno ze spieczonych przez ogień ciał, które leżały w pobliżu.

- Czy ona wróci? - zapytała Kelsie. - Klejnot... rozbity.

- Nie sądzę, byśmy znów mieli się zetknąć z tego rodzaju orężem - odparł - co wcale nie znaczy, że nasi wrogowie nie spróbują czego innego. - Krzywił się jeszcze bardziej, gdy sięgnął po swój ułamany miecz, spoglądał to na złamane miejsce, to na pozbawione naturalnej barwy żelazo guan.

- Jesteśmy teraz, każde z osobna, pozbawieni broni, moja pani.

- Tam jest klejnot Wittle...

- Jeśli wciąż jest jej posłuszny; jeśli ona go jeszcze pożąda... - rzekł Yonan niezbyt pewnie.

- Możesz iść? - Pytanie zabrzmiało niczym rozkaz. Kelsie nie chciała pozostawiać czarownicy samej sobie. Obecnie interesowało ją tylko, jak znów zebrać do kupy całe to niedobre towarzystwo.

- Jeszcze nie z tych, co się przestali liczyć, pani odparł mężczyzna, usiłując podeprzeć się rękoma, by się podźwignąć. Kelsie pośpieszyła mu z pomocą. Na jego znak schowała do pochwy to, co pozostało z miecza, i przewiesiła sobie przez ramię strzaskaną kolczugę. Mogli więc ruszyć z wolna skrajem zapadliska, przesuając się od jednej kolumny do drugiej i przystając wielokrotnie, kiedy dziewczyna widziała krople potu na czole mężczyzny i jego zaciskające się usta, jak gdyby ostatnią rzeczą, o jaką mógł prosić, było zwolnienie kroku czy dłuższy wypoczynek.

Zanim dotarli do Wittle, Kelsie usłyszała najpierw jej głos. Czarownica śpiewała ochryple rozrywając rytm własnych słów. Siedziała, nie mieli co do tego żadnych wątpliwości, na samym brzegu rozpadliny, nie patrząc w dół na leżącą tam krainę, ale raczej przed siebie na wolno obracający się klejnot. Śpiewając wyciągnęła do przodu ręce, jak gdyby znów go chciała ująć i na przekór nadchodzącym zachować w stanie nie uszkodzonym. Na jej twarzy pojawiło się ogromne pożądanie, a oczy, które wpatrywały się w odległy klejnot, zapadły się tak głęboko, jak gdyby czarownica gorączkowała od dłuższego czasu z powodu jakiejś choroby. Raptem przerwała swą pieśń, dotknęła czoła i przetarła oczy, jakby chciała zetrzeć z nich mgiełkę, by zobaczyć to, co tak pragnęła zobaczyć że coś stanowiącego jej istotną część leci jak na skrzydłach ku niej z powrotem.

Mimo to klejnot nie przestał się obracać, nie zmienił też nawet o ułamek własnej pozycji. Mienił się nad owym światem w zapadlinie niczym jakieś dziwne nowe słońce, na pozór tak zawieszzone, jak mogłaby być zawieszona prawdziwa kula ognia na niebie Escore. Jego ciepło dosięgło ich już między kolumnami.

- Wittle! - Kelsie zostawiła Yonana przy najbliższej kolumnie i ruszyła ku czarownicy, by złożyć ręce na jej pochylonych ramionach. - Wittle!

Czarownica zaklinała zapewne wiatr, a może ów jęzor mroźnego powietrza, który uformował tancerkę, co niemal nie sprowadziła kresu nie tylko na nich, ale również na świat leżący w rozpadlinie.

- Wittle!

Czarownica zamaszystym ruchem chwyciła Kelsie ręką na wysokości uda, omal nie strącając jej w dół. Patrząc z góry na miniaturowy świat, dziewczyna widziała, jak wciąż przemykały po nim jakieś cienie, a deszcz iskier to tu, to tam zsyłał je w otchłań nicości.

- Ona jedna jest ze swoim klejnotem. - Głos Yonana rozbrzmiał jak gdyby z oddali. - Ona jedna pozostanie z nim do końca.

- Ale ja... ten drugi klejnot... - zaprotestowała Kelsie. - Nie jesteś czarownicą, przynajmniej nie jesteś czarownicą z Estcarpu, gdzie moc przypisana jest do jednej

osoby. Jeśli uda się jej przywołać swój klejnot, będzie uratowana. Ale jeśli klejnot nie ulegnie jej...

- Musimy się stąd zbierać! - Kelsie niemal uwolniła się od zauroczenia, którym ją opleciono. Z klejnotu, który nosiła, nie pozostało nic poza okruchami, toteż czuła się dziwnie obnażona, bezbronna, jak coś, co łatwo upolować. Nie mogła uwierzyć, iż naprawdę pokonali to, co usiłowało zniszczyć nie tylko ich, ale również wszystko, co leżało w zapadlisku.

Przyjrzała się uważniej owej krainie w dole i dostrzegła Dolinę - nie miała co do tego żadnych wątpliwości. W krainie tej były również inne miejsca, w których niebieskie światło obiecywało ukojenie i bezpieczeństwo. Poczęła dokładnie przyglądać się miniaturowemu światu, by zorientować się, gdzie leży najbliższa z owych wysp prawdziwego bezpieczeństwa. To miejsce z kolumnami, oglądane z góry, wydawało się niewspółmiernie wielkie w stosunku do reszty okolicy. Na północ od niego widniała jedna z najciemniejszych plam cienia - cofała się jakby samorzutnie, co do tego Kelsie również nie miała żadnych wątpliwości. Pierwotnie bowiem obejmowała miejsce z kolumnami. Ale skoro nie potrafiła przebudzić Wittle z transu, skoro nie była w stanie wspierać Yonana zbyt długo, jakże więc mogłaby...

- Zbierać się? - Wypowiedziane przez nią wcześniej słowa wróciły do niej echem. - Czyżbyś sądziła, iż zamierzamy już wracać? - Głos Yonana był cichy i bardzo zmęczony. Spojrzała nań szybko. Młodzieniec osunął się wzdłuż kolumny i leżał u jej podnóża, wszystka krew

spłynęła mu z twarzy, toteż jego opalenizna przybrała matowoszary odcień.

Kelsie uniosła podbródek i spojrzała mu prosto w oczy. - Jakaż miarą mierzyć nasze zwycięstwo...?

- Mała bitwa w wielkiej wojnie - odparł z wolna i przymknął oczy.

Wiole tymczasem nie patrzyła na nic innego, tylko na wirujący klejnot, do którego bez przerwy wyciągała ręce. Jej pienia przeszły w ochryply szept. Kelsie spojrzała na miniaturowy świat. Upór nie pozwalał pogodzić się jej z klęską, która zwała Yonana, ze stanem, w jaki popadła Wittle. Usadowiła się na skraju rozpadliny i poczęła badać, jak by tu przedostać się od miejsca z kolumnami z powrotem do Doliny. W to, iż mogliby znów dotrzeć do jakiegoś dużego źródła mocy w rodzaju tego, którego Wiole poszukiwała, Kelsie nie wierzyła. Przymus, który wiódł ją coraz dalej i dalej i przywiódł aż do tego oto miejsca, znikł razem z jej klejnotem... czy też z klejnotem Roylane. Tylko odwrót mógł ich uratować. Gdyby pozostawili te kolumny i udali się nieco dalej na zachód... napotkaliby rzekę i mogliby ruszyć jej śladem aż tam, skąd już niedaleko do Doliny. Z pewnością skoro tylko znaleźliby się z powrotem na patrolowanym terytorium, zostaliby wytropieni i pojmami.

- Wittle! - Kelsie przesunęła się i znów przyklękała przy czarownicy, ujęła ją za ramiona i potrząsnęła tak mocno, aż głowa kobiety poleciała do przodu, a potem do tyłu. - Wittle!

Ciemne oczy wpatrywały się w nią tak, jak gdyby była pozbawiona ciała niczym dym. Nic, co mogła zrobić, nie wyrwałoby czarownicy z jej nieszczęścia, nie złagodziłoby tęsknoty za klejnotem. Ale Kelsie nie zamieniła się w powietrze. Uderzyła z całej siły tę

chudą twarz, najpierw w jeden policzek, a potem w drugi, aż ślady, pozostałe po jej dłoni, poczęły podchodzić czerwonymi plamami.

Tym razem Wittle zamrugła oczami, nieruchome spojrzenie załamało się.

- Wittle!

W rękach Kelsie ciało czarownicy wyginało się we wszystkie strony, jak gdyby kobieta usiłowała zobaczyć obracający się poza plecami dziewczyny klejnot. A kamień skrzył się coraz słabiej i słabiej, zaledwie garstka iskier posypała się w owej chwili, by wygnąć cienie, które zaległy po najróżniejszych zakamarkach.

- Wittle, czyhają na nas. Musimy iść.

- Na Hofera i Tema, na Dziesięć Świąteł i Dziesięć Szklanych Kul, na Sześć Wiązek i Trzy Płomienie... Kelsie rozumiała poszczególne słowa, ale co one miałyby znaczyć, nie wiedziała. Wittle uniosła rękę i wymierzyła palec prosto w twarz, prosto w oczy Kelsie. Dziewczyna uchyliła się i puściła czarownicę.

Wiola zaś podniosła się, a siła jej ciała sprawiła, iż nie miała żadnego kłopotu z uwolnieniem się od Kelsie. Zrobiła dwa kroki do przodu, ostatni ponad skrajem zapadliska.

Kelsie krzyknęła wielkim głosem, Wittle przepadła bez śladu. Może przekroczyła jakieś wrota, gdy uczyniła ten krok naprzód. Nic nie przemawiało za tym, iż jej ciało roztrzaskało się o skały leżącej w dole krainy. W tym samym momencie klejnot nabrał szybkości; wirował dwukrotnie prędzej, wyrzucając z siebie coraz więcej iskier. Być może ożywił go wyczyn Wittle.

- Ona... ona zniknęła! - Kelsie wyciągnęła zamaszystym ruchem rękę do przodu, gdzie jeszcze kilka chwil wcześniej stała czarownica. Nie było tam nic, tylko powietrze, nie pojawił się nawet ślad czegoś, co wydzielał Eftan oznajmiając swe nadejście.

- Jej moc należała do niej... - powiedział Yonan zmęczonym, gasnącym głosem. - Skoro klejnot do niej nie wrócił, sama udała się do niego. Znalazła to, po co wyruszyła... resztki zużytej mocy.

Jak gdyby potwierdzając te objaśnienia, klejnot załśnił naprawdę - stał się niemal tak jasny jak wtedy, kiedy połączył się z klejnotem Kelsie, sypiąc wokół skrami. Cienie... te pierzchały, pędząc z powrotem ku miejscom stale należącym do Ciemności. Ale nawet i te zniknęły jedno

po drugim, uwalniając przestrzeń od plam zła, co trzymało niektóre z nich bardzo długo.

Źródło Wielkiej Mocy - to było coś, czego szukały czarownice z Estcarpu, to było to, co odnalazła Wittle. Kelsie odwróciła się do Yonana. Przeraziła ją ta wirująca kula światła. Gdyby ostał się jej własny klejnot, czy również zostałaby wciągnięta w zapadlisko? Czy w tej chwili mogła jeszcze być pod wpływem Wittle?

Odsuwała się po trochu od brzegu rozpadliny.

- Twój los nie został przypieczętowany. - Słowa Yonana niewiele jej mówiły. Niczego nie pragnęła tak bardzo, jak ruszyć między kolumny, by wydostać się z tego miejsca. - Nie jesteś czarownicą z Estcarpu. Klejnot trafił do ciebie jako podarunek, nie jako broń...

- Podarunek... - powtórzyła. Co to za podarunek, którego nikt nie przywitałby z radością...? - Któż chciałby coś takiego? - Wskazała gestem miniaturowe słońce, w które przeistoczył się drogocenny kamień.

- Wielu - odparł krótko mężczyzna. Przez jego twarz przemknął cień, nie był on odbiciem zła, raczej wyrazem jakiejś straty. - Każdy otrzymuje podarki. Te, które hołubimy, nabierają wartości. - Namacawszy pas zacisnął rękę na głowicy złamanego miecza. - Znałem kogoś, komu wiele ofiarowywano, żądając w zamian drogiego kamienia. Wittle podążyła teraz innymi drogami, niewiele pamięta z tego, co się wcześniej wydarzyło, może tylko tyle, iż coś, co jest z dala od niej, nie ma już z nią żadnego związku. Glydys... - przeciągał to imię, jakby pragnął skłonić tego, kto je nosił, by się im teraz objawił.

Ale Kelsie nie interesowały przeszłe sprawy. Cofnęła się tak, by trzon kolumny znalazł się między nią a wirującym kamiennym słońcem. Nie mogła bowiem uwolnić się od przekonania, że gdyby pozostała w bezpośrednim zasięgu jego światła, mogłaby również zostać wciągnięta w rozpadlinę jako ta, która tak długo nosiła, posługując się nim, współtowarzysza tego klejnotu.

- Chodźmy! - zażądała od Yonana Kelsie. Uśmiechnął się krzywo.

- Idź, pani. Nie sądzę, by zło gdzieś się teraz przyczaiło. A jeśli idzie o mnie - uniósł rękę w ociężałym geście, wskazując swe rozciągnięte na całą długość ciało - potrzebuję dwóch nóg, które by mnie poniosły.

Miał rację. Albowiem było to zapewne niemożliwe, by się podźwignął, a potem wycofywał drogą między kolumnami. Gdyby zaś ruszyli razem, długo jeszcze byłiby wystawieni na działanie tego, co się tutaj od dawna gnieździło - być może od bardzo dawna. Jednak Kelsie nie potrafiła zdobyć się na ten krok, by wyjść stąd pozostawiając go własnemu losowi.

- Co robimy? - zadał pytanie, które niepokoiło jej umysł, ale którego nie pozwoliła sobie wyrazić. - Ależ to proste, pani. Udasz się po pomoc. Ja pozostanę...

- By znów zmierzyć się z wrogiem? - Machnęła ręką w kierunku przeciwnej strony zapadliska i leżących tam nadpalonych trupów. Yonan zostałby zapewne rozsieczony na kawałki, gdyby jej klejnot nie pomógł w końcowej batalii. Końcowej batalii? Czemuż sądziła, że najgorsze już minęło? Wspomniała ogary, Sarneńskich Jeźdźców, martwe potwory, które niedawno widziała.

Nie mogła też uwierzyć, by ów pojedynczy klejnot-słońce zechciał trawić czas poza miejscem, nad którym teraz wisiał, i osłaniać ich w dalszych poczynaniach.

- Ponieśli porażkę - odparł Yonan. - Cokolwiek tutaj robili, to skończone. Nie wrócą, dopóki świeci klejnot. Sądzę też, iż ten świat poniżej nas jest zwierciadlanym odbiciem tego, który nas otacza, a to, co zrobiła Wittle, uczyniła dla Dobra, nie dla Zła. Nie, zbieraj się, pani... i sprowadź pomoc...

Zamiast mu odpowiedzieć, Kelsie ostrożnie zbliżyła się jeszcze raz do skraju zapadliska i stała tam, chcąc wypatrzeć to, co, jak była pewna, stanowiło odbicie Doliny, zwracając przy tym uwagę na dzielącą ich od niej odległość. Gdyby mieli konia, zdolaliby ją pokonać - ale żadnych koni nie było w pobliżu z wyjątkiem owych okrutnych bestii jeźdźców. Wędrówka mogłaby zabrać jej wiele dni, a Kelsie wcale nie miała pewności, której drogi się trzymać, gdy opuści to miejsce... może tej, co prowadziła obok twierdzy w kształcie przycupniętego potwora.

Dolina. Tak, wypatrzyła ją z tego miejsca, w którym stała. Znajdowała się... dokładnie tam! Wydobywało się z niej teraz coś, co przypominało mgłę, w jaką przywdział się pierzchający Eftan. Cofnęła się, jej ręce uniosły się bezwiednie na wysokość piersi, tam gdzie nie było już klejnotu, który bronił albo uderzał. Rozległ się niewielki wybuch, jak gdyby rozstąpiło się powietrze, a w chwilę później dało się słyszeć groźne pomrukiwanie.

Kelsie wpatrywała się w dzikiego kota, zwierzę, przez które przeżyła tę całą przygodę. Jego wargi uniosły się obnażając ostre kły, futro najeżyło, a wygięty ogon przemienił w sztywną szczotkę.

„Ty... chodź...”

Dwa drżące słowa pojawiły się w jej umyśle, jak gdyby kot musiał wysilić się potężnie, by je zrozumiała. Zwierzę poruszało się cicho między nią a brzegiem rozpadliny. Kelsie rozumiała je dobrze; chciało ono, by ruszyła w ślad za Wittle, by przeskoczyła... czy też wskoczyła... mierzając własnym ciałem w szczyty leżące w dole. Przetarła oczy, pewna, że to wszystko jest iluzją, że nie ma tu dzikiego kota, że to jej własna pamięć spletała jej takiego figla.

- A więc... tędy wiedzie droga? - Głos Yonana wystraszył Kelsie, toteż wzdrygnąwszy się omal nie znalazła się na brzegu rozpadliny. Mężczyzna czołgał się niczym straszliwie poranione zwierzę w kierunku zagłębienia w podłożu. Kelsie próbowała go dosięgnąć, chwycić, powstrzymać jakoś, bo nie miała wątpliwości, iż był on blisko tego, by zrobić właśnie to, czego życzył sobie kot.

Ale kiedy tylko zrobiła krok w jego stronę, kot rzucił się na nią z uniesioną łapą, wysunąwszy pazury na całą długość. Uderzenie trafiło Kelsie w uda i dziewczyna potknąwszy się wycofała się do tyłu. Było już za późno. Yonan dotarł do skraju rozpadliny i przytrzymawszy się podciągnął do przodu, pozostawiając niewielki krwawy ślad na kamieniu. Zwłókł się zeń i znikł!

Kelsie spojrzała na drogocenny kamień, oczekując kolejnego rozbłysku energii. Ale nic takiego nie nastąpiło. Niebawem dziewczyna poczuła znów na sobie grabie pazurów, gdy kot zwałił się na nią po raz drugi. Ustąpiła... potknęła się i ku swemu przerażeniu poczuła, że przelatuje ponad brzegiem zapadliska.

Nie pograżyła się w czarnej otchłani, nie doznała uczucia opadania, które potem by się jej przypominało. Otworzyła oczy, a ponad nią rozpościerał się błyszczący gobelin dachu z piór.

Znowu w Dolinie! A może był to sen... ta cała jej wyprawa? A może to wszystko jest snem... nocne zwidy jako skutek upadku?

Jakieś łapy opadły jej na pierś. Czyjeś ogromne ślepia obróciły się w jej stronę. Dzikie kot! A tuż ponad nią pojawiła się twarz Dahaun, w jej równie dużych oczach odbijała się troska.

„To...” Kelsie podparła się na łokciu i uniosła ponad płaską matę, na której spoczywała. „Czy to jest Dolina...?” Kelsie nie zapytała o to w głos, ale wydawało się, że Dahaun rozumiała ją, bo skinęła głową. - To jest Dolina.

Cóż zatem było prawdą? Czyżby w owym zapadlisku wewnątrz zapomnianej świątyni znajdował się jakiś drugi Estcarp i jakieś inne Escore, jeśli oczywiście była to świątynia,

a może po prostu tego rodzaju wyobrażenie stało się dostatecznie przekonujące, by przyciągnąć do domu tych, którzy mu się poddali.

- Być może. - Dahaun znowu czytała w myślach, Kelsie nie czuła się tym jednak dotknięta.

- Wittle... klejnot...? - zapytała.

Pani Zielonych Przesłuchaczy rzekła to samo, co już przedtem powiedział Yonan.

- Ma to, czego szukała... nieograniczoną Moc, choć nie takim sposobem spodziewała się do niej dotrzeć. Ciemności wszakże już ustępują... właściwie dokonała tego, o czym marzyła.

- A ja? Czyż ja również jestem twym sennym marzeniem...? Zastanów się nad tym, siostrze. - Dahaun

podniosła się i zniknęła. Zniknęła również mruczająca kotka, która ugniatała pierś dziewczyny, pozostał po niej wyplamiony kaftan.

- Gdy idzie o ciebie - powiedziała Kelsie - sprawa jest prosta, potrzebujesz jedynie bezpiecznego schronienia dla siebie i swojej rodziny. A co ze mną... czego ja pragnę?

Sądząc po świetle, zapadał wieczór. Kelsie wydostała się z Doliny, nikt nie powiedział jej nawet jednego słowa. Wydawało się, że pozostawiono ją samej sobie do momentu podjęcia decyzji. A na co się zdecyduje? Jeszcze nie wiedziała.

Stwierdziła, iż zmierza prosto niczym strzała w kierunku kamieni - tych niebieskich, błyszczących głazów. Nie było tam teraz pośród nich ani ogarów, ani jeźdźca. Po rozmowie z Dahaun miała dość odwagi, by nie czuć strachu tej nocy, toteż poruszała się żwawo, dopóki nie znalazła się naprzeciwko kamieni.

Postąpiła do przodu i położyła rękę na jednym z boków tej bramy, której już nie widziała, a która mogła nigdy nie otworzyć się powtórnie.

- Czy wiecie z powrotem?

Wystraszywszy się czegoś spojrzała przez ramię.

W pobliżu stał Simon Tregarth. Po raz pierwszy zobaczyła go bez zbroi, w zielonym stroju mieszkańców Doliny, z obnażoną głową, bez hełmu.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nigdy nie próbowałem. Słyszałem, jak powiadają, że nie. Nie mam na to jednak żadnego dowodu. Chcesz spróbować?

Dziewczyna spojrzała ponownie na bramę i pomyślała o tym, co mogłoby się za nią kryć. W Dolinie nie było nikogo, kto by się o nią martwił, kto by się o nią troszczył, nie było też nikogo, o kogo mogłaby się troszczyć w zamian.

- Nie jestem czarownicą... klejnot się rozbił... - powiedziała z wolna.

- To prawda. Cała ta moc przypisana jest do drogocennego kamienia, w tym wiara, w tym także błąd. Możesz stać się czymś więcej, niż się spodziewasz... tutaj.

- Tutaj... - Kelsie obróciła się plecami do bramy i rozejrzała wokół. Rozległo się wycie, spomiędzy krzaków wyskoczył kot i opadł w długim susie na coś niewielkiego, co przedzierało się przez trawy.

- Sądzę - powiedziała Kelsie - że to jest to miejsce. Postąpiła krok, potem jeszcze dwa, aż wreszcie puściła się pędem w kierunku Doliny.

